

Chris Bunch

PODŁE ŚWIATY

The Scoundrel Worlds

Drugi tom cyklu Star Risk

Przełożył Radosław Kot



Dla prawdziwych wariatów:
Tima Holmana, Simona Kavanagha,
Bena Sharpe'a, Grega Furlonga
i Tamsina Barracka

Nie zapominając
o Barrym Grayu, Adrianie Foxmanie,
Bobie MacKenziem, Nigelu Andrewsie
oraz Gilu Midgelym

1

Grubas, który wyłonił się z wyjścia służbowego, rozejrzał się uważnie po okolicy. Noc była cicha i spokojna, jeśli nie liczyć szumu przemykających w oddali ślizgaczy oraz nieustannego pomrukiwania mokrych przewodów przebiegającej obok hotelu prymitywnej sieci energetycznej.

Mężczyzna pomyślał, że teraz musi tylko przejść trzy przecznice do podjazdu przed całkiem innym, luksusowym hotelem, gdzie wciąż można było znaleźć taksówki z prawdziwymi, żywymi kierowcami, wsiąść do pierwszej z nich i odjechać do portu kosmicznego. Tam będzie już bezpieczny.

Przeklął się za głupotę. Co mu do łba strzeliło, żeby zatrzymać się w tej norze, chociaż stać go było na coś o wiele droższego. Powinien przewidzieć, że Oni gustują właśnie w takich hotelikach, żeby zaoszczędzić na kaucje sądowe i alkohol.

Żałując, że nie odbył nigdy żadnego szkolenia wojskowego, zaczął skradać się jak najciszej wzdłuż wysokiego muru. Zrobiło się naprawdę późno i była spora szansa, że Oni upili się już do nieprzytomności i nie będą go szukać.

Wcześniej udało mu się ich oszukać, wynajmując dwa przyległe pokoje, jeden pod własnym nazwiskiem, drugi pod fałszywym. Gdy włamali się do pierwszego, zdemolowali go ze szczeniem, nie ruszyli jednak łączących go z drugim pokojem drzwi, gdy okazały się zamknięte. Tak czy owak, to był tylko półśrodek.

Uciekinier dotarł do skrzyżowania, przycupnął na chwilę, po czym przeszedł przez ulicę, poruszając się szybciej niż zazwyczaj. Dokoła wciąż panowała cisza. Wyszedł na bulwar i był już w połowie szerokości, gdy kwartał za nim pojawiła się hałaśliwa grupka zataczających się mężczyzn. Od razu go dostrzegli.

Zabić gnoja! Zajebać! Diabły pany!

Mężczyzna ruszył biegiem. Tak niewiele brakowało...

Ale nie miał szans.

Z alei przed nim wysypało się ich jeszcze dwudziestu. Zatrzymał się i przebiegł na drugą stronę ulicy, szukając jakiejś kryjówki. Otwartych drzwi, schodów, czegokolwiek. Przed nim jednak ciągnął się tylko wysoki kamienny mur.

Dopadli go na następnych stu metrach.

Najpierw poleciały butelki, potem kamienie. Jeden z nich trafił go w plecy między łopatkami. Mężczyzna upadł. Próbował jeszcze popęznąć przed siebie, ale było za późno. Po chwili poczuł na sobie ciężkie buty, pięści i żelazne drągi.

Ból nie trwał długo, ale uciekinier z ulgą przywitał czarną otchłań, która uwolniła go od cierpienia.

2

Trimalchio IV był szczęśliwą planetą. Hołdował niemal wyłącznie hedonizmowi, przez co nie miał godnej uwagi historii. Miejscowi dyplomaci od dawna tak rozgrywali wszystkie międzyplanetarne spory, żeby szczuć potencjalnych przeciwników na siebie wzajem, i robili to tak udatnie, że nie groziła im ani inwazja, ani nawet wyrwanie z błogostanu permanentnej neutralności. Polityczna stabilizacja oraz subtropikalny klimat przyciągały na Trimalchiona licznych inwestorów, zwłaszcza że nie zmuszano tu nikogo do składania wyjaśnień na temat pochodzenia fortuny. Błękitne morza i rozsiane na nich wyspy stały się rajem dla młodych i pięknych albo chociaż na tyle bogatych, żeby mogło to zastąpić deficytową urodę.

Jasmine King zdawała się idealnie pasować do tego towarzystwa.

Była tak piękna, zgrabna i kompetentna zawodowo, że jej poprzedni pracodawca, zajmująca się systemami bezpieczeństwa kompania Cerberus, uznał ją za androida. Samo w sobie nie byłoby to jeszcze dokuczliwe, niestety na dodatek firma zdecydowała, że jako robot Jasmine nie musi otrzymywać wynagrodzenia.

King poczuła się tym urażona i zmieniła pracodawcę. Zatrudniła się w spółce Star Risk. Co ciekawe, nigdy jednoznacznie nie wyjaśniła nowym szefom, czy jest androidem, czy nie. Inna sprawa, że nikt nie miał pojęcia, jaka supercywilizacja byłaby zdolna do stworzenia tak doskonałej maszyny.

Obecnie prowadziła biuro spółki, a na dodatek komórkę do spraw wywiadu. Jednoosobową, ale zawsze. Na podobnej zasadzie odpowiadała za dział kadr, w razie potrzeby stając się również młodszym agentem operacyjnym. Chociaż doświadczona w działalności administracyjnej, pod względem wyszkolenia bojowego ustępowała pozostałym czterem pracownikom firmy. Ostatnio zaczęła jednak zgłębiać tajniki sztuk walki i doszła do klasy mistrzowskiej w strzelaniu z pistoletu oraz blastera.

Star Risk zajmowało pomieszczenia na czterdziestym trzecim piętrze w

pięćdziesięciokondygnacyjnym budynku wzniesionym z wykorzystaniem generatorów antygrawitacyjnych, dzięki którym cała konstrukcja zdawała się utrzymywać w powietrzu bez jakiegokolwiek podparcia. Przypominała pod tym względem wielu mieszkańców Trimalchiona IV, którzy nie mieli żadnych oficjalnych źródeł dochodów.

W biurze dominował modny obecnie styl łączący z rzucającym się w oczy brakiem harmonii stal, skórę i archaiczne drewniane sprzęty, na co z dezaprobatą spoglądały ze ścian obrazki z różnych parafii.

Oprócz Jasmine była w nim jeszcze jedna osoba, pewien raczej myszowaty mężczyzna.

King włączyła mikrofon krtaniowy.

- Potencjalny klient - powiedziała bezgłośnie. - Nie wygląda bogato. Nazywa się Weitman. Mówi, że chce rozmawiać z kimś z zarządu. Wydaje się trochę niepewny, jakby szukał prywatnego detektywa do śledzenia niewiernej żony. - Przez chwilę słuchała. - Nie, jestem sama. Nie ma też żadnej pilnej roboty.

Uśmiechnęła się do Weitmana.

- Ktoś zaraz pana przyjmie - powiedziała i niewysoki mężczyzna gwałtownie pokiwał głową.

Drzwi gabinetu stanęły otworem i pojawił się w nich senny koszmar - wysoki niemal na trzy metry, obrośnięty futrem obcy.

- Dzień dobry, panie Weitman - zahuczał ów stwór. - Nazywam się Amanandrala Grokkonomonslf, jednak ponieważ nikt spoza mojej rasy nie wymówi tego poprawnie, proszę zwracać się do mnie Grok. Zapraszam do siebie, porozmawiamy o tym, co pana do nas sprowadza.

Mężczyzna wstał i poszedł za Grokiem. Po drodze przystanął jeszcze i obejrzał się na Jasmine.

- Do pani wiadomości, panno... King. Nie szukam prywatnego detektywa i nie zbieram materiału do sprawy rozwodowej. - Uśmiechnął się, ale jakoś mało serdecznie. - Ojciec nauczył mnie kiedyś czytać z ruchów warg.

Zamknął za sobą drzwi, Jasmine zaś oblała się rumieńcem - równie perfekcyjnie jak wszystko, co robiła.

*

- Słyszał pan kiedyś o skyballu? - spytał Groka niebywale przejęty Weitman.

Obcy podejrzewał, że jego gość wszystko musi robić z pełnym zaangażowaniem.

- To jakaś gra? - zapytał. - Nie interesuję się sportem, kiedyś czytałem tylko trochę o

dawnej ziemskiej piłce nożnej. Moja rasa nie zwykła rywalizować na polu sprawności fizycznej, wolimy bardziej wyrafinowane rozrywki. Chyba że akurat wyrzynamy się nawzajem.

Grok opuścił swój świat znudzony jego marazmem i zaciągnął się do sił zbrojnych Sojuszu jako specjalista od łączności i kryptograf. Poza tym nie wzdragał się przed walką.

Weitman z całej jego przemowy usłyszał chyba tylko „nie”.

- Skyball to jeden z najważniejszych sportów. Może nawet najważniejszy - powiedział. - Wymaga wielkiej sprawności fizycznej i koordynacji oraz wysokich kwalifikacji intelektualnych. Dużą rolę odgrywa w nim także przypadek, co czyni widowisko tym bardziej interesującym.

- Sądząc po nazwie, łączącej słowa „niebo” i „piłka”, musi to być chyba coś podobnego do dawnego polo, tyle że zamiast koni używa się zapewne samolotów?

- W tej nie ma żadnego mechanicznego wsparcia, wyjąwszy oczywiście samą piłkę, antygrawitację oraz generujący zdarzenia losowe komputer.

- Aha - mruknął Grok. - Sam talent i mięśnie.

Weitman nie zwrócił uwagi na jego sarkazm.

- Skyball jest wynalazkiem z wczesnej ery kosmicznej - powiedział. - Kiedyś grano w niego tylko w próżni kosmicznej, w stanie nieważkości. Z czasem zyskał jednak na popularności i zerowa grawitacja zaczęła przeszkadzać widzom, których żołądki nie najlepiej przyjmowały w tej sytuacji napoje. Zmieniono więc zasady i odtąd w skyball gra się na specjalnych stadionach na powierzchni planet. Stadion taki wyposażony jest w generatory znoszące przyciąganie. Każda drużyna składa się z dziesięciorga mężczyzn albo kobiet, których zadaniem jest przemieścić piłkę w dowolny sposób do bramki przeciwnika. Ważne tylko, żeby nie powodować poważnych obrażeń u zawodników drugiej drużyny. Mecz dzieli się na cztery kwadry po piętnaście minut. Dla skomplikowania rozrywki w piłce jest żyroskopowe urządzenie pozwalające jej zmienić tor lotu, a dodatkowe generatory, włączane w losowej kolejności, sprawiają, że właściwości grawitacyjne boiska nie są stałe. Obecnie jest to najpopularniejsza chyba gra na planetach Sojuszu, zwłaszcza tych, które dorobiły się mistrzowskich drużyn.

- Bardzo ciekawe - stwierdził Grok. - Tyle że Star Risk robi w innej branży. Nie nadajemy się na sportowców. Specjalizujemy się w trywialnym odstrzeliwaniu przeciwników.

- Sport sportem, ale jest jeszcze to, co się dzieje poza boiskiem - powiedział Weitman. - Skyball uchodzi za gwałtowną grę, jednak na niektórych światach fanatyczni kibice doszli do takiego zapamiętania, że rozrywki międzyplanetarne zmieniają się w regularne wojny.

Grok nie skomentował.

- Już to jest niepokojące - ciągnął Weitman - ale jeszcze gorzej wróżą ostatnie ataki bojówek na graczy i sędziów. Nie dalej jak tydzień temu jeden z członków Związku Sędziów Zawodowych, do którego należę i który reprezentuję, został po meczu pobity na śmierć. Nie możemy tego tolerować. W tym sezonie o pierwsze miejsce walczą drużyny z planet Cheslea i Warick, których kibice cieszą się najgorszą sławą. Przekazaliśmy im, że jeśli nie zagwarantują nam bezpieczeństwa, odmówimy sędziowania podczas spotkań. Spłynęło to po nich jak woda i zapowiedzieli nawet, że w razie potrzeby sami poszukają sobie arbitrow. - Weitman wzdrygnął się. - Z pewnych powodów, nad którymi nie chcę się teraz rozwodzić, ten pomysł bardzo nam nie odpowiada. Związek uprawniał mnie do sprawdzenia ofert różnych firm zajmujących się ochroną, ja zaś wybrałem Star Risk. Chcę zlecić wam opiekę nad siedmioma sędziami, którzy zostaną wydelegowani do prowadzenia meczów na Warick. Za zapewnienie im pełnego bezpieczeństwa jesteśmy gotowi zapłacić milion kredytów plus zwrot wszystkich kosztów.

Grok przeczesał z zastanowieniem futro na piersi.

- Ciekawa sprawa - mruknął. - Bardzo ciekawa. Sądzę, że Star Risk chętnie przyjmie to zlecenie.

*

- Zgodziłeś się? - jęknęła M'chel Riss.

Była wysoką blondynką o zielonych oczach i z ciałem modelki. Nikomu do głowy by nie przyszło, że w siłach zbrojnych Sojuszu dosłużyła się stopnia majora. Rzuciła mundur po konflikcie z pewnym przystawiającym się do niej wyższym oficerem, przez jakiś czas była najemnikiem, aż w końcu znalazła się wśród założycieli Star Risk.

- Odniosłem wrażenie, że to całkiem prosta robota za sporą forszę - zaprotestował urażony Grok. - Obruszasz się, jakbyśmy mieli pójść na wojnę.

- Już wojna byłaby lepsza - rzucił Chas Goodnight.

Był odrobinę wyższy od Riss, miał piaskowe włosy i zawadiacki błysk w oku. M'chel uważała go za najbardziej amoralnego ze znanych jej ludzi. Też służył kiedyś w siłach zbrojnych Sojuszu i należał nawet do garstki poddanych biometrycznym komandosów, tak zwanych besterów, specjalistów od brudnej roboty. Sprawdzał się świetnie w tej roli do czasu, aż od włóczenia się po chaszczach i obalania rządów bardziej atrakcyjna wydała mu się kariera złodzieja.

Star Risk wyciągnęło go z celi śmierci, gdy powinęła mu się noga. Nie był w firmie

partnerem, ale nikt nie traktował go jak zwykłego pracownika.

Dzięki besteryzacji widział w ciemności, prócz zwykłych dźwięków słyszał fale radiowe, miał dodatkowe obwody neuronalne do analizy sytuacji bojowej i reagował w potrzebie trzy razy szybciej niż przeciętny wysportowany człowiek. W trybie szybkim jego dodatkowe obwody były zasilane małym akumulatorem umieszczonym u podstawy kręgosłupa. Starczał na jakiś kwadrans i po każdym jego wykorzystaniu bester musiał uzupełnić ubytek kilku tysięcy kalorii i odespać około doby.

Friedrich von Baldur, założyciel i szef firmy, pokiwał bez słowa głową. Był kolejnym wyrzutkiem, który zwykł przedstawiać się jako dawny pułkownik Sojuszu, chociaż tak naprawdę był jedynie podoficerem i musiał pospiesznie opuścić służbę po większej aferze związanej z upłynianiem zapasów strategicznych. Nie nazywał się też wcale von Baldur.

- Odnoszę wrażenie, że wiecie więcej niż ja - warknął Grok.

- Skyball to gra, która... - zaczęła Riss.

- Tyle kojarzę - przerwał jej Grok. - Weitman przedstawił mi najważniejsze, resztę sprawdziłem w encyklopedii. Faktycznie jest brutalna, ale w sumie mało oryginalna. Nas zresztą nie będzie obchodzić. Mamy zająć się tylko ochroną oficjeli.

- Tylko - parsknął Goodnight. - Opowiem ci coś, futrzany przyjacielu. Kilka lat temu, gdy byłem jeszcze lojalnym oficerem Sojuszu, mój zespół ściagał gościa nazwiskiem Purvis. Władze chciały go dostać żywego, ponieważ... nieważne zresztą. Dość, że bardzo chciały wyciągnąć z niego parę rzeczy. Powiedziano nam, że dostaniemy po łapach, jeśli wrócimy bez niego, gdyby zaś coś mu się przytrafiło, bekniemy jeszcze gorzej. Purvis dowiedział się, że jest poszukiwany, i zaczął mylić tropy. Doszło do nas jednak, że założył firmę doradztwa sportowego na planecie Cheslea, gdzie skyball jest bardzo popularny. Tamtejsza drużyna nazywa się Czarne Diabły... Tak więc, gdy tylko go namierzaliśmy, wzięliśmy dupę w troki i ruszyliśmy za nim...

Cheslea to dom wariatów. Rozsądek nie jest na niej w cenie, a myślenie kończy się tam, gdzie u innych się zaczyna. Gdy wylądowaliśmy, było jeszcze gorzej. Wszyscy szykowali się na mecz Czarnych Diabłów z ich najbardziej znieawidzonym przeciwnikiem, drużyną United z Warick... Widzę, Grok, że kiwasz głową. Poczekaj, to dopiero początek... Pokręciliśmy się trochę po tym burdelu, ale Purvis jakby się pod ziemię zapadł. Ktoś szepnął nam jednak, że gość pojawi się na meczu. Zdobyliśmy więc dobre miejsca i poszliśmy, zorganizowawszy sobie dwie drogi odwrotu i porządny worek na Purvisa, gdyby udało się go dopaść.

Mecz się zaczyna, najpierw jest jeden do jednego, potem dwa-dwa i wiadomo, że kolejna

bramka przesądzi o wyniku. Siedzimy sobie, słońeczko świeci... Dodam, że stadion jest, a raczej był, otwarty, z modułami antygravitacyjnymi zawieszonymi na łukach kratownicy na samej górze, a dzień był upalny. Miałem przez to wielką ochotę na piwo, ale wiedziałem, że gdyby nam się nie udało, a ci na górze dostaliby cynk o tym browarze, jak nic zrobiliby ze mnie szeregowca. Z drugiej strony i tak potem oberwaliśmy. Ale po kolei... Sam mecz nic nas nie obchodził, rozglądaliśmy się za naszym ptaszkiem. Dostrzeżliśmy go dziesięć minut przed końcem. Trudno było go wypatrzeć, bo trybuny lśniły oślepiająco. Kibice Cheslea mieli foldery rozgrywek z jedną stroną pokrytą srebrzystą folią. Wszyscy cholerowali przy tym na przebieg gry i na sędziów. Oczywiście uważali, że podkupiła ich drużyna z Warick. Przedzieraliśmy się ku koronie stadionu, gdy Diabły strzeliły gola, ale sędziowie z jakiegoś powodu go nie uznali. Myślałem, że ludziska wyjdą z siebie, zwłaszcza że chwilę później przeciwnik zdobył bramkę. Zrobiło się jednak nawet ciszej i tylko jakiś dziwny pomruk poszedł po trybunach. Dreszcz przeszedł mi po grzbiecie i nikt z nas nie wiedział, co o tym myśleć. Sędziowie zebrali się na naradę i nagle coś błysnęło. Całkiem po cichu, ale potężnie i jakby wszędzie wkoło. Potem poszło trochę dymu z boiska. Gdy się rozwiął, okazało się, że sędziowie zniknęli. Potem się wydało, że właśnie Purvis wymyślił to jako ostatnią deskę ratunku na wypadek groźby przegranej. Kazał wydrukować foldery z mocno błyszczącymi okładkami i otworkami do celowania zamaskowanymi jako podobizna piłki. Starczyło, że wszyscy kibice Cheslea ustawili swoje programy pod odpowiednim kątem do słońca. Trybuny zmieniły się w wielkie lustro i z sędziów zostało tylko trochę poczerniałych kości. Zaraz potem rozpętało się piekło. Kibice z Warick chcieli za wszelką cenę wydostać się ze stadionu, miejscowi starali się im przeszkodzić. W życiu nie widziałem takiej młócki.

- A wasz cel? - spytała Riss.

- Zginął w rozróbie - wyjaśnił obojętnie Goodnight. - Bez naszego udziału, ale i tak ledwie udało nam się wytłumaczyć z porażki. Cóż, nie ma sprawiedliwości na tym świecie - dodał, spoglądając na Groka. - Teraz wiesz, w co nas wpakowałeś. I to za głupi milion plus zwrot kosztów pogrzebu.

- Czasem żałuję, że Star Risk nie ma zwyczaju brać zapłaty z góry - smętnie powiedziała Riss. - Swoją drogą, kto ustalił tę nieżyciową zasadę?

- Pytek - odparł Friedrich.

3

Wariatkowo zaczęło się już w porcie kosmicznym Warick. Kibice Cheslea wylewali się z wyczarterowanych maszyn w stanie bardzo zróżnicowanym. Niektórzy na noszach, inni na kacu albo jeszcze gorzej - niedopici.

Zespół Star Risk, który przyleciał zwykłym lotem rozkładowym, wyróżniał się z tłumu skandaliczną wręcz trzeźwością. Z drugiej strony właśnie to oraz wymachiwanie odpowiednim banknotem pozwoliło im szybko złapać taksówkę. W drodze do hotelu przelecieli nad ilomaś orkiestrami, paradami i jarmarkami ulicznymi.

- Diabły czy United? - spytał taksówkarz.

- Cisza i spokój - odparł von Baldur.

Kierowca parsknął głośno.

- Przez najbliższe dwa tygodnie niewiele tego zaznacie. Lepiej wracajcie do portu i kupcie sobie bilet gdzie indziej.

- Mamy tu robotę - stwierdziła Riss.

Taksówkarz obejrzał się na nich, omal nie wpadając przy tym na ciężarowy ślizgacz obwieszony transparentami wieszczącymi wygraną drużyny Warick.

- Coś związanego z finałem ligi? - spytał z szacunkiem.

- Jesteśmy psychologami - odparł Goodnight. - Specjalizujemy się w psychozie tłumu.

Kierowca błyskawicznie odwrócił głowę i więcej już się nie odezwał. Gdy wylądowali przy Shelbourne, najbardziej luksusowym hotelu na Warick, w którym kwaterowali sędziowie, taksówkarz nie chciał im pomóc przenieść zdumiewająco ciężkich bagaży, ponadto odmówił przyjęcia napiwku i w ogóle siedział w swoim fotelu jak gipsowy posąg.

- Mam wrażenie, że dla nich skyball to coś bardzo ważnego - zauważył Grok. - Nie słyszałem jeszcze o taryfiarzu, który by nie przyjął napiwku.

- Potraktujmy to jak ostrzeżenie - powiedziała Riss. - Lepiej, żeby nie wiedzieli, co o tym wszystkim myślimy.

- No i uważajmy, w co się ubieramy - dodał von Baldur. - Nic, co mogłoby się kojarzyć z barwami drużyn. No i lepiej nie pomylić kibiców. Pamiętajcie, Czarne Diabły noszą się na czarno i czerwono, kolor United to intensywny błękit.

- Pewne środki ostrożności już przedsięwzięliśmy - powiedział Weitman. - W zwykłych okolicznościach powinny wystarczyć.

Sześć towarzyszących mu osób płci obojga energicznie pokiwało głową.

- Po pierwsze, nasze ubrania - ciągnął Weitman. - Te spodnie i koszule w biało-czarne paski mogą powstrzymać pocisk z każdej klasycznej broni palnej, chociaż nie pochłoną oczywiście energii uderzenia. Dlatego pod spodem noszę kamizelkę przeciwwstrząsową, która chroni także przed rzucanymi na boisko butelkami czy kamieniami. Czapka jest wyściełana i może wytrzymać bez szkody uderzenie przedmiotem o masie jednego kilograma poruszającym się z prędkością dwudziestu kilometrów na godzinę. Buty mają stalowe podeszwy i okucia z przodu, do tego dochodzą jeszcze ochraniacze na łokcie i kolana. Do nosa stosujemy filtry przeciwgazowe, w uszach mamy zatyczki chroniące przed szczególnie głośnymi dźwiękami na wypadek ataku akustycznego. Przy pasie miotacz gazu, a w kroku kabura z małym blasterem. To ostatnie jest pilnie strzeżoną tajemnicą i mam nadzieję, że nikomu jej nie zdradzicie. Zasadnicza ochrona stadionu to jeden funkcjonariusz na dwudziestu pięciu widzów, jednak różnie u nich bywa ze skutecznością. Czasem po prostu dołączają do tłumu. Dlatego właśnie liczymy na was, gdyby pojawiły się prawdziwe kłopoty.

- Uśmiechnął się do zespołu Star Risk.

- Wspaniale - powiedział Goodnight. - Cudowne jest życie kibica.

*

Podczas pierwszego meczu finałowej kolejki obie drużyny uwijały się jak w ukropie, ale przez pierwsze trzy kwarty żadna nie zdobyła punktu.

Potem, w połowie ostatniej kwarty, gdy drużyna Cheslea przejęła piłkę i ruszyła ponad obronę United do wysokiego ataku, generator włączył się, akurat gdy piłka zmierzała już do małej bramki. W dodatku zadziałało żyroskopowe ustrojstwo, pozwalając zawodnikowi Warick przejąć piłkę. Cisnął ją celnie pod przeciwnikami, którzy nie zdążyli wrócić nad samą murawę.

Jeden do zera.

I tak już zostało. Ławka kar była przez cały mecz pusta, chociaż siedząca w przeszklonej łoży Riss wyraźnie widziała kilka naprawdę brzydkich fauli.

Kibice zachowywali się spokojnie i w większości byli nawet prawie trzeźwi. Grok naliczył tylko z dwadzieścia przypadków usunięcia z widowni za drobne przewinienia w rodzaju rzucenia na boisko przemyconej butelki albo lokalnych przepychanek z sąsiadami.

- Jak tak dalej pójdzie, spokojnie wrócimy do domu - powiedział Weitman.

*

Podczas drugiego meczu zespół Star Risk postanowił rozproszyć się po trybunach. Tylko najbardziej rzucający się w oczy Grok został w łoży. Wszyscy wcisnęli w uszy komunikatory.

Tym razem miejscowi poczynali sobie znacznie śmieiej. Wyczuwszy dobrze przeciwnika, zaatakowali na całego. Sędziowie poszli w ich ślady. Podczas pierwszej kwarty odgwizdali osiem fauli, w drugiej sześć.

W połowie meczu było siedem do trzech, ponownie na korzyść Warick.

Pani sędzia odgwizdała pierwszą karę w trzeciej kwarcie za uderzenie zawodnika drużyny przeciwnej, co było najwyraźniej niedozwolone, chociaż poza tym pozwalano na tak wiele, że tylko brakowało, by w ruch poszły maczugi.

Von Baldur kątem oka zauważył jakieś poruszenie w niedalekim sektorze trybun i zaraz się obrócił w tę stronę. Jakaś bardzo otyła kobieta wyciągnęła z dużej torby nie zidentyfikowany przedmiot i cisnęła nim w panią arbiter.

- Padnij! - krzyknął von Baldur do mikrofonu. Jego polecenie zostało błyskawicznie wykonane i pocisk, który okazał się domowej roboty bumerangiem, uderzył w murawę niecały metr od celu.

Babizson na trybunie ponownie sięgnął do torby, jednak Friedrich nie czekał na pokaz kolejnej wunderwaffe, tylko od razu przesadził ogrodzenie oddzielające go od sąsiedniego sektora i przeskakując po dwa stopnie, pobiegł ku zamachowczyni. Ochrona wołała, żeby się zatrzymał, ale puścił to mimo uszu. W chwili, gdy dotarł do właściwego rzędu, w dłoni kobiety pojawiło się coś przypominającego granat.

Jakiś młodszy mężczyzna o prosiakowatej twarzy, podobny z rysów do stojącej za nim grubej kobiety, wstał, unosząc zaciśnięte pięści.

Von Baldur kopnął go z półobrotu, tak że obrońca anioła zemsty wleciał z impetem na kobietę, z którą bez wątpienia był spokrewniony. Zaraz odskoczył, widząc, że syczący złowróźnie granat upadł na beton pod siedziskami.

Kilka sekund później eksplodował, uwalniając chmurę jakiegoś gazu. Von Baldur był już wtedy daleko i nie obejrzał się, póki nie dotarł niemal na sam dół trybun. Ludzie wkoło olbrzymiej kobiety krztusili się i wymiotowali, wielu padło na kolana. Friedrich odnotował z satysfakcją, że podejrzana para należała do najbardziej poszkodowanych. Potem spojrzął na swój nadwerężony w krótkiej akcji garnitur.

- Nowy - mruknął. - Trzysta dwadzieścia siedem kredytów. Dopisać do kosztów.

Mecz zakończył się wynikiem dziewięć do czterech, co dawało Warick już dwa

zwycięstwa. Wcześniej trzy razy wstrzymywano grę, żeby znieść uszkodzonych zawodników na noszach. Jeden z nich zdawał się nie oddychać.

Kibice gości opuszczali stadion wściekli i dogłębnie przekonani, że spotkanie zostało ustawione, a piłka podstępnie spreparowana.

*

Goodnight siedział w hotelowym barze, który nosił archaiczną nazwę Pod czapłą i bobrem, gdy dostrzegł jednego z zawodników drużyny Warick bawiącego się w towarzystwie dwóch biznesmenów w granatowych garniturach. Towarzyszyła im gromadka ochroniarzy nieustannie omiatających lokal spojrzeniami i trzymających dłonie w okolicy talii.

Chas podszedł do nich. Zawodnik opowiadał właśnie pewien kawał z brodą, ale Goodnight i tak się roześmiał, unosząc szklanę gestem pozdrowienia.

- Znasz tę historię o Rycerzach, co? - spytał zawodnik.

Goodnight nigdy nie słyszał o takiej drużynie.

- Jasne, ale to był dopiero początek - odparł niespieszony i przedstawił ciąg dalszy historii, która w rzeczywistości przydarzyła się kiedyś pewnemu pechowemu oddziałowi sił zbrojnych Sojuszu, jednak słuchacze nie musieli o tym wiedzieć.

Jeden z biznesmenów postawił mu zaraz piwo i nie minęło wiele czasu, a Goodnight był już najlepszym przyjacielem zawodnika, chociaż ochroniarze wciąż patrzyli na niego podejrzliwie. Chas sam nie wiedział, dlaczego łąduje się w tę imprezę, chociaż rozpoznanie środowiska pracy należało poniekąd do jego obowiązków.

Biznesmeni szybko się upili. Na wszelki wypadek Goodnight też starał się robić wrażenie zawianego. Wiele jednak z tego nie miał, poza obietnicą kaca, gdyby posiedział tu jeszcze trochę. Szczęśliwie następnego dnia nie było meczu.

- Powiedz mi coś, Dov... - odezwał się do nowego przyjaciela. - Widziałem dzisiaj, że dobrze sobie radzisz... Ale dlaczego poświęciłeś się skyballowi? Myślałeś kiedyś o innej karierze?

- E tam - odrzekł zawodnik. - Zawsze lubiłem grać. Jestem z dzianej rodziny i mój stary miał własny jacht, tak że zawsze lataliśmy tam, gdzie akurat dawało się grać. Ale pytasz, jak to było, że przeszedłem na zawodowstwo? - dodał, rozglądając się wkoło, czy nikt nie słucha. - Miałem trochę pecha i powiedzieli mi, że albo dadzą mnie na warunkowanie, albo każą mi się wynosić gdzie pieprz rośnie. Na dodatek staruszek mnie wydziedziczył. Najpierw pomyślałem o wojsku, ale to niebezpieczna zabawa. Gdy usłyszałem, że półamatorska drużyna szuka juniorów, zaraz się zgłosiłem i potem ciężko tyrałem, żeby być najlepszym. I

to był strzał w dziesiątkę. Jakie tam wojsko? Przecież w wojsku można zginąć!

Goodnight nie miał już nic więcej do powiedzenia.

*

- Jeśli się już obudziłeś albo chociaż trochę oprzytomniałeś, mam dla ciebie coś ciekawego, przyjacielu Chas - powiedział Grok głosem, który w jego mniemaniu był zapewne łagodnym szeptem. - Dla was zresztą też.

Cała ekipa Star Risk zebrała się właśnie na skromnym śniadaniu.

Riss i Jasmine, które dbały o linię, poprzestały na soku i płatkach. Freddie i von Baldur z tego samego powodu sięgnęli tylko po kawę. Jedynie Grok zaszalał - kazał sobie podać cztery surowe jajka i herbatę.

Goodnight, który z rana potrafił opróżnić kilka półmisek, nalał sobie jedynie witaminizowanego soku owocowego.

- Zaczę od tego - odezwał się Grok - że już w pierwszych sekundach po zawarciu znajomości z gatunkiem ludzkim nauczyłem się, że nie wolno mu ufać...

- Generalnie masz rację - mruknął von Baldur.

- W ostatnich dniach pozwoliłem sobie zainstalować kilka pluskiew w pokojach naszych podopiecznych - powiedział futrzak. - To, co usłyszałem, trochę mnie zaskoczyło. Czterech sędziów podjęło negocjacje z osobami z zewnątrz pragnącymi wpłynąć w ten sposób na wyniki spotkań.

- I my mamy ich chronić? - syknęła Jasmine.

- Może lepiej się zmywajmy - słabym głosem rzucił Chas, któremu nie wychodziły negocjacje z kaczem.

- Może tak, może nie - powiedział Grok. - Rzecz w tym, że dwóch wzięło w łapę od Cheslea, a dwóch od Warick.

- Aha - mruknęła M'chel. - Czyli mamy układ dwa na dwa na trzy. Zakładając, że ta pozostała trójka sama wcześniej czegoś nie wykombinowała.

- Co więcej, zaczynam rozumieć, dlaczego nam o tym mówisz - stwierdził von Baldur.

- Właśnie - zgodził się obcy. - Dziwna ta równowaga.

- Bywa - powiedziała Jasmine, kiwając ze zrozumieniem głową. - Ale to ich zabawa. My róbmy swoje.

- W żadnym razie - zaprotestował Goodnight. - Skoro są aż tak sprytni, co będzie, gdy przyjdzie do zapłaty? Mogą się okazać jeszcze sprytniejsi.

- O tym samym pomyślałem - wtrącił von Baldur. - Chyba powinniśmy z nimi

porozmawiać i uświadomić im, że sytuacja się zmieniła i oczekujemy wpłacenia miliona kredytów na konto powiernicze. Może być w Alliance Credit.

Riss uśmiechnęła się drapieżnie.

- Zakładam, Freddie - odezwała się - że nie zamierzasz powiedzieć naszym siedmiu sprawiedliwym, że czystym przypadkiem to właśnie nasz bank?

- Nie zamierzam. Zawsze powtarzam i nie raz powtórzę, że głupców nie należy na siłę wyprowadzać z błędu. Co innego, jeśli sami spytają. Wtedy usłyszą. Może. Na pewno jednak nie wcześniej.

*

- Nie jestem pewien, czy właściwie reagujemy na rozwój wydarzeń - powiedział Grok.

- Ja też nie - zgodziła się King.

- Może na wszelki wypadek powinniśmy opracować plan awaryjny? - zasugerował obcy.

- Też mi to przyszło do głowy - stwierdziła Jasmine. - Chyba przyda nam się jakiś cięższy kaliber niż to, co wzięliśmy ze sobą.

4

- Jak wiecie, drużyna Warick wygrała już dwa mecze - powiedziała Riss. - Jeśli wygra i dziś, zdobędzie trzy z czterech punktów i sprawa będzie przesądzona. Gdyby do tego doszło, może być gorąco.

- Wiem, wiem - zachnął się Goodnight. - Dlatego mam jeden blaster za cholewką, a drugi pod tą głupią marynarką. Nie mówiąc o granatach w kieszeniach. Tym razem nie gazowych.

- Mamy kilka karabinów ukrytych w łóży - dodała Riss. - Schowałam je w szafce pierwszej pomocy.

Było gorąco.

Goodnight dobrze widział, jak poznany w barze zawodnik podciął od tyłu jednego z Czarnych Diabłów, a potem, niby przypadkiem, upadł na niego z taką siłą, że rozległ się trzask żeber.

Sędzia, który patrzył akurat na Dova, odwrócił głowę i nie sięgnął nawet po znacznik świetlny do wskazywania ukaranych.

W połowie spotkania Warick wyszło na prowadzenie.

Gdy gracze zeszli na przerwę, przy jednym z wejść na trybuny doszło do jakiegoś zamieszania. Riss dostrzegła dziesięciu wrzeszczących kiboli w zwartym szyku atakujących porządkowych. Za nimi sunęło jeszcze ze dwudziestu uzbrojonych w przemycone jakimś sposobem pałki. Wyglądali na pijanych.

- Niedoczekanie wasze - mruknęła pod nosem Riss i pobięła przeciąć im drogę.

Jasmine King była już przy bramie. Jeden z kiboli zamachnął się na nią, ale kopnęła go w rzepkę. Zaraz potem pchnęła drania na kumpla obok, trzeciemu przyłożyła w skroń.

- Nie ręką, do cholery! - krzyknęła do niej Riss.

Jasmine usłyszała i odruchowo spojrzała w stronę M'chel.

W tej samej chwili ktoś uderzył ją w podbródek. King zachwiała się i upadła. Jakiś mężczyzna przymierzył się, żeby ją kopnąć.

- Dość tego, do kurwy... - warknęła Riss, wyciągnęła blaster i odstrzeliła napastnikowi głowę. Zbryzgany kroplami krwi i strzępkami mózgu tłum wrzasnął ze zgrozy i jakby się zawahał.

M'chel strzeliła jeszcze do dwóch tak, by zadać jak najdokuczliwsze rany. Usłyszawszy satysfakcjonujący chór wrzasków i jęków, podbiegła do Jasmine i odciągnęła dziewczynę.

Ostatecznie drużyna Cheslea odrobiła straty i zaliczyła pierwszy wygrany mecz.

*

- I jak tam? - spytał Baldur.

Jasmine ostrożnie poruszyła zuchwą. Cała reszta zespołu stała wkoło niej w hotelowym apartamencie.

- Bez złamań - odparła dziewczyna.

- A zęby? - spytała Riss.

- Kilka chyba się chwieje, ale z czasem im przejdzie.

- Na pewno nie chcesz lekarza? - upewniła się Riss.

- Nie. Nic mi nie będzie.

Oczywiście, pomyślała Riss. Uparcie nie chce powiedzieć, czy jest androidem, dlaczego więc miałyby dopuścić, by prawda wyszła na jaw za sprawą lekarza?

- Nie podoba mi się to - powiedział Goodnight. - Ani trochę mi się nie podoba. Nikt nie będzie obijał naszej Jasmine.

- Robisz się sentymentalny, Chas - zauważyła King.

Goodnight chrząknął i nalał sobie szklaneczkę.

- Jeśli sami sobie nawarzyli tego piwa, to zostawmy ich tłumowi na pożarcie -

zapropował.

- Nie - zaprotestował von Baldur. - To by nie było profesjonalne.

- Chwilę - wtrącała się Riss. - To tylko jednorazowy kontrakt, prawda? Nigdy więcej tu nie wrócimy, na Cheslea pewnie też nas nie zaniesie? Sporty chyba też mamy gdzieś, zgadza się?

- Owszem - mruknął Grok. - Drugi raz nie będę taki głupi - Świetnie - rzuciła stanowczo M'chel. - Skoro zatem dranie dążą do eskalacji... powinniśmy zrobić to samo.

- Pomyśleliśmy już o tym z Jasmine - odezwał się obcy. - Potrzebujemy tylko waszej zgody.

Wyjaśnił, co ma na myśli.

Gdy skończył, Goodnight i King uśmiechnęli się lekko. Von Baldur i Riss pozostali niewzruszeni.

- Głosujemy? - spytała Riss.

- Moim zdaniem to niepotrzebne - powiedział von Baldur. - Dostrzegam same plusy.

- I mamy cały weekend na przygotowanie - dodał Goodnight. - Czasu aż nadto.

- Dobrze - odparła Jasmine, wstając z kanapy. - Jeśli tylko żuchwa mi nie odpadnie, zaraz zacznę wszystko umawiać.

5

Czwarty mecz był dla niektórych spotkaniem o wszystko. Zwycięstwo Warick dałoby tej planecie tytuł mistrza, wygrana Cheslea oznaczała remis w finałowej serii.

Kibice napływali na stadion powoli i w milczeniu. Ochroniarze nie reagowali na brzęczyki bramek i zdawali się nie widzieć różnych wybrzuszeń pod płaszczami i kurtkami. Oni też porobili zakłady i mieli swoje preferencje.

Weitman spotkał von Baldura w tunelu wejściowym.

- Obawiam się, że dzisiaj może dojść do zamieszek - powiedział.

- Spokojnie - odparł von Baldur. - Tłum jest tylko jeden, a nas pięcioro. Mamy przewagę liczebną.

Weitman spróbował się uśmiechnąć.

- Chyba powinniśmy przeciwzyć... jak to nazywacie w wojsku? Odwrót na z góry upatrzone pozycje?

- Nie trzeba niczego ćwiczyć - zapewnił go von Baldur. - Wiemy, co robimy.

Kilka chwil później piłka była już w grze. Zawodnicy poczynali sobie ostro, ale sędziowie reagowali sprawnie, sprawiedliwie rozdając kary. Niebawem każda z drużyn straciła po trzech graczy, którzy wylecieli z boiska za faule i kłótnie z arbitrami.

Pod koniec pierwszej kwarty było dwa do dwóch. Po drugiej Warick prowadziło pięć do trzech. Publiczność na razie była całkiem grzeczna - głównie ćwiczyła rzuty plastikowymi butelkami.

Von Baldur siedział wraz z Goodnightem w łoży, gdzie ulokowali centrum łączności.

- Mały Roland, Mały Roland, zgłasza się Star Risk.

- Star Risk, tu Mały Roland - dobiegła ich wygłoszona kulturalnym tonem odpowiedź.

- Mały Roland, gdzie jesteś?

- Na orbicie. Trzydzieści kilosów nad tym waszym nocnikiem.

- Gotowy?

- Potwierdzam. Czekam na sygnał.

- Kapitanie Hak, mówi Star Risk.

- Zgłasza się Hak.

- Gotowy?

- Gotowy, wysikany i zapięty. Wchodzę do akcji na umówiony sygnał.

- Star Risk do wszystkich: ogłaszam stan gotowości. Bez odbioru.

Trzecia kwarta skończyła się wynikiem osiem do pięciu, wciąż dla Warick.

- Wszyscy na miejscach? - spytał von Baldur swoich ludzi.

Rozmieszczona w różnych częściach stadionu trójka potwierdziła.

- Bardzo dobrze - stwierdził von Baldur. - Jeśli Warick utrzyma prowadzenie, cały zespół zbierze się potem na środku boiska, gdzie planowane jest przekazanie pucharu. Wtedy ruszymy.

- Jasne.

- Rozumiem.

- Bez odbioru.

Dwie minuty przed końcem Warick wciąż prowadziło dziesięć do sześciu.

- Chyba możemy już przyjąć, że wygrają - zauważył von Baldur.

- Na to wygląda, Freddie - zgodził się Goodnight, patrząc na boisko. - Teraz musimy tylko... A niech to skubana gęś...! - zaklął i runął ku wyjściu.

Von Baldur zerknął za nim odruchowo, po czym spojrział przez okno.

W innej łoży, odległej o jakieś ćwierć obwodu stadionu, trzech mężczyzn wydobyło

skądś kilka stalowych elementów i składało je właśnie w urządzenie z długą szyną pośrodku. Gdy skończyli, wyciągnęli jakiś cylindryczny obiekt, który po rozłożeniu stateczników okazał się rakieta. Czwartym mężczyzną ustawił niski trójnóg, stanął za nim i włączył celownik.

Goodnight ledwie słyszał ryk tłumu towarzyszący ostatnim sekundom gry. Biegł ile sił w nogach, roztrącając ludzi, ale ciągle był zbyt daleko od tamtej łoży.

Sędziowie kierowali się ku środkowi boiska, gdzie czekała już zwycięska drużyna.

- Kapitanie Hak, mówi Star Risk - odezwał się von Baldur. - Zaczynamy operację! Mały Rolandzie, mamy kłopoty. Czekamy.

- Mówi Hak. Jestem w drodze.

- Mały Roland, zaczynam schodzenie.

Na widowni chyba wszyscy wzięli się do bitki, niezależnie od wieku i płci. Goodnight usłyszał jeden strzał, potem kolejny, ale nie wiedział, gdzie i kto strzelał.

Mężczyzna przy celowniku wyrzutni mierzył spokojnie, bez pośpiechu.

Chas musnął się po zuchwie i świat nagle zwolnił, wrzawa nabrała piskliwych tonów. Mijając ledwie widoczne sylwetki, przemykał przez tłum niczym koliber wśród kwiatów. Celowniczy nawet nie dostrzegł, kto właściwie na niego wpadł. Z impetem poleciał na plecy, wcześniej jednak zahaczył palcem o spust wyrzutni. Rakieta wystartowała, przeleciała przez cały stadion i eksplodowała wśród publiczności po drugiej stronie.

Wrzaski przybrały na sile, gdy nad stadionem zawisł ciężki transportowiec kosmiczny, tak zwana siódemka. Z zabudowanej pod kadłubem gondoli zwieszał się wielki hak, który zaczepił o rozpiętą nad boiskiem siatkę z generatorami. Chwilę później „kapitan Hak” ustawił statek pod kątem trzydziestu stopni i dał pełną moc na osi. Używany do prac wyburzeniowych i konstrukcyjnych transportowiec bez trudu zerwał sieć, a jej resztki zwinęły się po bokach.

- Mówi Hak do Małego Rolanda. Droga wolna. Starczy?

- Całkowicie. Jestem w drodze.

Goodnight wyszedł z trybu szybkiego i ujrzał resztę obsługi wyrzutni gapiącą się na niego z otwartymi ustami. Jeden sięgał po broń.

Chas pierwszy otworzył ogień i cała trójka padła na ziemię. Na wszelki wypadek strzelił jeszcze w głowę niedoszłemu celownicemu i ruszył biegiem ku murawie, gdzie czekały już Riss i King.

Na stadionie pojawił się ogień, tu i ówdzie unosił się dym. Jakby tego było mało, nad płytą ukazał się dawny krążownik Sojuszu. Nastąpiło pandemonium. Jednostka wyrównała lot i miażdżąc wszystko, co stało jej na drodze, zaczęła opuszczać się na boisko. Olbrzymi kadłub wypełnił je od krańca do krańca.

Z otwartego luku wysunęła się rampa wejściowa i na zewnątrz wyskoczyło dwóch ludzi z ciężkimi blasterami. Przykucnęli i rozejrzeli się, wypatrując zagrożenia. Nie było żadnego. Tłum zawzięcie tratował się w panicznej ucieczce, byle dalej od tego nowego koszmaru.

Jasmine i M'chel pchnęły siedmiu sędziów w kierunku rampy. Zszokowani biegiem zdarzeń i poganiani krzykami nie próbowali się sprzeciwić.

Grok wbiegł na boisko z von Baldurem pod pachą. Machnięciem ręki usunął z drogi mężczyznę z nabijaną gwoździami pałką, który zapewne doznał przy tym skomplikowanego pęknięcia czaszki. Chwilę później również Goodnight znalazł się na dole i cała trójka pobiegła do krążownika. Strażnicy zaraz schronili się w środku, rampa została cofnięta i włącz zaczął się zamykać.

- Witam na pokładzie - rozległo się z głośników. - Zapraszam na mostek. Mam dla was fakturę. Obawiam się, że na dość wysoką sumę.

- To nie my płacimy - wydyszał Friedrich. - Fakturę należy wystawić na Związek Sędziów Zawodowych. - Spojrzał na ciężko wstrząśniętych arbitrow. - Na pewno chętnie dorzucą coś na górkę. Piętnaście, może i dwadzieścia procent.

- Wspominałeś, że są hojni, Freddie. Przyrowadź ich tutaj.

- Już idziemy - powiedział von Baldur. - Też muszę zrobić przelew.

Krążownik zaczął się wznosić, a Chas, Jasmine i Grok zerknęli przez iluminator na zdewastowany stadion.

- Jak powiedziałeś, Chas - mruknął Grok - nie powinni byli krzywdzić naszej Jasmine.

Goodnight uśmiechnął się z wysiłkiem.

- Właśnie, postawisz mi stek, Jasmine? - zapytał. - Potrzebuję kalorii, a na tej łajbie jest chyba jakaś mesa.

- Byle nic głupiego nie wpadło ci do głowy - mruknęła King i razem opuścili służę.

Riss raz jeszcze spojrzała na malejącą w dole stolicę Warick.

- To nie wygrana liczy się najbardziej - powiedziała z lekkim uśmiechem, myśląc o honorarium za usługę. - Najważniejsza jest sama gra.

6

- Proszę, oto idealne miejsce na wspaniałe wakacje - powiedział von Baldur.

Jasmine i Goodnight spojrzeli na wiszący nad blatem biurka hologram. Przedstawiał on

piaszczystą plażę z powykręcanyimi, przypominającymi nieco sosny drzewami na drugim planie. Przed nimi wznosiła się chata w wiejskim stylu, po prawej łagodnie falował czysty błękitny ocean, który przy brzegu zmieniał barwę na szmaragdowy.

- Żadnych kompów, maili i telefonów? - spytał sceptycznie Chas.

- Żadnych dyskotek, piwiarni, kasyn i zabawy do rana? - dodała Riss.

- Żadnych - przytaknął von Baldur. - Do tego nie ma tam natrętów, broni palnej i kłopotów. Nic, tylko lenistwo na plaży, najlepiej z książką. Może wreszcie uda mi się przeczytać Prousta.

- Oszalejesz po tygodniu, Freddie - mruknął Goodnight. - A ten Proust co pisał? Kryminały?

Von Baldur spojrzał na niego z wyrzutem.

- To był wielki pisarz, który dawno, dawno temu napisał świetną powieść o niczym - wyjaśnił. - Idealna do nauki cierpliwości.

- Po tygodniu ją stracisz - powtórzył Chas. - Wspomnisz moje słowa.

- Widzę, że całkiem we mnie nie wierzysz.

- Święta prawda - wtrąciła Jasmine. - Gotowa jestem nawet założyć się z Chasem... - Umilkła, słysząc brzęczyk interkomu. - Tak?

- Mam tu obiecującego klienta - rozległ się głos Riss. - Mogę go wprowadzić?

- Jasne - odparła Jasmine. - I wezwij Groka, jeśli możesz.

- Już jest w drodze.

Po chwili Riss i Grok wprowadzili smukłego, lekko łysiejącego mężczyznę, który wyglądał na czterdzieści kilka lat.

- To pan Jen Reynard - przedstawił go obcy.

Jasmine знаła kilka archaicznych języków i wiedziała, że w jednym z nich nazwisko gościa znaczy tyle co „lis”, małe ziemskie stworzenie, któremu przypisywano szczególną chytryść. Z miejsca pomyślała, że miano to pasuje do mężczyzny, który niespokojnie strzelał oczami na boki, jakby wszystko dokoła budziło jego niepokój.

- Witamy w Star Risk - powiedział von Baldur, po czym przedstawił pozostałych i wskazał klientowi fotel.

- Bez obrazy, ale widzę, że wasza sława znacznie przerasta waszą liczebność - zauważył gość. - Chyba że reszta pracuje poza tym biurem - dodał z nadzieją.

- Mamy duże możliwości - zapewniła go King. - W razie potrzeby zapewniamy wszystko, co może się przydać naszym klientom. - Od włamywacza po zgrupowanie floty.

- Doprawdy? - spytał sceptycznie Reynard. - Chociaż z drugiej strony krótka lista płac ma

też dobre strony.

Von Baldur zgodził się z nim lekkim skinieniem głowy.

- Czym możemy służyć? - spytał.

- Jestem byłym premierem układu Dampier - zaczął gość. - Szukam kogoś, kto uwolni z celi śmierci pewnego człowieka, dowiedzie jego niewinności i odszuka prawdziwych winnych.

- Nieźle - zahuczał Grok. - Nudzi mnie już ciągle rozbijanie łbów.

- To też może się okazać konieczne - powiedział Reynard. - Trudno wszystko przewidzieć.

- Bogu dzięki - mruknęła Riss. - Nie wiem, czy wiedzielibyśmy, jak wykonać prostą, spokojną i przewidywalną robotę.

- Kim jest niewinny? - spytała King.

- Byłem oficerem sił zbrojnych Dampiera. Został fałszywie oskarżony o szpiegowanie dla naszych śmiertelnych wrogów, Torguthan.

- Co mu przekazywał? - spytał von Baldur. - Bo jeśli na przykład listy osób publicznych opłacanych po cichu przez rząd, to nie musi się to wiązać z wysokim wymiarem kary.

- Został oskarżony o zdradę stanu - odparł Reynard. - A za to grozi kara śmierci.

- Sprawa wygląda poważnie - stwierdziła M'chel.

- Zaraz wszystko wyjaśnię - zapowiedział Reynard. - Układy Dampier i Torguth prawie sąsiadują ze sobą. Nasza wrogość datuje się od samych początków kolonizacji. Między nami znajdują się Światy Belfort, trzy rozwinięte planety w typie Ziemi. Prawem pierwszeństwa należą do Dampiera, jednak zepsuty do szpiku kości torgucki rząd także rości sobie do nich prawa. Stoczyliśmy już z Torguthanami trzy wojny, zasadniczo o Belfort, chociaż inne sprawy także wchodziły w grę. Pierwszą wygrali, my zwyciężyliśmy w pozostałych. Nie pogodzili się jednak z porażką i dążą do następnego konfliktu. Tak przynajmniej donosił mi wywiad, gdy byłem jeszcze przy władzy i miałem dostęp do takich informacji. Obecny rząd nie grzeszy uczciwością, niemniej zrozumiał zagrożenie i podjął pewne działania, chociaż nie od razu. Przygotowali nowy system obronny dla Światów Belfort, jednak torguckie służby w jakiś sposób zdobyły informacje na jego temat. O ich wykradzenie i przekazanie wrogowi został oskarżony legat Maen Sufyerd, który zawsze cieszył się nienaganną opinią, odznaczywszy się najpierw na polu walki, a potem pracując sumiennie w komórce wywiadu strategicznego przy dowództwie dywizji stacjonującej na Montrois, naszym świecie stołecznym.

- I powiada pan, że obecnie siedzi on w celi śmierci? - spytał Goodnight. - Czyli proces

już się odbył?

- To była parodia sprawiedliwości - powiedział ze złością Reynard. - Sfabrykowane dowody, niekompetentni sędziowie. I podyktowany uprzedzeniami wyrok.

- Jakimi uprzedzeniami? - spytała Riss.

- Sufyerd, chociaż nie widać tego po nim, należy do pradawnej sekty, która nie cieszy się poważaniem dampierskich kręgów władzy. Od początku kariery musiał borykać się z kłódami, które z tego powodu ciskano mu pod nogi.

- Hm... - mruknął Goodnight.

- Ale nie chodzi mi tylko o sprawiedliwość - powiedział Reynard. - Trzeba znaleźć prawdziwego szpiega, który wciąż działa w naszym wywiadzie. Nie możemy tolerować zdrajcy w naszych szeregach, zwłaszcza w tak ciężkich czasach!

Riss miała ochotę przypomnieć gościowi, że nie przemawia do swoich wyborców, ale ugryzła się w język.

- Dlaczego przyszedł pan właśnie do nas? - spytał Grok. - Przecież na pewno macie u siebie różne agencje detektywistyczne.

- Owszem, ale nie ufam im. Zwłaszcza od czasu, gdy opozycja wynajęła pewną wielką, słynącą ze skuteczności agencję, żeby zaprowadzić z jej pomocą Sufyerda do celi śmierci. Na pewno o niej słyszeliście, bo działa na wielu światach. To Cerberus Systems.

Każdy pracownik Star Risk zareagował po swojemu. W oczach Goodnighta błysnęło coś niepokojąco, von Baldur zrobił obojętną minę, Jasmine mocno zacisnęła usta, Riss spróbowała pokerowej, kamiennej twarzy, ale niezbyt jej to wyszło. Tylko z oblicza Groka, jak zwykle, nie można było nic wyczytać.

- Rozumiem, że dobrze ich znacie i nie darzycie Cerberusa sympatią - zauważył Reynard.

- Też uważam, że są na bakier z etyką, skoro zadali się z przeklętymi uniwersalistami, którzy obecnie są u władzy. Niestety, los nie sprzyjał ostatnio Partii Niezależnych, czyli mojemu ugrupowaniu. I na nieszczęście nawet w naszych szeregach są tacy, którzy występują przeciwko biednemu Sufyerdowi. Nasz system sądowniczy skompromitował się, uznając go za winnego, ukochana armia rzuciła go na pożarcie, a media nieustannie rozprawiają o jego zbrodniach. Nawet ta międzyplanetarna agencja jest przeciwko niemu. Stracił już nadzieję, ja zaś obawiam się, że uniwersaliści nie cofną się przed niczym, byle tylko zachować ten stan rzeczy. Przekupstwo, zastraszanie, nawet morderstwo, wszystko to pasuje do ich stylu działania. Nie ma więc nadziei, chyba że... - w jego głosie zabrzmiał przebiegły ton - chyba że Star Risk, agencja całkiem z zewnątrz i nie mająca powodów, aby żywić jakiegokolwiek uprzedzenia, zgodzi się mu pomóc.

- Hm... - mruknął von Baldur. - Cóż, chętnie zaoferujemy nasze usługi...

- Jedno pytanie - przerwała mu Riss. - Skąd pan się o nas dowiedział?

- Jako polityk kontaktuję się z wieloma ekspertami - odparł Reynard. - Wszyscy zapewniali mnie, że słyniecie z uczciwości i zawsze dotrzymujecie warunków umowy.

Powiedzieli też, że potraficie działać nieszablonowo - dodał po chwili.

- Miło z ich strony - powiedział Goodnight.

- Ciekawe - stwierdził von Baldur. - Jeśli zechce pan zostawić nam jakiś kontakt do siebie, odpowiemy panu w ciągu paru dni. Być może wcześniej będziemy chcieli jeszcze o coś spytać.

*

- I co? - spytał von Baldur, odprowadziwszy gościa.

- Znasz mój stosunek do skazańców - powiedział Goodnight. - Winnych czy nie - dodał nieco ciszej.

- Ja jestem za - stwierdziła Riss. - Zawsze to jakaś odmiana wobec mordobicia.

- Mój głos jest oczywisty - warknął Grok.

- Zawsze miło trochę zarobić - dodała King.

- A ja miałem nadzieję na urlop - westchnął von Baldur. - Ale wyczekiwana przyjemność smakuje lepiej. Zatem jednomyślnie. Zwykła stawka?

- Tak... nie - powiedziała Riss. - Reynard wspomniał, że rozmawiał z kimś o nas, co znaczy, że jesteśmy znani na Dampierze. To zwiększa ryzyko.

- To znaczy również, że Cerberus szybko się dowie o naszej obecności - wtrąciła Jasmine.

- Politycy nie potrafią trzymać języka za zębami.

- Słuszna uwaga - powiedział von Baldur.

- Właśnie. Przecież będziemy mieli do czynienia z politykami - rzucił Chas. - Podwójna stawka i ani trochę mniej.

*

- Z przyjemnością mogę panu zakomunikować, że niesprawiedliwość, o której pan opowiedział, tak nas wzburzyła, że jednogłośnie postanowiliśmy przyjąć zlecenie. Nasza stawka to dwadzieścia tysięcy kredytów za dzień plus pełna refundacja wydatków.

Von Baldur zamilkł, słuchając płynącego z drugiej strony potoku słów.

- Przykro mi, panie Reynard - odezwał się po chwili - że pańskie stronnictwo nie ma wystarczających funduszy i że został pan wprowadzony w błąd w kwestii naszych stawek. Są

jednak jakie są i bardzo żałuję, że ma je pan za wygórowanie. Niestety, nie zwykliśmy się targować. Zostaje mi życzyć panu szczęścia w poszukiwaniu sprawiedliwości dla nieszczęsnego legata Sufyerda.

Przez chwilę znowu tylko słuchał.

- To dobra wiadomość, panie Reynard - rzekł, gdy rozmówca skończył. - Naprawdę bardzo dobra. Cieszę się, że jednak pan się zdecydował. Nie mniej niż panu zależy nam na wyjaśnieniu tego nieporozumienia i zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby sprawiedliwości stało się zadość. Może pan oczekiwać, że przed upływem tygodnia stawimy się na Montrois.

7

Liniowiec należał do luksusowych. Nie brakło na nim kasyn i sal gimnastycznych ze wszystkimi możliwymi przybytkami ani całodobowych bufetów.

Jednak pracownicy Star Risk prawie z nich nie korzystali. Tylko Grok chadzał czasem pośmiać się z ludzkich wysiłków, a von Baldur pierwszej nocy przepuścił tysiąc kredytów przy stole do gry.

- Nie mieliśmy tego w planie wydatków - natychmiast zauważyła Jasmine, która była ich księgową.

- Czy przekonam cię kiedyś, kochanie, że nie należy przesadzać z uczciwością? - spytał von Baldur, ale nie doczekał się odpowiedzi.

Przez resztę podróży przekopywali się przez pokładową bibliotekę i sprawdzali wszystkie linki, które zdawały się mieć coś wspólnego z Dampierem albo Torguthem.

- Posłuchaj tego - powiedziała Riss do King. - Cytat z miejscowego szmatławca: „Nie myślę sugerować w tym umiarkowanie krytycznym tekście, że podobnie podła kreatura, której rodzice nigdy nie zostali sobie formalnie przedstawieni, cierpiąca na silne stesy związane z każdym, najprostszym nawet zadaniem, o czym świadczą mokre plamy pojawiające się regularnie na spodniach tego palanta, byłaby dobrym kandydatem na stanowisko publiczne, które w tym wypadku z większym powodzeniem można by powierzyć średnio rozgarniętemu mrówkojadowi”. Niezłe. I on to pisze o koledze z Partii Niezależnych.

- Odnoszę wrażenie, że na Dampierze mewają kłopoty ze szczerością - zauważyła King.
- Mogliby też trochę dopracować prawo prasowe.

*

- Ciekawa ta ich armia - powiedział von Baldur do Goodnighta, który zezował akurat na młodą kobietę sprawdzającą zapisy w dziale mody.

- Hm? - odezwał się Chas.

- Ostatnim razem pokonali Torguthan głównie dzięki taktyce nieustannych ataków.

- Hm.

- Dlatego uznali, że nie ma co zawracać sobie głowy obroną, tylko atakować, atakować i jeszcze raz atakować. Ich teoretyk wojskowości opowiada się za tym całym sercem.

- Hm...

- Ma sporo racji, ale uboczny skutek jest taki, że od lat nieustannie obcinają nakłady na obronę.

- Hm.

- Nie słuchasz mnie.

- Ależ słucham - zaprzeczył Goodnight. - Wygląda na to, że starczy jeden porządny cios, by morale opadło im niżej niż gacie z pękniętą gumką.

- Otóż to.

- Tak - mruknął Chas. - Już kończy. Przepraszam, ale muszę się czymś zająć... - Wstał i podszedł do młodej kobiety, która odwróciła się do niego z uśmiechem.

*

- Wreszcie będzie co jeść - stwierdził Grok. - Odkryłem, co jest głównym artykułem eksportowym tej planety. Szefowie kuchni. Pracują chyba w każdej dobrej restauracji w całej galaktyce.

- Mam nadzieję, że na miejscu zostają nie tylko odrzuty z eksportu - mruknął von Baldur.

*

- Nasz klient to prawdziwy kogut - powiedziała King. - Sześciokrotnie się pojedykował. Raz w obronie czci pierwszej żony, dwa razy żonaty z kolejną, trzy - za trzecim razem.

- Co sugeruje, że każda kolejna była piękniejsza niż poprzednia - zauważył von Baldur.

- Właśnie.

- A jak wygląda obecna?

- Chwilowo jest samotny - odparła King. - Ostatnia małżonka zostawiła go dla pojedykowego przeciwnika.

- No proszę. Dowodzi to, że należy wykańczać swoich przeciwników. Albo przynajmniej

trafić ich w samo sedno - zauważył von Baldur.

- Oraz nie pchać się wszędzie z opuszczonymi portkami i wybierać mniej uspołecznione kobiety - zasugerowała King.

- Mężczyźni nie bywają aż tak bystrzy.

*

Liniowiec opuścił się nad wielkim hangarem w kształcie litery U, który pełnił funkcję portu kosmicznego.

Goodnight, stojąc w długiej kolejce do odprawy paszportowej, zlustrował krajobraz na zewnątrz.

- Chyba pada - mruknął. - Montrois jest szara i mokra. Styl jakby bizantyjski.

- Wreszcie prawdziwe powietrze - stwierdziła M'chel. - W obiegu zamkniętym każdy oddech zbyt szybko wraca do użytkownika.

Olbrzymi statek osiadł na stanowisku przy wtórce wycia generatorów antygravitacyjnych i wielki dach hangaru zaczął nasuwać się z powrotem.

- Prosimy o przygotowanie deklaracji celnych - rozległo się z głośników. - Po odbiorze bagażu należy kierować się do najbliższej otwartej bramki. Powtarzam, prosimy o przygotowanie...

Zgodnie z umową ktoś miał czekać na nich w porcie. Chodziło nie tylko o kurtuazję, ale także o przeprowadzenie przez wszystkie możliwe bramki. King wołała się nie zastanawiać, co powiedziałyby miejscowe służby, ujrzawszy zawartość bagaży ekipy Star Risk.

Przewodnik znalazł ich, gdy stali już w kolejce. Reynard dotrzymał słowa.

- Czy pan Baldur z zespołem?

- Owszem.

- Jestem Deacer z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Należę także do partii naszego byłego pana premiera. Pomogę wam przejść przez komorę celną bez poddawania się trywialnej kontroli. Zakładam, że zabraliście jedynie przedmioty osobistego użytku?

- Oczywiście. I z góry panu dziękujemy.

Gospodarz natychmiast zorganizował wózek bagażowy, który ledwie pomieścił zastanawiająco wielkie walizy. Niestety, tylko pistolety łatwo było ukryć. Z ciężkimi blasterami, wyrzutniami rakiet i moździerzami zawsze są jakieś kłopoty.

Mundurowa obsada bramki tylko się ukloniła, gdy ją mijali, i już byli na ulicy Tuletii, największego miasta na Montrois. Deszcz nie przestawał padać, ale podjazd przed portem kosmicznym był pod dachem.

- Teraz pojedziemy do hotelu. Zaraz złapię jakiś ślizgacz - powiedział Deacer. - A, jest...

Nagle przerwał, zelektryzowany echem trzech wystrzałów, które odbiło się od kamiennej fasady budynku. Odruchowo przykucnął, podczas gdy cały zespół Star Risk padł plackiem na ziemię. Jasmine zdecydowała się ostatnia.

Z terminalu wybiegł jakiś mężczyzna z pistoletem w dłoni. Pokłuczyszy między pojazdami, wskoczył w końcu do jednego ze ślizgaczy i wystartował, ignorując gwizdki porządkowych i dwa strzały oddane na ślepo przez policjantów.

- Mój Boże - wyjąkał przerażony Deacer. - Morderstwo w biały dzień! Do czego to doszło. Mój Boże!

- Tak - rzucił obojętnie Goodnight. - Prawdziwa tragedia. Poczekajcie tu chwilę i nigdzie nie odchodźcie.

Przepchnął się przez gęstniejący tłum i spojrzał na ciało. Siwowłosego mężczyzna leżał na plecach, z twarzą zastygłą w wyrazie skrajnego zdumienia.

Goodnight skrzywił się i wycofał, gdy na miejscu pojawili się policjanci.

- Ciekawe - mruknął, wróciwszy do pozostałych. - Widziałem tego gościa, gdy schodziliśmy ze statku. Zwróciłem na niego uwagę, bo wydał mi się bardzo do ciebie podobny, Freddie. Całkiem jakby był twoim bratem.

Von Baldur pozbierał się z chodnika i otrzepał spodnie.

- Pewnie go obrobili - stwierdził. - Zapewne był to zwykły napad rabunkowy.

- Żadne takie - odparł Goodnight. - Portfel trzymał w dłoni. Upuścił go, gdy oberwał. Dostrzegłem paszport Sojuszu. To raczej nie była robota miejscowego rzezimieszka.

- To znaczy, że wiedzą o nas - mruknął von Baldur, pomagając Jasmine stanąć na nogi.

- Na to wygląda - przyznał Goodnight - i powinniśmy przyjąć, że tak właśnie jest.

Grok zatrzymał taksówkę i wziął jedną z ciężkich waliz.

- Za mało zażądaliśmy - stwierdził Freddie, machając na kolejny ślizgacz.

8

- Ale katedra - stwierdził Chas Goodnight. - Pewnie jest tu też sala balowa.

- Jest - potwierdziła Jasmine King.

- Cudownie. Mamy szansę zginąć na balu maskowym.

- W sali balowej są dwa zamaskowane stanowiska snajperskie w centralnym kandelabrze

i dwa działka automatyczne pokrywające ogniem wielką klatkę schodową.

- Kto był dumnym właścicielem tego pałacu? - spytała M'chel Riss.

- Niedysiejszy szef tutejszej tajnej policji - odparła King.

- Przewrotny człowiek.

- Bardzo przewrotny - uściśliła Jasmine i poprowadziła ich po kamiennych schodach do wielkich podwójnych drzwi.

Budowla była czteropiętrowa, z trzema skrzydłami, zasadniczo w stylu rokoko, z najróżniejszymi ozdobnymi detalami architektonicznymi. Od cichej uliczki oddzielał ją mur z instalacjami alarmowymi i tłuczonym szkłem na samej górze. Wkoło zamontowano punktowe reflektory, a w starannie zaprojektowanym ogrodzie nie było martwych pól ostrzału.

- Rzeczywiście bardzo przewrotny - mruknęła King, gdy weszli do środka.

Von Baldur pokiwał głową.

- Weneckie lustra? - zapytał ją, rozglądając się po holu.

- Owszem, ze stanowiskami strzeleckimi po drugiej stronie. Wewnętrzne drzwi mają samoczynną blokadę.

- A tylne wejście? - spytał Grok.

- Tam jest system automatyczny - odpowiedziała King. - Ponadto każdą część domu można odizolować od pozostałych, zwłaszcza pomieszczenia dla służby. Jest też tunel prowadzący do nie rzucającego się w oczy garażu na tyłach. Każdy z dwudziestu pokoi ma własny system bezpieczeństwa oraz wejście do łączącego je, ukrytego korytarza. Sześć największych zostało wyposażonych w pochylnie ewakuacyjne oraz kapsuły ochronne.

- Dwadzieścia pokoi? - zdumiał się Goodnight. - Facet miał chyba liczną rodzinę. Albo wiele kochanek?

- Ilu ludzi potrzeba, żeby obsadzić to wszystko? - spytał von Baldur, nie zwracając uwagi na gadanie Goodnighta. - Wolałbym nie nadszarpnąć konta Reynarda już na dzień dobry.

- Chcesz go wziąć z zaskoczenia? - zagadnął Goodnight.

Von Baldur tylko prychnął.

- Nie trzeba do tego licznej obsługi - ciągnęła King. - Tu jest masa automatyki. Wystarczy dwudziestu ludzi, którzy przydadzą się też do innych zadań. Sprowadzę ich oczywiście spoza planety, tak jak służbę. Najpierw jednak przygotuję trochę teren. Trzeba zasadzić granaty gazowe w ogródku, zmienić zamki, dodać radarową kontrolę obszaru i tak dalej.

- Tam dom twój, gdzie forteca twoja - mruknęła z lekką kpina Riss.

- Wolisz być łatwym celem, jak na lotnisku? - spytała King.

- Nieszczególnie.

- Brzydka ta chata, ciężka i krzykliwa - stwierdził Goodnight. - Bardzo mi się podoba. Oczywiście bierzemy?

- Jestem za - rzucił Grok. Obie dziewczyny tylko pokiwały głową. - A swoją drogą co stało się z poprzednim właścicielem?

- Wysadzili jego limuzynę, gdy wyjeżdżał za bramę - wyjaśniła King. - Chyba jednak nie był dość ostrożny. Widać jeszcze ślady eksplozji na okuciach.

Riss skrzywiła się i chciała coś powiedzieć, ale w okolicy rozległy się strzały. Najpierw dwa, potem cała kanonada.

Zawrócili do drzwi wejściowych, wyciągając osobiste blastery. Tylko King ponownie się spóźniła.

- Przepraszam - powiedziała, dołączając do pozostałych. - Ciągłe się uczę.

- Jak my wszyscy.

Cicha przed chwilą uliczka była pełna ludzi, zajętych w większości walką i biegiem. Niektórzy nieśli tablice głoszące: UWOLNIĆ MAENA; ŻĄDAMY SPRAWIEDLIWOŚCI; WYKRYĆ PRAWDZIWYCH SZPIEGÓW.

M'chel zobaczyła młodą kobietę przymierzającą się do rzutu kamieniem. Kolejny strzał powalił ją na ulicę.

Rozległy się krzyki, ktoś odpowiedział ogniem na ogień i cały tłum ruszył galopem, uciekając przed grupą około piętnastu zamaskowanych osób płci obojga w kamizelkach kuloodpornych i ochraniaczach na łokciach i kolanach. Napastnicy mieli też broń palną, pałki i noże.

Zespół Star Risk poszukał ukrycia za kamienną balustradą.

Uzbrojona grupa zerknęła przez otwartą bramę, ale widząc pięć uniesionych blasterów, pobiegła za łatwiejszą zdobyczą. Maski bojówkarzy były niecodzienne: składały się z czarnego domina uzupełnionego kawałkiem materiału sięgającym do podbródka.

Na samym tyle ciągnęły policyjne ślizgacze z funkcjonariuszami wyposażonymi w sprzęt do tłumienia zamieszek, jednak mundurowi biernie przyglądali się rozwojowi rozwijającej się rzezi. Żaden nie spróbował też udzielić pomocy rannym.

- Miłe - powiedział Grok. - Tęskniliśmy za takim światem.

- Jasne - zgodził się Goodnight. - Nie ma jak trochę bezprawia o poranku.

- Tak czy owak pora ruszać na miasto i zarobić na utrzymanie - stwierdził von Baldur.

9

M'chel Riss bez pamięci zakochała się w Tuletii.

Przez stolicę układu Dampier wiła się ujęta w betonowe nabrzeża rzeka zdobna w liczne wysepki z muzeami, galeriami sztuki, salami koncertowymi, a nawet świątyniami różnych ignorowanych przez tubylców bogów.

Miasto przecinały szerokie aleje, które bardzo ułatwiały komunikację, chociaż Goodnight stwierdził, że taki układ ulic jest wymarzony do tłumienia rewolt. Od głównych arterii odchodził bezlik wąskich i krętych uliczek, w którym łatwo było się zgubić. Riss przez kilka popołudni radośnie błądziła w tym labiryncie.

Miejscowi ubierali się z wyszukaną elegancją, jakby za chwilę mieli odbyć sesję zdjęciową dla jakiegoś magazynu mody. W licznych parkach co rusz trafiało się na pomnik czy posąg. Najlepsze było jednak jedzenie. Riss nie przypominała sobie, żeby - czy to w drogiej restauracji, czy knajpce na rogu - poczęstowano ją tutaj czymś podłym. Szczególnie dobrze zapamiętała potrawkę podaną w małym lokalu ukrytym w podcieniach, do którego nigdy więcej nie udało jej się trafić.

W układzie Torguth istniało osobliwe powiedzenie: „Szczęśliwy jak Bóg na Montrois”. Mówiło ono sporo także o samych Torguthanach.

Jedynym minusem byli ludzie, niekiedy czarujący, niekiedy bardzo irytujący. Jeden z największych miejscowych filozofów stwierdził kiedyś: „My, Dampierianie, mamy rzadki talent do pozornie logicznego rozumowania zapędzającego nas w ślepe uliczki, w których ginjemy, broniąc spraw beznadziejnych”.

Miał rację, uznała M'chel po dłuższej sprzeczce z kelnerem, który stanowczo domagał się napiwku tylko i wyłącznie dlatego, że pracował jako kelner i nie miało dla niego znaczenia, że zjawił się przy jej stoliku dopiero wyraźnie wezwany. Dampierianie po prostu bywali nieznośni i nie było na to rady.

*

Von Baldur poprosił byłego premiera Jena Reynarda o wprowadzenie w detale dotyczące wszystkich stron zaangażowanych w sprawę Sufyerda i został w tym celu zaproszony wraz z pracownikami na skromny południowy posiłek w Tournelle. Jasmine wyczytała w

przewodniku, że to „najstarsza restauracja na Montrois, z wyśmienitą kuchnią i pałacowymi wnętrzami, tradycyjne miejsce spotkań przedstawicieli sfer rządowych oraz kulturalnej i finansowej elity planety”.

- Pełna konspiracja - zauważył z przekąsem Goodnight. - Nikt się nie dowie.

Przyjechali całą piątką. Ich przeciętny ślizgacz nijak nie pasował do długich rzędów limuzyn zaparkowanych przed „pałacem”.

- Genialne maskowanie - mruknął Goodnight.

Lokal był pełen starszawych mężczyzn i kobiet wyglądających na bardzo zadowolonych z życia i pewnych siebie. Obecni tu i ówdzie młodszy przedstawiciele establishmentu mieli wypisaną na twarzy pewność, że niebawem staną się tacy sami i ogólnie nie mają się czego obawiać w życiu.

Główna sala obwieszona była barokowymi malowidłami i tapiseriami, stoliki stały w zapewniających dyskrecję odległościach. Riss zauważyła jednak, że najważniejsi goście i tak prowadzeni są do zamkniętych pokoi. To samo spotkało także grupę Star Risk, gdy von Baldur podał ich nazwiska wyniosłemu szefowi sali.

Reynard już czekał.

- Dzień dobry, przyjaciele - powiedział. - Cieszę się, że was widzę.

- I my się cieszymy - odparł Goodnight. - Ale czy to nie nazbyt publiczne miejsce na takie spotkanie?

- Cóż - rzekł Reynard - wszyscy, którzy cokolwiek u nas znaczą, wiedzą już, kim jesteście i po co was wynająłem.

- Niemniej to chyba nie jest najlepszy pomysł, by informować w ten sposób przeciwników, co pan o nich myśli.

- To durnie! - rzucił Reynard. - Niczego się nie domyślą.

- Jest pan pewien, że to bezpieczne pomieszczenie? - spytał von Baldur.

- Oczywiście! Bywam tu od dzieciństwa! Właściciele lokalu znają mnie i uważam ich za przyjaciół.

- Przyjaciół można kupić - stwierdził Goodnight. - Nigdy też nie wiadomo, co robią za naszymi plecami.

- Myli się pan, panie Goodnight - oburzył się Reynard. - Nic, co tutaj zostanie powiedziane, nie dotrze do niepowołanych uszu. Poza tym zaufani członkowie mojej partii sprawdzili ten pokój w zeszłym tygodniu.

- Niemniej... - powiedział von Baldur i skinął na Groka.

Olbrzymi obcy otworzył niewielką torbę i wyjął szare pudełko ze słuchawkami. Włączył

urządzenie obserwowany przez zaciskającego mocno usta Reynarda.

- Zadowolony pan? - spytał polityk, gdy Grok skończył sprawdzać pomieszczenie.

- Owszem - odparł obcy. - Są cztery pluskwy. Jedna tutaj, w nodze stołu, druga w kandelabrze, kolejna przy framudze i czwarta pod krzesłem. Tę ostatnią dodano zapewne po to, żebyśmy ją wykryli.

Reynard spurpurowiał. Grok, nie zwracając na niego uwagi, wyjął z torby miniaturowe jajowate zagłuszacze, które poprzyczepiał przy wykrytych pluskwach.

- Teraz słyszają tylko ogłuszający ryk - powiedział. - Gdybyśmy mieli więcej czasu, zsyntetyzowałbym pański głos, panie Reynard, i kazałbym urządzeniu czytać nim bajki o smokach albo coś innego, co oczarowałoby słuchaczy.

- Złożę skargę na kierownictwo lokalu! - podniósł głos Reynard.

- Po co? - spytała Riss. - I tak nic nie zrobią, póki tu jesteśmy.

- Nie wątpię - zgodził się Reynard. - Ale na pewno zamienię potem kilka słów z właścicielami.

- Niech pan lepiej sprawdzi konta bankowe tych zaufanych członków partii, którzy mieli zadbać o ten pokój - zasugerowała Riss.

Zjawił się kelner i zastygł w ukłonie.

- Pozwolę sobie złożyć zamówienie w waszym imieniu - powiedział Reynard. - Musicie spróbować kilku tutejszych dań. Bardzo sławnych. Żałowalibyście do końca życia, gdybyście nie skorzystali z okazji.

- Przejdźmy do rzeczy - rzucił von Baldur.

- Pierwsze pytanie dotyczy... - powiedziała King, dyskretnie włączając rejestrator.

- Nie - zaprotestował polityk. - Najpierw zjemy. Jedzenie ma pierwszeństwo.

Zamówił. Dostali leśne grzyby i mięso mielone w sosie pieprzowym, potem steki z dziczyzny w sosie z czerwonego wina, z czymś, co przypominało kapustę, zapiekaną warzywną, duszone coś przywodzące na myśl cykorię, niemniej z chrupką skórką. Na koniec na stole pojawił się torcik czekoladowo-orzechowy.

- Od dziś koniec z jedzeniem - szepnęła Riss, pochylając się do Jasmine.

- A ja nie wepchnę w siebie już nic więcej - odparła King. - Jeśli to jest południowa przekąska, boję się myśleć, jak tu wyglądają obiady.

Goodnight, który jako bester był zaprawiony w pochłanianiu tysięcy kalorii na jedno posiedzenie, skapitulował przed sałatką.

Grok i von Baldur dzielnie dotrzymywali kroku gospodarzowi aż do ostatniego kęsa.

W końcu były premier otarł wargi serwetką.

- Cóż, trzeba się wziąć do roboty - powiedział z żalem. - Waszymi przeciwnikami są zdraźciecy uniwersaliści, dranie bez...

- Chwilę - przerwał mu Grok. - Zdraźciecy? W jakim sensie?

- Oczywiście. Przynajmniej dla każdego mieszkańca Dampier. Zamiast skupić się na zwalczaniu Torguthan, pilnują swoich kont. To partia bogaczy, których nie obchodzi nic poza pomnażaniem bogactwa. Są przekonani, że biedni też na tym skorzystają, co jest kompletną bzdurą. W kwestii naszego prastarego konfliktu chowają głowę w piasek i tyle. Nie dążą do wojny, ale nie są też zainteresowani innym rozwiązaniem problemu, bo atmosfera zagrożenia sprzyja ich interesom. Dzięki temu mogą wydawać wielkie sumy z budżetu na bezużyteczne w tej sytuacji uzbrojenie. Nie rozumieją, że draźnią tygrysa i że Torguthanie nie zrezygnowali z planów opanowania Światów Belfort i samego Dampier. Mają w swoich szeregach wielu wysokich stopniem wojskowych i sporo znaczących przedstawicieli Kościoła. To oni zatrudnili waszych rywali z Cerberusa.

- Sporo nagrzeszyli - przyznał Grok. - Proszę kontynuować.

Reynard nie zauważył sarkazmu w głosie obcego.

- Armia, dla której Sufyerd tak wiele zrobił, też zwróciła się przeciwko niemu. Wielu mundurowych bardzo liczy na jego egzekucję.

- Dlaczego? - spytała Riss.

- Ta sprzedaż tajemnic wojskowych to dla nich bardzo wstydliva sprawa. Mają nadzieję, że uda się ją szybko zamieść pod dywan.

- Powiedział pan, że do kłopotów Sufyerd przyczyniła się również jego przynależność do jakiejś sekty.

Reynard westchnął.

- Moje światy nie są idealne - powiedział. - Tak, jilanie zawsze byli dyskryminowani, chociaż to pacyfiści. Owszem, skłonni są do ekstazy, ale nikomu nie szkodzą i nie wciągają postronnych w swoje praktyki. Nasz Kościół, teraz szczęśliwie odsunięty od władzy i w odwrocie, zrobił z nich kiedyś dyżurnych chłopców do bicia. Niektórzy, zwłaszcza ludzie niewykształceni i ultrakonserwatyści, wciąż uważają, że stanowią oni zagrożenie.

- Powiedział pan, że to pacyfiści - zauważył Goodnight. - A przecież Sufyerd był zawodowym oficerem.

- Owszem - przyznał Reynard. - Ale czy w każdym z nas nie ma jakichś sprzeczności?

- Być może - mruknął von Baldur. - Ale do rzeczy. Zatem dowództwo sił zbrojnych opanowali uniwersaliści.

- Otóż to - potwierdził były premier. - Skutek jest taki, że armia bez mrugnięcia okiem

kupuje każdy nowy system uzbrojenia. Oczywiście my, niezależni, też jesteśmy za utrzymaniem wysokich nakładów na obronę, ale nie chcemy wyrzucać pieniędzy w błoto.

Co znaczy, pomyślała Riss, że woleliby lokować zamówienia u swoich ludzi.

- A co z tajną policją? - ciągnął indagację Friedrich.

Reynard odruchowo obejrzał się przez ramię i ściszył głos.

- BID, czyli Biuro Informacyjne Dampieru, utrzymuje, że służy tylko państwu i jego obecnym przedstawicielom. Prawda jest trochę inna. To prywatny folwark niejakiego L'Pelleriniego. Ta kreatura jest tak pokręcona, że nawet prostą drogą chodzi zakosami. W sprawie Sufyerda zaważył najważniejsze. Nie udało mu się wykryć prawdziwego szpiega w Wywiadzie Strategicznym, zwanym też Ila. Tak jak armia, BID marzy tylko o zamknięciu i wyciszeniu sprawy. Zawsze w końcu bierze jednak stronę zwycięzcy, którym musimy być my, i to nie tylko dla dobra Sufyerda, ale także przez wzgląd na kobiety i mężczyzn ze Światów Belfort oraz ukochanego przeze mnie ludu Dampieru.

Riss była pod wrażeniem. Ostatnie zdanie Reynard wygłosił na jednym oddechu i wcale nie wyglądał jak ktoś, komu zabrakło powietrza.

- Jasna sprawa - powiedział von Baldur. - A kogo mamy po swojej stronie?

- Mnie, oczywiście. Oraz tych niezależnych, którzy pozostali wierni ślubowaniu i nie zapominają o swoich powinnościach wobec ojczyzny. Jest jeszcze Fra Diavolo i jego zwariowana banda, ale to raczej kłopot niż korzyść - dodał, krzywiąc się lekko. - Oczywiście naprawdę nie nazywa się Diavolo. Jest powieściopisarzem, ale pisuje także pamflety polityczne. Ma rewolucyjne skłonności. Lud go uwielbia, zwłaszcza robotnicy. Bardzo się dzięki temu wzbogacił. Wydaje fortunę nie tylko na swoje przyjemności, ale także na utrzymanie prywatnej armii, gotowej wykonać każde jego polecenie.

- Dlaczego wspiera Sufyerda? - spytał von Baldur.

- Bo zawsze musi być po przeciwnej stronie barykady niż władza. Gdy byłem premierem i rządzili niezależni, był naszym wrogiem. Teraz chwilowo jest moim sprzymierzeńcem. Nie wiem, czy powinienem się z tego cieszyć.

- Wczoraj widzieliśmy jakąś demonstrację - powiedziała Riss. - Jej uczestnicy popierali Sufyerda. Zostali zaatakowani przez grupę uzbrojonych i zamaskowanych osiłków. Policja była na miejscu, ale się nie wtrącała.

- To Maskowi - syknął Reynard. - Bojówka uniwersalistów. Niektórzy podejrzewają, że po cichu sterowana przez Torguthan. Maskowi utrzymują, że na sercu leży im jedynie dobro Dampieru, ale gotowi są popełnić każdą zbrodnię, jeśli można ją podciągnąć pod akt patriotyzmu. Nikt nie wie, kto im przewodzi. Czasem słyszy się, że mają w swoich szeregach

wielu policjantów, co tłumaczyłoby, dlaczego stróże prawa i porządku ich nie niepokoją. I to byłoby już wszyscy ważniejsi uczestnicy naszego dramatu.

- Niezła lista - mruknął von Baldur. Spojrzał na serwetkę, na której notował coś nieczytelnymi znaczkami. - Po pierwsze, musimy porozmawiać z Sufyrdem i uzyskać możliwie najpełniejszy dostęp do Wywiadu Strategicznego.

- Z tym będzie trudno - powiedział Reynard. - Jest jednak kilka osób, które winne mi są przysługę.

- Wcześniej czy później będziemy też musieli zorganizować spotkanie z tym L'Pellerinem.

- Jeśli sam nie zechce wcześniej was zobaczyć - stwierdził Reynard. - Domyślcie się już, kto może być prawdziwym winnym?

- Obecnie uważamy, że może to być każdy oprócz pana. Chociaż nawet pana nie jesteśmy pewni na sto procent.

Reynard wolał to uznać za żart.

10

- Imponujące - powiedział Grok. - Nie jestem jednak pewien, czy to mądrze stawiać własnym szpiegom pałac w środku miasta.

Budynek był kamienny, bogato zdobiony i zajmował cały kwartał.

- Być może wywiad szczebla strategicznego powinien czasem rzucać się w oczy - stwierdził Goodnight. - Pomyśl o tych wszystkich analitykach. Wiecznie pogrążeni w myślach mogliby zablądzić w wielkiej metropolii i jeszcze któryś wpadłby do rzeki. A tak od razu wiedzą, którądy do pracy.

Wszyscy trzej, von Baldur, Grok i Goodnight, przeszli przez parking i wstąpili na schody przed wejściem. Goodnight zerknął na zaparkowany w pobliżu ślizgacz.

- Ktoś tu gustuje w wypasionych gablotach - mruknął. - To sikorsky-bentley.

- I co z tego? - spytał nieco poirytowany von Baldur.

- Nic - odparł Goodnight. - Podziwiam ludzi, którzy folgują swej miłości do porządných wozów. Zwłaszcza jeśli robią to za pieniądze podatników.

Weszli po schodach, minęli czterech wartowników, którzy po lekkim wahaniu dziarsko zaprezentowali broń. Wszyscy gapili się przy tym na Groka.

- Chyba widują niewielu cudzoziemców - rzucił Goodnight. - Zwłaszcza tak kudłatych.
Grok warknął.

Zaraz za wielkimi drzwiami dwaj mundurowi siedzący w osłoniętej dyżurce sprawdzili załatwioną przez Reynarda przepustkę. Byli pod wrażeniem.

- Proszę się udać na pierwsze piętro, biuro pułkownika Caranisa jest na samym końcu korytarza. Nie mogą panowie nie trafić.

- Dziękuję - powiedział von Baldur, kierując się do windy.

- Po pierwsze i po drugie - mruknął Goodnight.

- Jakie pierwsze i drugie? - spytał von Baldur.

- Potem ci powiem.

Wjechali na górę i ruszyli korytarzem. Po chwili Grok zauważył, że Goodnight gdzieś zniknął. Moment później wyłonił się z drzwi prowadzących chyba do jakiegoś sekretariatu.

- Chciałem spytać o toaletę, ale tam nikogo nie ma - powiedział. - I to by było po trzecie.

- Nie, nie spytam jakie trzecie.

- I dobrze. Nie pytaj.

*

Pułkownik Caranis był dobrze zbudowaną mężczyzną i niemal dorównywał Goodnightowi wzrostem. Wyraźnie dbał o formę, podobnie jak o dobór krawca, który szył mu mundury.

Goodnighta zastanowiło tylko, jakim cudem ich gospodarz skompletował aż cztery rzędy baretek, skoro ostatnimi laty nie było żadnej wojny. Po chwili uznał jednak, że chyba przesadza z tą podejrzliwością.

Caranis uśmiechnął się szeroko, chociaż von Baldur zauważył mimochodem, że wyraz reszty twarzy oficera nie zmienił się ani o jotę. Spojrzał na trzech gości.

- Miło mi spotkać bojowników o sprawiedliwość - powiedział bez śladu ironii. - Niemniej sprawa Sufyerda została dokładnie i wielokrotnie zbadana i nie przypuszczam, żeby cokolwiek jeszcze się w niej kryło. Brak też jakichkolwiek przesłanek sugerujących, że jest niewinny.

- Zna pan Sufyerda?

- Nie za bardzo - odparł Caranis. - Gdyby należał do moich znajomych, musiałbym wątpić we własne umiejętności. Uważam, że znam się na ludziach, chociaż w wywiadzie lepiej nie polegać wyłącznie na intuicji.

- Racja - zgodził się von Baldur - ostrożność zawsze jest wskazana. A przechodząc do

rzeczy, sędzę, że zapoznaliśmy się już ze wszystkimi jawnymi materiałami dotyczącymi sprawy Sufyerda. Zabrakło mi w nich jednej informacji: Przez kogo Sufyerd miał przekazać wykradzione informacje Torguthanom?

- Obawiam się, że nie mogę rozwinąć tego tematu. Wspomnę tylko, że owszem, była taka osoba. Pewien młodszy asystent pracujący w Agencji Stosunków Międzyplanetarnych. To agenda Torguthan. Został odwołany w trybie pilnym zaraz po ujawnieniu sprawy. Swoją drogą nasz przeciwnik miewa poczucie humoru, prawda? - Caranis zachichotał. - Ta ich agencja zajmuje się oficjalnie prawami autorskimi. Przyzna pan, że trudno o lepszą przykrywkę dla placówki wywiadu? - Po chwili spowaźniał. - Wszakże jak wspomniałem... panowie, nie będę dobrym źródłem informacji. Dobrze życzę naszemu byłemu premierowi i podziwiam go za determinację, z jaką szuka sprawiedliwości. Chętnie udzieliłbym waszej firmie... Star Risk... wszelkiej możliwej pomocy w tym śledztwie, ale niestety, to niemożliwe. Nasze procedury bezpieczeństwa nie przewidują takiej ewentualności. Nie mogę pozwolić panom ani na rozmowy z naszymi pracownikami, ani tym bardziej na wgląd do naszych akt.

- To dla nas rozczarowanie - powiedział von Baldur. - Przypuszczam, że premier Reynard też nie będzie zadowolony.

- Oczywiście zdaję sobie z tego sprawę - przyznał Caranis. - Jest jednak wytrawnym politykiem, który w swojej długiej karierze radził sobie z różnymi przeszkodami. A teraz, jeśli mi wybaczycie, czeka mnie pilne spotkanie. W sumie już jestem spóźniony, ale zależało mi, żeby osobiście przekazać panom tę smutną wiadomość.

Von Baldur wstał, skłonił się lekko i cała trójka opuściła gabinet.

Gdy byli już na zewnątrz, Goodnight podszedł do zaparkowanego tuż przy wejściu luksusowego ślizgacza.

- Dyrektor Wydziału IIa - odczytał z tabliczki stojącej obok miejsca parkingowego. Jak ładnie. Miło wiedzieć, że dyrektor Caranis ma jaja.

- Dobra. A teraz powiesz, co to była za wyliczanka? - spytał Grok.

- Jasne. Gdy tylko odejdziemy dość daleko i upewnimy się, że nikt nie podsłuchuje nas kierunkowym.

Zatrzymał się za rogiem.

- Po pierwsze, nikt nie pofatygował się sprawdzić, czy nasze przepustki są prawdziwe. Po drugie, skoro to siedziba wywiadu, w żadnym razie nie powinni pozwolić, żeby szwendali im się po niej bez nadzoru jacyś obcy. Nawet jeśli idą podobno do szefa. Tymczasem nikt się nami nie przejął, z samym Caranidem włącznie. A trzecie jest tutaj.

Wyjął z kieszeni jakiś plik papierów.

- Skąd to masz? - spytał von Baldur.

- Gdy wszedłem do tamtego gabinetu, który był otwarty i w którym nikogo nie było, zobaczyłem na biurku jakieś dokumenty. Wszystkie mają stempel „ściśle tajne” i jakiś kod dostępu. Zgarnąłem je odruchowo. Sam jestem ciekaw, czego dotyczą - dodał, spoglądając uważnie na kartki. - No tak. Aktualna ocena potencjału bojowego jednostek torguckich wyznaczonych do rekonesansu w Światach Belfort. Dla kogoś najpewniej bardzo interesująca lektura - mruknął, wrzucając papiery do najbliższego kosza. - Ale jedno jest pewne: tutejszy wywiad przecieka jak stara łajba. Czymkolwiek jest łajba. Wniosek z tego prosty. Przy takim braku przestrzegania procedur bezpieczeństwa praktycznie każdy mógł tam wleźć i wynieść to, czego przekazanie przypisuje się Sufyerdowi. Jak dla mnie to oczywista wskazówka, że zrobiono z niego klasycznego kozła ofiarnego.

11

- Jako nasz ekspert od więzień co pan myśli, *Herr Doktor Goodnight*, o tutejszej bastylu?
- spytał von Baldur, nie spuszczać wzroku ze steru małego jachtu.

- Gnojnia jak się patrzy, powiedzieliby ci, którzy tam siedzą - odparł Goodnight. - Na pewno trudno z niej wyjść, ale dostać się do niej to kaszka z mlekiem. Nie wiem, dlaczego niektórzy uważają, że umieszczenie pierdła w próżni uchroni go przed atakiem. Starczyłby jeden podprowadzony w dryfie pocisk. Albo sympatyczni samobójcy z taktyczną atomówką. Ale poważnie, to chyba jednak wolałbym stamtąd nie uciekać. Wyciąganie kogoś z tego więzienia też nie wydaje mi się miłą rozrywką.

- Podobnie to widzę - rzuciła Riss z miejsca za konsolą. - Wygląda na to, że teoretycznie najłatwiejszy sposób przerobienia Sufyerda na wolnego człowieka odpada.

- Nie przypuszczam, żeby Reynard zadowolił się samym uwolnieniem - powiedział Grok.
- Stracilibyśmy premię. Najbardziej zależy mu chyba na wykryciu prawdziwego sprawcy.

- Jeśli Sufyerd naprawdę nim nie jest - mruknął Goodnight. - Nie byłby to pierwszy wypadek, gdy mnóstwo ludzi okrzykuje świętym kogoś winnego jak diabli.

- Owszem - westchnęła Riss. - Bywa i tak.

- Co nasuwa kolejne pytanie, Freddie - powiedział Goodnight. - Dlaczego właściwie nalegasz, żebym odwiedził tę przygnębiającą żelazną kulę? Wiesz, że jestem uczulony na takie klimaty. O wiele chętniej zająłbym się przeglądaniem domowych filmów naszego

bohatera.

- Chcę, żebyśmy wszyscy spotkali się z naszym klientem - wyjaśnił von Baldur. - Może komuś z nas coś rzuci się w oczy. Albo doznamy olśnienia.

- Na przykład jak wykraść tajemnice państwowe i nie dać się złapać - dodał Goodnight.

Stary fort orbitalny otaczały trzy pierścienie patrolowców, miał też własne uzbrojenie defensywne. Jednak gdy jacht podleciał bliżej, gołym okiem można było się przekonać, że baterie od dawna nie były używane, a część z nich nawet zdemontowano.

Dla równowagi okazało się, że straż więzienna trzyma poziom. Mimo przepustki od samego Reynarda mundurowi weszli na pokład jachtu i przeszukali go dokładnie, dwa razy sprawdzili też wszystko elektronicznie.

- Wracając to tego, o czym rozmawialiśmy przed chwilą - powiedział Grok - widzę trzy możliwości, jeśli przyjąć, że Sufyerd jest niewinny. Pierwsza to taka, że prawdziwy sprawca pracował sam i udało mu się nie tylko wykraść i przekazać informacje, ale też wycofać się bez zdemaskowania. W tej sytuacji znalezienie go graniczy obecnie z cudem. Druga możliwość, to że konspiratorów była cała grupa, co zwiększa nasze szanse. Wiadomo, im więcej czasu mija, tym więcej się gada. Trzecia możliwość: mamy do czynienia z całą siatką, a dokładniej siecią polityczno-wojskową, która to wszystko upichciła. Reynard byłby wówczas jednym z podejrzanych, my zaś znaleźlibyśmy się w poważnych tarapatkach. I nie myślę tylko o tym, że przypadnie nam zapłata, ale i o zagrożeniu życia. Czy ktoś ma jeszcze coś do dodania?

Odpowiedziała mu cisza, w której słychać było jedynie łagodny szum systemów statku.

- Umiesz pocieszyć człowieka - powiedział Goodnight. - Najpierw bierzecie mnie do więzienia, potem słyszę o spisku polityków, którzy mają nas na widelcu. Wspaniale. Co dalej?

- Skoro nikt nie zamierza podjąć dyskusji z Grokiem, to może wejdziemy? - spytał von Baldur i włączył mikrofon. - Fort Pignole, tutaj jacht *Marchiale*. Prosimy o instrukcje podejścia i lądowania. Kod naszej autoryzacji romeo, alfa, dziewięć, dwa, zulu.

- Fort Pignole na odbiorze. Czekać - dobiegła odpowiedź z głośnika.

Po chwili głos znowu się odezwał:

- Kod uznany. Wyhamujcie względem fortu i wyłączcie napęd oraz sterowanie. Zajmiemy się wami.

Obsada więzienia nie zostawiała niczego przypadkowi. Dryfujący jacht został przejęty przez holownik i doprowadzony do węzła cumowniczego na tyle odległego od głównego kompleksu, żeby ewentualna eksplozja bomby nie zagroziła poważnie fortowi.

Moment później wysunięto długi rękaw. Procedurę tę nadzorowało dwóch strażników w kombinezonach.

- Macie pozwolenie na wejście do stacji - powiedział dyżurny. - Nie macie zezwolenia na wnoszenie broni.

Cała piątka pozbierała swoje rejestratory i minikompy, po czym ruszyła rękawem do środka.

- Oto wkraczamy w anus mundi - mruknął Goodnight.

- Dzięki za barwne porównanie, Chas - powiedziała Jasmine.

- Drobiazg. Sądzę, że wszyscy powinniśmy wiedzieć, czym naprawdę są więzienia. Zwłaszcza to tutaj.

- Najpewniej wszystko jest tu na podsłuchu - upomniała go Riss. - Starajmy się więc nie mówić niczego, co mogłoby do nas zrazić strażników.

- Przepraszam - rzucił Goodnight.

Przy wewnętrznej służbie więzienia czekało na nich sześciu mundurowych. Goście zostali przeszukani i przeskanowani. Mimo protestów ich rejestratory trafiły do depozytu, oni zaś zostali zaprowadzeni do pokoju odwiedzin, który za całe umeblowanie miał jedynie cztery krzesła.

- Przykładają się tu do roboty, prawda? - zagadnął Goodnight.

Riss zdała sobie sprawę, że Chas jest bardziej niż zdenerwowany. Przyszło jej do głowy, że ktoś, kto oglądał kraty od wewnątrz, zapewne zawsze będzie się czuł nieswojo w takim miejscu. Miała nadzieję, że nigdy nie przyjdzie jej samej sprawdzać tego przypuszczenia.

Odsunęły się drzwi i dwóch strażników wepchnęło do pokoju legata Maena Sufyerda. Był wysokim mężczyzną, który wydawał się bardzo nieskłonny do rozdawania uśmiechów. Nosił szare okrycie z wielkimi czarnymi krzyżami na piersi i placach. Zapewne po to, aby strażnikom wygodniej było celować, gdyby w więzieniu doszło do buntu.

Począł, aż goście się przedstawia, i usiadł, spoglądając na nich dość beznamiętnie.

- Dziwne - powiedział w końcu. - Moją obroną mają się zająć przybysze spoza układu, podczas gdy moi ziomkowie uznali mnie za zdrajcę i zamknęli sprawę. Nie przypuszczam, żebyście byli jakoś związani z Sojuszem, chociaż to poniekąd uzasadniałoby wasze starania. Z drugiej strony nie bardzo rozumiem, dlaczego Sojusz miałby interesować się bliżej takimi światami, jak Torguth, Dampier czy Belfort.

- Istotnie, z Sojuszem nic nas nie wiąże - przyznała Riss. - Jesteśmy najemnikami pracującymi za sporą kasę.

Sufyerd skinął głową.

- Chyba jestem wam winien przeprosiny - powiedział. - Jednak zamieszkiwanie w celi śmierci uczy bezpośredniości.

- Dla nas to powód do pośpiechu - odrzekła Riss.

- Byłby mile widziany - zgodził się Sufyerd. - Chociaż z drugiej strony, jeśli nie doczekam się sprawiedliwości w tym życiu, znajdę ją w następnym.

- Nie wszyscy z nas są w tak komfortowej sytuacji - powiedziała Riss. - Nie wszyscy wierzymy w reinkarnację.

Sufyerd nie odpowiedział.

- Po pierwsze, winien pan wiedzieć, że pański przełożony, pułkownik Caranis, odmówił nam pomocy - oznajmił von Baldur. - Jest całkowicie przekonany o pańskiej winie.

- Oczywiście - odparł spokojnie Sufyerd. - Nigdy mnie nie wspierał i to on pierwszy wysunął oskarżenie.

- A to ciekawe... - odezwał się Goodnight. - Twierdzi, że prawie pana nie zna.

- Zawsze był dobry w zacieraniu śladów - powiedział Sufyerd.

- Domyśla się pan, dlaczego tak szybko zdecydował się okrzyknąć pana zdrajcą? - spytał Grok.

- Nie mam zbytnej ochoty odpowiadać na to pytanie.

- Dlaczego? - zaciekawiła się Jasmine.

- Bo mogę wyjść na paranoika. Z drugiej strony żaden inny powód nie przychodzi mi do głowy.

- Myśli pan o swojej religii? - spytał Goodnight.

Sufyerd tylko pokiwał głową.

- To naprawdę jedyna ewentualność?

- Jedyna sensowna. W grę może jeszcze wchodzić to, że nigdy nie miałem wielkiego mniemania o inteligencji Caranisa. Ani o jego uczciwości. A on dobrze o tym wiedział.

- Co pan ma na myśli, mówiąc o nienawiści Caranisa? - spytała King.

- Lewa kasa i temu podobne. Wiem też, że zdarzało mu się wykorzystywać swoje stanowisko, żeby uzyskać pewne... korzyści osobiste od pracujących u nas kobiet.

- Widzieliśmy jego limuzynę - powiedział Goodnight. - Trochę zbyt wystawna jak na urzędnika państwowego.

- Podobno pochodzi z bogatej rodziny - odrzekł Sufyerd. - Tak słyszałem. Nigdy mnie to zbyt nie interesowało. Nie wnikam w osobiste sprawy innych oficerów.

- Zatem lubi forszę i piękne panie - stwierdził Goodnight. - Ale czy jest... czy mógłby zostać zdrajcą?

- Nie - odparł Sufyerd i tylko Riss zauważyła, że lekko się zawahał. - Nie mógłby.

- Dlaczego? - spytała Riss. - Zdaje się cieszyć z pańskiego upadku. Nie jest to dowód szlachetności charakteru.

- Zbyt wiele lat służył temu układowi, żeby nagle zostać zdrajcą - odparł Sufyerd z naciskiem.

Riss nie poczuła się przekonana, ale uznała, że chwilowo lepiej zostawić ten temat.

- Dobrze - powiedział von Baldur. - Czy byłby pan skłonny opisać nam swoje obowiązki i przebieg zwykłego dnia pracy? Chociaż chwileczkę... Czy miał pan kiedykolwiek dostęp do wiadomych dokumentów na temat systemu obronnego Światów Belfort?

- Nie - odparł Sufyerd. - Dowiedziałem się o nich niecały tydzień przed zatrzymaniem. Miałem ocenić to opracowanie, jednak zostałem aresztowany, zanim dotarło do mojej sekcji. Coś je opóźniło. Sądzę, że stało się tak za sprawą prawdziwego szpiega, który przejął na krótko dokument. Z drugiej strony do dziś nie wiem, jak ktokolwiek zdołał ustalić, że w ogóle go skopiowano.

- Skoro nie współpracował pan bezpośrednio z resztą Ila - rzekł von Baldur - czy mógłby pan opisać pokrótce działalność pańskiej sekcji?

- Spróbuję, chociaż niechętnie. Nie zajmowałem się niczym wielce utajnionym, wolałbym jednak nie opowiadać o naszym wywiadzie osobom z zewnątrz, chociaż wątpię, żeby w ten sposób wyrządził jakąś szkodę. Nie chciałbym też, aby uznano, że jestem nieskłonny do współpracy.

Ila dzieli się na szereg sekcji, a każda z nich bada tylko wycinek sprawy, co zwiększa bezpieczeństwo. Mój zespół składał się z czterech ludzi i był jednym z kilku zajmujących się analizą danych na temat Torguthan.

- Specjalizował się pan w ich poczynaniach związanych ze Światami Belfort? - spytał Grok.

- Nie, studiowaliśmy różne sprawy. Zależnie od tego, co akurat zlecali nam przełożeni.

- Zatem na co dzień nie zajmował się pan układem Belfort - stwierdził von Baldur. - Czy wspomniano o tym podczas procesu?

- Mój obrońca chciał o tym opowiedzieć, ale uznano, że ta informacja nie jest istotna dla sprawy.

- Premier Reynard przekazał nam zapis procesu - odezwała się Jasmine. - Nie ma tam o tym wzmianki.

- Spora część materiału z rozprawy została ocenzurowana jako związana ze sprawami opatrzonymi klauzulą niejawności - odparł Sufyerd.

- Chyba byłoby dobrze, gdyby zapoznał pan nas z tym, co nie zostało oficjalnie ujawnione - powiedział Grok.

Sufyerd westchnął.

- Mogę... ale jestem pewien, że zabrano wam wszystkie urządzenia rejestrujące, tak samo jak innym moim gościom. Tym, których do mnie dopuszczono.

- Nie szkodzi - powiedziała Jasmine. - Mam doskonałą pamięć.

Sufyerd zwilżył wargi i zaczął mówić.

*

- I to by było na tyle, jeśli chodzi o ekscytujące przygody w świecie wywiadu - powiedziała Jasmine. - Ten biedak dzień w dzień czytał raporty i pisał sprawozdania, a dla urozmaicenia czytał sprawozdania i pisał raporty. I za to chcą go posłać do komory gazowej.

- Nic nowego - stwierdziła Riss. - Mniej więcej to samo robiłaś w Cerberusie. I robisz u nas, gdy nie ma akurat żadnego zlecenia.

- Mniejsza o to - powiedział Grok. - Ważniejsze w tej sytuacji, dlaczego wybrano go na kozła ofiarnego?

- Nie wiem - odrzekł von Baldur. - Ale gdyby udało się to ustalić, zapewne trafilibyśmy do prawdziwego winnego. Z drugiej strony może naprawdę chodziło o religię, chociaż uważam, że to naciągana teoria.

- Skoro o tym mowa... - odezwał się Goodnight. - M'chel, wybierzesz się ze mną do wspólnoty wyznaniowej Sufyerda? Podobno praktykują jakieś ekstatyczne obrzędy. Może być ciekawie. Tyle że nigdy nie brałem udziału w orgii i wolałbym nie chodzić tam bez opieki.

- Ja brałam - przyznała Riss. - W mojej dawnej robocie nie takie rzeczy się robiło.

- I co? - spytał Goodnight.

- I nic. Odkryłam, że w takich spędach najbardziej gustują brzydale i głupki. Reszta ludzkości umie to sobie zorganizować na własną rękę.

- Hm... - mruknął Goodnight.

- Skoro oni mają w planach orgię, czy mogę zaprosić cię na obiad, Jasmine? - spytał Grok. - Poznałem kilka nowych potraw i sędzę, że chętnie byś ich spróbowała.

- Z rozkoszą - odparła King.

- I mnie, staruszka, zostawiacie samego - rzucił von Baldur. - Chyba przejdę się do Tournelle i zafunduję sobie samotną wyzerkę. - Dotknął kontrolek na konsoli jachtu. - O ile nikt atrakcyjny czy wpływowy nie zapragnie mojego towarzystwa...

Na ekranie zapłonął napis SPRAWDZAM WIADOMOŚCI. Błysnął trzy razy i wypluł dwie ikonki.

- Nie myślałem o nikim aż tak wpływowym - mruknął von Baldur.

- A kto tam się do ciebie dobija? - spytał Goodnight ze swojego fotela.

- Nie do mnie, tylko do nas. To oficjalne pismo do Star Risk. Jedno od niejakiego pana L'Pellerina, drugie od sławnego Fra Diavolo. Oba to zaproszenia na obiad.

- Sugeruję, żebyś umówił się najpierw z tym tajniakiem - powiedziała Riss. - Pisarz zawsze może poczekać do jutra, nawet jeśli ma prywatną armię.

- To jedyne sensowne podejście, kochana - zgodził się von Baldur. - Jedyne sensowne - powtórzył, starając się ukryć niepokój.

12

Restauracja nazywała się L'Montagnard i mieściła się w bocznej uliczce. Nie wyglądała na dużą.

Jasmine podejrzliwie zajrzała do środka.

- Jakiego to specjału mam spróbować tym razem? - zapytała.

Grok uniósł nos i poniuchał całkiem po ludzku. Była to jego nowa umiejętność, z której był bardzo dumny.

- Ktoś mnie tu obraża swoimi podejrzeniami - powiedział.

- A nie pamiętasz już tego befsztyka tartarskiego, na którego mnie namówiłeś?

- Befsztka t a t a r s k i e g o - sprostował Grok. - Był pyszny - dodał z przekonaniem. - Gdy jednak wzgardziłaś nie poddaną obróbce cieplnej zwierzęcą tkanką, zabrałem cię na lody czekoladowe z czekoladowymi ciastkami polanymi czekoladą i likierem czekoladowym. Było tak?

- Było - przyznała Jasmine. - Dobrze, idę.

Weszli do środka. Lokal rzeczywiście był niewielki i podłużny, z otwartą kuchnią w głębi. Honory domu pełnił jowialny mężczyzna o sporej tuszy. Pomagała mu równie obszerna żona. Od razu przynieśli gościom po kieliszku wina.

- Pozwolę sobie wybrać za nas oboje - powiedział Grok. - Jadłem już tutaj trzy wieczory temu.

Jasmine skinęła głową i upiła wina.

Na ulicy dwóch osobników, którzy śledzili przybyszy z innego układu, wymieniło kilka słów i jeden z nich wyciągnął komunikator.

13

Znalezienie jilańskiej świątyni zabrało Goodnightowi trochę czasu i kosztowało nieco kredytów, jednak w zasadzie wciąż nie wiedział, czy „świątynia” to właściwe określenie. Przybytek ów mieścił się w małym magazynie bez jakichkolwiek oznaczeń.

Dla Riss był to oczywisty znak, że jilanie nie są mile widziani i może rzeczywiście dotyczą ich jakieś prześladowania. Nie słyszała jeszcze o religii, która dobrowolnie chowałaby się w cieniu.

Poczekali w wozie, aż na ulicy pojawiły się grupki przechodniów, mężczyzn, kobiet i dzieci, kierujące się swobodnym krokiem w stronę budynku. Wszyscy wyglądali na zwykłych mieszkańców robotniczej dzielnicy, w której znajdował się magazyn.

Goodnight i Riss przyłączyli się do nich. Pierwsze, co zauważyli po wejściu, to że podłoga przed kilkoma rzędami krzeseł została zasłana matami. Riss z miejsca poczuła się ostrzeżona, Chas zaś próbował szepnąć coś o przezorności wiernych oraz ich trosce o swe łokcie i kolana, gdy obok pojawił się mężczyzna z siwymi włosami i krótko przyciętą brodą.

- Witajcie, obcy - powiedział.

- Tak... witaj - odparł Goodnight.

- Widzę po waszym zmieszaniu, że nie należycie do naszej wspólnoty.

- Zaiste - przyznała Riss. - Ale słyszeliśmy o waszej... wierze i zaciekała nas ona.

Mężczyzna uśmiechnął się.

- Jestem Bracken Starszy - powiedział mężczyzna. - Oczekiwaliście czegoś bardziej wystawnego? - Uśmiechnął się jeszcze szerzej. - A może jeszcze czegoś innego? Wiemy, że mają nas za sektę, i nie przeszkadza nam to.

- Po prawdzie sama nie wiedziałam, jakiego słowa użyć - powiedziała Riss tonem przeprosin i mimowolnie oblała się rumieńcem.

- Używaj takich słów, na jakie masz ochotę - rzekł Bracken. - Usiądźcie, proszę. Chętnie porozmawiam z wami po epistole i odpowiem na wszystkie wasze pytania.

W środku zebrało się około sześćdziesięciu wiernych. Bracken prowadził uroczystość. Zaczął od modlitwy, która mogłaby zabrzmieć w niemal każdym kościele dowolnego

wyznania. Potem przyszedł czas na ogłoszenia.

Riss bliska była ziewania, nastawiła jednak ucha, bo treści okazały się dość niezwykle. Najpierw jakaś dziewczynka oznajmiła, że pragnie być wychowywana przez inną parę niż - z całym szacunkiem - jej rodzice. Rodzice nie mieli nic przeciwko. Potem pewna kobieta powiedziała, że chce przyjąć przed świętem wiosennym jeszcze jednego męża. Zaplanowano pokojową manifestację pod więzieniem jako wyraz protestu przeciwko jakiejś egzekucji.

Potem mężczyzna i kobieta znajdujący się po przeciwnych stronach pomieszczenia zaczęli uderzać cicho w małe bębniaki. Jakaś kobieta wstała i opowiedziała, jak to widziała niedawno inną kobietę idącą w deszczu. Tamta kobieta zauważyła, że odpływ studzienki ściekowej był zatkany. Uklękła i oczyściła go, i był to dobry uczynek, zwłaszcza że mogła sądzić, że nikt jej nie widział. Goodnight słuchał tego z niedowierzaniem, wznosząc oczy ku niebu.

Kilka innych osób zaczęło tańczyć powolnym krokiem. Jedna z kobiet zrzuciła ubranie. Goodnight, który poniekąd wypatrywał orgii, skrzywił się. Jego zdaniem owa kobieta za żadne skarby nie powinna się była rozbierać. Najlepiej by zrobiła, owijając się dodatkowo obrusem. Bardzo dużym obrusem.

Jakiś mężczyzna wstał, zawołał „Chwalmy Pana!” i usiadł gwałtownie. Inni dołączali do tańczących. Ktoś, wijąc się niczym derwisz, zaczął wykrzykiwać słowa w języku, którego Riss nigdy nie słyszała. Kolejne osoby odzywały się we własnych językach.

Goodnight zauważył, że jedyna kobieta, która wydała mu się tutaj atrakcyjna - poza Riss, naturalnie - siedziała twardo na krześle i bezgłośnie poruszała ustami.

Wszystko to ciągnęło się dość długo, aż nagle, bez żadnego sygnału, wszyscy wrócili na miejsca. Naguska nie próbowała się nawet okryć.

Bracken odczytał kolejną, równie ogólnikową modlitwę, skłonił się i wierni zaczęli wychodzić. Kapłan podszedł do Goodnighta i Riss.

- I co myślicie? - spytał.

- A co miałbym pomyśleć? - spytał Chas.

- Na przykład, czy nie wydaje się wam, że opowieści o naszej rozpuszczeniu lub oddawaniu czci diabłu są trochę przesadzone?

Riss roześmiała się.

- Często miewamy gości - powiedział Bracken - ale niestety, mało kto zachodzi do nas powtórnie. Wielu wychodzi, nie kryjąc rozczarowania.

- Dlaczego? - spytał Goodnight.

- Pewnie oczekują czegoś innego. Mamy sporo wrogów, i to od wielu lat, którzy

rozpuszczają różne kalumnie na nasz temat. Teraz, po tym niefortunnym incydencie z bratem Sufyerdem, nawet holo powtarzają te kłamstwa. Któregoś dnia ogłoszą pewnie, że składamy ofiary z noworodków. - Pokręcił ze smutkiem głową.

- Jesteśmy spoza tego układu - powiedziała Riss. - Zastanawialiśmy się, dlaczego naznaczono was takim piętnem.

- Ponieważ żyjemy osobno, chociaż w obrębie tej kultury. Tak samo czynimy na innych światach. Nie bierzemy udziału w głosowaniach, niechętnie płacimy podatki, w miarę możliwości unikamy służby wojskowej, praktykujemy pacyfizm. Nie popełniamy jednak żadnej zbrodni stanu. Nie szkodzimy państwu nawet biernym oporem.

- Ale ten Sufyerd... - zaczął Goodnight.

- Niektórzy twierdzą, że brat Sufyerd popadł w apostazję, ale prawdę mówiąc, wielu naszych myślicieli uważa, że powinniśmy bardziej integrować się ze społeczeństwem. - Ponownie smutno pokręcił głową. - Obawiam się, że obecne zdarzenia nie wesprą ich teorii, chociaż wielu w nią wierzy i niejeden oddał nawet życie w jej obronie. Z drugiej strony, od kiedy brat Sufyerd został skazany, wielu szanowanych członków naszego zgromadzenia zaczęło wyrażać pogląd, że pacyfizm to przeżytek, zwłaszcza w takim społeczeństwie, które gardzi pokojowym nastawieniem i popiera prześladowania naszej grupy. Gotowi są zwrócić się otwarcie przeciwko naszym wrogom. Większość, w tym i ja, nie zgadza się z nimi. Niezmiennie twierdzimy, że najlepszą i jedyną odpowiedzią na prześladowania może być tylko prawe życie.

- Żeby przestali się wami interesować? - spytała Riss.

- Byłoby dobrze - przyznał Bracken. - Oczywiście pragnąłbym, żeby wszyscy na tej planecie stali się tacy jak my. Nigdy jednak nie nawracaliśmy nikogo i zapewne nie posuniemy się do tego. Naszym największym marzeniem jest, żeby zostawiono nas w spokoju, tak jak my zostawiamy w spokoju innych.

- Jeszcze jedno pytanie, jeśli można - odezwał się Goodnight. - Ilu spośród tych, którzy was odwiedzają, może być agentami policji lub funkcjonariuszami kontrwywiadu?

- Takimi jak wy? - powiedział Bracken i uśmiechnął się szeroko, widząc ich reakcję. - Specjalnie to powiedziałem, żeby się przekonać, jak to przyjmiecie. A co do pytania, nie potrafię rozpoznać tajniaków, chociaż słyszałem, że wielu kryminalistów nie ma z tym najmniejszych kłopotów. Zauważałem niekiedy osoby, które nagrywały nasze nabożeństwa albo coś notowały. Zapewne szukały czegoś, co mogłoby się przydać w sprawie biednego brata Sufyerd, chcąc to wykorzystać przeciwko niemu albo w jego obronie.

- A dlaczego szukają tego właśnie u was? - spytała Riss.

- Brat Sufyerd modlił się u nas kilka razy z rodziną. Ciekawe jednak, że od ogłoszenia wyroku policja całkiem przestała się u nas pojawiać.

- Naprawdę? - zainteresowała się Riss, tak jak najpewniej oczekiwał tego Bracken.

- Właśnie. Wciąż jednak przychodzą inni. Do nas zapewne dlatego, że spośród wszystkich zgromadzeń w Montrois tutaj trafić najłatwiej. Jednak czego obecnie szukają, nie mam pojęcia.

- Też tego nie rozumiem - mruknął Goodnight.

- Dobrze zatem - powiedział Bracken. - Mam swoją pracę, wy zaś, niezależnie od tego, dla kogo pracujecie, zawsze będziecie tu mile widziani. Nawet szpiegowi przyda się odrobina medytacji.

14

Von Baldur nie wiedział, czego oczekiwać po zaproszeniu od pana L'Pellerina. Zwłaszcza że obiad mieli zjeść w siedzibie tajnej policji.

Budynek stał przy ulicy przecinającej jeden z modnych bulwarów Tuletii. Był brzydki, wzniesiony w dużej mierze z niepopularnej obecnie w architekturze stali. Na zewnątrz nie było widać żadnych strażników, chociaż von Baldur był pewien, że muszą gdzieś tu być. Tajniacy cierpieli zwykle na bardziej rozbuchaną paranoję niż pracownicy wywiadu.

Poproszono go o zjawienie się w normalnej porze kończenia pracy, toteż szedł pod prąd tłumu urzędników zmierzających do parkingu przy wylocie ulicy. Nie dostrzegł nikogo w długim płaszczu, o sztylcie i śrubach do miażdżenia kciuków nie wspominając.

Podwójne drzwi prowadziły do sporego, odpornego na wybuchy holu, gdzie siedział recepcjonista, który wyglądał na wypożyczonego z oddziałów antyterrorystycznych. Był jednak całkiem uprzejmy.

Spytał von Baldura o broń, uśmiechnął się, usłyszawszy przeczącą odpowiedź, i musnął jakiś sensor. Pojawiło się dwóch milczących mężczyzn, którzy obszukali sprawnie gościa. Jeden z nich miał nawet wykrywacz obiektów o dużej masie. Niczego nie znaleźli.

Von Baldur dostał plakietkę ze zdjęciem i obaj nierozmowni poprowadzili go pustym korytarzem do windy, która wzniosła się błyskawicznie na najwyższą kondygnację. Tam przeszli kolejnym pustym korytarzem i stanęli przed nie wyróżniającymi się niczym drzwiami.

Milczący mężczyźni uklonili się lekko, zapraszając von Baldura do środka. Gabinet był obszerny i wygodnie urządzone. Bez jakichkolwiek papierów czy holo na widoku.

L'Pellerin wyszedł zza biurka i przywitał gościa tonem, który w zamierzeniu miał zapewne być przyjazny, kojarzył się jednak bardziej z przemową starego biurokraty odrzucającego ostatnią apelację.

Szef tajnej policji był niski i tak zapuszczony, że można było wnosić, iż nigdy nie poddał się regeneracji komórkowej. Twarz miał poszarzałą, zdradzającą nerwowość. Von Baldur zauważył także obgryzione paznokcie.

- Obiad czeka w mojej jadalni - powiedział gospodarz. Tym razem odezwał się w nim nie znoszący sprzeciwu małomiasteczkowy belfer.

Von Baldur okazał, że cieszy go perspektywa posiłku, i został zaprowadzony do małego pokoju z boazerią obwieszoną archaicznymi malowidłami.

Menu nie otrzymał.

Posiłek był bardzo prosty, ale wspinały. Najpierw przystawka warzywna, potem świeżo wypieczony, chrupki chleb z domowym masłem, wędzone mięso oraz potrawka z fasoli i drobiu, sałatka i wybór serów. Von Baldur otrzymał do wyboru białe i czerwone wino, L'Pellerin pił wodę mineralną.

Gospodarz jadł szybko, chociaż sądząc po minie, musiał cierpieć na wrzody żołądka. Zachowywał się, jakby coś go poganiało i był pewien, że nie zdąży tego zrobić. Podobnie jednak jak Reynard, hołdował zwyczajowi, żeby podczas posiłku nie rozmawiać o interesach.

Gdy byli już blisko końca, von Baldur pochwalił obiad.

L'Pellerin spojrzał na niego z niedowierzaniem.

- Mówi pan poważnie?

- Rzadko zdarza mi się kłamać - odparł Friedrich. - Poza pracą, naturalnie.

Gospodarz zdobył się na uśmiech, jakby docenił żart.

- W Tuletii jest wiele przybytków kuchni pałacowej - powiedział. - Ja jednak wolę proste wiejskie jedzenie, które pamiętam z domu.

Takie stwierdzenie trudno było skomentować.

L'Pellerin skończył chwilę przed von Baldurem. Gdy i gość odsunął talerz, zaraz sprzątnięto ze stołu, zostawiając tylko wino i wodę.

- Zatem pan... i pański zespół... zamierzacie dowieść niewinności Sufyerda - zagaił L'Pellerin.

Von Baldur nie widział powodu, żeby zaprzeczać.

- Chcemy spróbować.

- Nie uda się wam - oznajmił L'Pellerin. - Moi śledczy są całkowicie przekonani o jego winie. Nakazałem zamknąć sprawę i w dniu ogłoszenia wyroku wszyscy prowadzący ją ludzie otrzymali nowe zadania.

- Są jeszcze inni, którzy nie wydają się przekonani o winie Sufyerda.

- Reynard? Fra Diavolo? To krwawiące serce Dampieru? Nie zaprzętałbym sobie głowy ich zdaniem.

Von Baldur uniósł kieliszek.

- Zaprosiłem pana, bo lubię poznać przeciwnika przed walką - powiedział L'Pellerin.

- Czy to już przesądzone, że jestem pańskim wrogiem? Sądziłem, że bardziej będzie panu zależało na poznaniu prawdy niż na konflikcie?

- Prawda została już ustalona - odparł gospodarz. - Każdy, kto spróbuje zakwestionować wyrok sądu, uczyni zamach na podstawy państwa.

- Policja służy zwykle społeczeństwu - powiedział von Baldur. - Przynajmniej oficjalnie. Zaskakuje mnie, że przyjmuje pan tak skrajne i jednoznaczne stanowisko.

L'Pellerin zaśmiał się chrapliwie.

- Skrajne? Nie jestem aż takim głupcem. Jednak jeśli państwo coś postanowi, wszyscy musimy się z tym zgodzić. Inne podejście może zagrozić społeczeństwu.

- Oczywiście nie zgadzam się z tym - stwierdził von Baldur.

- Oczywiście nie. W jednym ma pan jednak rację. Nie ma żadnego konkretnego powodu, by musiał pan zostać moim... naszym wrogiem. Przynajmniej na razie. Nie mam nic przeciwko temu, żebyście zarobili trochę na Reynardzie. Jest aż nazbyt bogaty. Poza tym od lat siedzi w polityce, raz na urzędzie, raz w opozycji. Tylko tym żyje. I to jest moje pierwsze ostrzeżenie. To gracz. Obecnie jest coraz bardziej zdesperowany, podobnie jak część jego partyjnych kolegów. Rzecz w tym, że układowi Dampier dobrze się powodzi pod rządami uniwersalistów i Reynard nie ma się do czego przyczepić. Szuka gorączkowo pretekstu, ale niewiele zdziała. Chyba że zdecyduje się poruszyć masy, co zawsze oznacza kłopoty.

- Uważa pan obecne stosunki między Dampierem a Torguthem za satysfakcjonujące?

- Owszem. Mówię to nieoficjalnie, ale mamy tu oczywiście z tuzin ich szpiegów, którzy są pod naszą nieustanną obserwacją. W razie pogorszenia sytuacji politycznej wszyscy zostaną natychmiast aresztowani. Co zaś do Torguthu... Trochę rywalizacji nikomu jeszcze nie zaszkodziło. Owszem, jest to też rywalizacja militarna, co oznacza marnowanie dużej części pieniędzy podatników, ale dostarcza też miejsc pracy w różnych gałęziach przemysłu.

- To nie moja sprawa i nie zamierzam się tym zajmować, ale i tutaj się z panem nie zgodzę - powiedział von Baldur.

- Chyba był pan kiedyś żołnierzem, prawda?

- Tak. Ale może dlatego właśnie już nim nie jestem.

- Dobrze powiedziane - mruknął L'Pellerin. - Przejdźmy zatem do drugiego ostrzeżenia. Jeśli zbyt gorliwie zajmiecie się tą sprawą, możecie wszyscy znaleźć się w niebezpieczeństwie.

- Ze strony pana i pańskich policjantów?

- Zapewne nie. Nie przypuszczam, aby zabrakło wam rozumu. Sądzę, że będziecie trzymać się z dala od wszystkiego, co pachnie zbrodnią stanu. I od Torguthu, naturalnie. Nie zajmujemy się prawie niczym innym. Jednak Tuletia to nieustanna gra pozorów. Niewiele jest tutaj tym, na co wygląda. Bywa, że sytuacja zmienia się z dnia na dzień. Niech mi pan wierzy, że nawet Reynard może zwrócić się przeciwko wam, jeśli tylko mu się to opłaci.

- Dziękuję za ostrzeżenie - powiedział von Baldur. - A teraz, czy mogę zadać dwa pytania?

- Proszę - odparł z wahaniem L'Pellerin. - Chociaż nie obiecuję, że odpowiem.

- Po pierwsze, jakie są pańskie związki, pańskie i uniwersalistów, z prywatną firmą ochroniarską Cerberus Systems?

Gospodarz uniósł brwi.

- Wasz wywiad... - odezwał się - czy może raczej wywiad Reynarda... jest lepszy, niż myślałem. Informacja o umowie z Cerberusem nie została podana do wiadomości publicznej, choć nie dlatego, że sprawa jest tajna, lecz mało interesująca. Ale owszem, Cerberus ma agentów tutaj, w Tuletii, i mały zespół obserwacyjny na Światach Belfort. Firmę tę zaangażowali wbrew mojej woli pewni nazbyt nerwowi uniwersaliści, żeby czuwała nad rozwojem wypadków.

- Ja słyszałem, że wynajęto ją w celu zaciągnięcia Sufyerda do komory gazowej.

- To mogło być jedno z jej zadań.

- Teraz moja kolej, żeby pana ostrzec - powiedział von Baldur. - Cerberus nie słynie z zahamowań. Jego ludzie gotowi są prawie na wszystko, co tylko może im się przysłużyć.

- Nie wątpię, że oni to samo powiedzieliby o was. Niemniej, skoro wszyscy poruszamy się w strefie cienia, wiemy też świetnie, jak mało znaczy w niej moralność.

- Trafna uwaga - przyznał von Baldur. - Niemniej Cerberus i tak się wyróżnia. W moim odczuciu jego obecność zwiększa ryzyko.

L'Pellerin przechylił głowę.

- Wezmę to pod uwagę - powiedział. - A drugie pytanie?

- Jest złożone. Dlaczego tak zwani Maskowi nie muszą się obawiać policji i wydaje się

nawet, że korzystają z jej wsparcia? Mówię o czymś, co sam widziałem - powiedział von Baldur.

- Słyszałem, że tak się dzieje. - L'Pellerin skinął głową. - Trwa śledztwo, które ma to zweryfikować.

- Ilu funkcjonariuszy Biura Informacyjnego układu Dampier należy do Maskowych?

Przez twarz gospodarza przebiegło lekkie drżenie, ale zaraz się opanował.

- Z tego, co wiem, ani jeden. - Wstał. - Ale jeśli dowiem się o takim, zostanie potraktowany z całą surowością. Bardzo surowo. A teraz dziękuję już panu za poświęcenie mi czasu i wizytę. Tak czy tak mam nadzieję, że będziemy dzięki temu lepiej się rozumieć.

- Tego jestem pewien - oparł von Baldur.

15

- Wybaczam ci tę surową wołowinę - rzekła Jasmine, ocierając usta serwetką. - Tym razem była przynajmniej wędzona. W przyszłym miesiącu dojdziemy może do duszonej.

Grok zebrał kawałkiem sera resztkę słodkiego nadzienia tarty i splukał kęs poleconym przez właściciela lokalu likierem gruszkowym.

- Super - zahuczał. - Myślę o twoim wybaczeniu. A jedzenie też było wyśmienite.

Przez stół przewinęły się plastry wędzonej wołowiny, potem raclette - ser topiono przy nich na truflach - do tego sałatki i deser.

Jasmine stłumiła łagodne beknięcie i zobaczyła hologazetę, którą ktoś pozostawił na sąsiednim stoliku. Sięgnęła po nią zaciekawiona tytułem.

- „Tulecki Pacyfista”? Hm. Ciekawe.

Grok odwrócił spojrzenie, dostrzegłszy po raz drugi tego samego mężczyznę, który wszedł do lokalu i skierował się na zaplecze.

- Poziom złoty - powiedział półgłosem i przesuwał się w ten sposób, żeby w razie potrzeby łatwiej mu było sięgnąć do ukrytej na plecach kabury.

Jasmine zmarszczyła brwi, po chwili jednak zrozumiała i też przeniosła dłoń bliżej broni.

Nic się jednak nie zdarzyło. Mężczyzna przeszedł na tyły, a Jasmine wróciła do lektury tego, co było pod winiętą: „Już niebawem... wszystko o skandalach w Partii Uniwersalistów. Miłości, sekrety, oszustwa i rozwody. Prywatne listy premiera. Tajemnica niewinnego Sufyerda. Wykradzione plany obrony Światów Belfort i wiele, wiele więcej”.

- Ktoś z nas powinien chyba pofatygować się do redakcji i sprawdzić, czy naprawdę coś mają.

- Za chwilę - powiedział Grok. - Na razie proponuję oddać się trawieniu. I może wybrać się na spacer nad rzeką.

- Oczekujesz, że wyłączę myślenie? - spytała Jasmine.

- Oczywiście, że nie - odparł obcy. - Wystarczy, jeśli na chwilę przestaniesz się zajmować...

W drzwiach lokalu pojawiło się trzech mężczyzn. Dwaj mieli pistolety, trzeci ciężki blaster.

Kursy przetrwania, na które pilnie uczęszczała Jasmine, nie poszły na marne. Od razu przeszła na poziom czerwony.

Uniosła noszony w rękawie pistolet i strzeliła w pierś mężczyźnie z blasterem. Krzyknął i zatoczył się, podczas gdy drugi z napastników wymierzył broń w Groka. Ten spudłował, niszcząc jedynie reprodukcję obrazu przedstawiającego mężczyzn w skórzanych szortach, którzy dęli w groteskowo wielkie rogi.

Zanim napastnik zdążył wycelować ponownie, Jasmine trafiła go w głowę. Padł bez jęku. Moment później przemówił blaster Groka, wywalając solidną dziurę w klatce piersiowej trzeciego mężczyzny, który opadł na kolana, następnie umarł i dopiero potem zwałił się na podłogę.

Żona właściciela restauracji rozwrzeszczała się jak syrena.

- Wezwij policję! - rzucił do niej Grok, zrywając się z krzesła. - Natychmiast!

Kobieta umilkła, kiwnęła półprzytomnie głową i zniknęła na zapleczu.

Jasmine też wstała i podeszła do ostatniego żywego jeszcze napastnika, który żegnał się już z wolną z tym padołem. Trochę zbladła, ale wzięła się w garść.

Grok pospiesznie przeszukał jednego trupa, King kolejnego.

- Patrz - powiedziała, pokazując wyciągniętą z kieszeni maskę okrywającą jedynie okolice oczu, z kawałkiem materiału zwieszającym się na dolną część twarzy. - Maskowi.

- Na to wygląda - przyznał Grok. - Chyba powinniśmy się cieszyć, że zwróciliśmy ich uwagę. - W oddali rozległ się dźwięk syren, z każdą chwilą głośniejszy. - Chciałbym tylko wiedzieć, co właściwie do nas mają.

16

Następny dzień spędzili w wynajętej rezydencji, załatwiając kilka ważnych spraw.

Najpierw odbyli odprawę. Wszyscy pracownicy operacyjni Star Risk nosili przy sobie rejestratory, gdy zaś nie mogli ich użyć, korzystali z własnej pamięci. Na wszelki wypadek przeszli w tym celu intensywne szkolenie mnemotechniczne.

Riss zerknęła co jakiś czas na Jasmine, która wciąż była pod wrażeniem wczorajszej strzelaniny.

King miała właśnie telekonferencję z jednym ze stałych dostawców Star Risk. Dzięki takim kontaktom udawało im się zbijać koszty własne, zwłaszcza gdy nie musieli angażować dodatkowo licznej ekipy.

- Moment - powiedziała do rozmówcy. - Friedrich, potrzebujemy jeszcze czegoś od Asamyi?

- Nic nie przychodzi mi do głowy - stwierdził von Baldur. - Chyba że znalazłby jakiegoś tutejszego kucharza. Najlepiej repatrianta, żeby nie miał wielu miejscowych kontaktów. Będziemy jadać na miejscu, nie narażając się na niestrawność.

King lekko zadrżała.

- Nie, Asamya, niczego nie... Chociaż zaraz. M'chel do mnie macha.

- Mam pewien pomysł - powiedziała Riss. - Dobrze byłoby mieć szansę na szybką ewakuację. Może ze dwa patrolowce? Na przykład typu Pyrrhus. I po dwie załogi?

King przekazała pytanie i poczekała na odpowiedź.

- Znajdą się - oznajmiła po chwili.

- Świetnie - powiedziała M'chel. - Zwykle wymagania, zwykły kontrakt, całodobowa gotowość do działania. Powiedz im, że mogą sobie całymi dniami siedzieć i grać w chińczyka, ale w razie potrzeby mają robić za naszą kawalerię. Jeden patrolowiec zawsze na ziemi, drugi na orbicie, chyba że zrobi się gorąco i oba wyślemy w górę. Jasmine, przygotuj kontrakt z klauzulą, że jeśli zginiemy, nie dostaną nic ponad zwrot wydatków. Mogą zaczynać od jutra.

- Nieufna z ciebie sztuka, panno Riss - powiedział Goodnight, opierając się o drzwi wielkiej biblioteki, w której urządzili sobie biuro. - Jak możesz? Podejrzewasz, że ten czarujący świat mógłby napytać nam kłopotów?

- Mogę. Zwłaszcza po tym, jak te osiłki próbowały sprzątnąć dwoje naszych, nie dając im nic powiedzieć na swoją obronę. Moim zdaniem powinniśmy dobitnie wytłumaczyć tym zamaskowanym idiotom, żeby nie zaczepiali więcej naszej Jasmine.

- A ja się nie liczę? - spytał z urazą Grok.

- Jesteś dużym chłopcem i sam możesz się o siebie zatroszczyć - powiedział Goodnight. - Panna King to co innego. Wszyscy za nią odpowiadamy.

- Skąd ten paternalizm? - spytała podejrzliwie Jasmine. - Czy to kolejna próba zaciągnięcia mnie do łóżka?

- No nie - jęknął Chas. - Skąd ta złośliwość? Naprawdę podejrzewasz mnie o coś tak niegodziwego?

Usłyszał jakiś hałas na zewnątrz i podszedł do okna.

- Jasmine, przybyli zamówieni ochroniarze - powiedział. - Musieli przylecieć dzisiejszym liniowcem. Sama ich wprowadzisz czy ja mam to zrobić?

- Bądź tak miły - odparła Jasmine. - Muszę zrobić porządek w naszych zapisach.

- Nie wspominając o tym, że ktoś musi się przygotować na obiad z Fra Diavolo - wtrącił von Baldur.

- Z przyczyn filozoficznych chętnie skorzystałbym z tej okazji - powiedział Grok. - Niestety, czeka mnie rozplanowanie systemów bezpieczeństwa.

- Fra Diavolo... Z takim imieniem to chyba jakiś zbereźnik - mruknęła Jasmine.

- Dobrze - odezwała się M'chel, szczerząc zęby. - Zajmę się nim. Dawno już nie nakarmiłam żadnego zbereźnika jego własnymi gonadami.

Poszła na górę, do swojego pokoju. Goodnight spojrzął za nią i pokręcił głową.

- Cóż to za marnotrawstwo pięknego... - zaczął. - Mniejsza z tym.

Wziął wiszący na oparciu krzesła pas z bronią i przerzucił go przez ramię.

- A to po co? - spytał Grok. - Zamierzasz zastrzelić każdego, kto nie będzie ci pasował do mebli?

- Skądże. Chcę mieć tylko przy sobie jakiś onieśmielacz.

Otworzył bramę i wyszedł do ogrodu w chwili, gdy przed domem wylądowały dwa ślizgacze transportowe. Wylądowała się z nich dwudziestka mężczyzn i kobiet z najróżniejszymi bagażami.

Goodnight odnotował z uznaniem, że nikt z nich nie ma na sobie odzieży mogącej się chociaż kojarzyć z mundurem. Niestety, postawa oraz krótkie włosy i tak zdradzały ich profesję.

Chas usiadł na poręczy ganku i poczekał, aż zostanie zauważony i trochę ucichną

rozmowy.

- Dzień dobry - powiedział. - Nazywam się Chas Goodnight i jestem jednym z waszych szefów. Niektórzy z was już mnie znają. Widziałem w waszych papierach, że z niektórymi już kiedyś pracowaliśmy. Skoro tak, opowiedzcie o mnie pozostałym. Wszyscy wachaliście proch i bywacie z natury podejrzliwi. Obecnie najważniejsze, żebyście zapamiętali, że tutaj jedyni wasi przyjaciele to koledzy i koleżanki z oddziału oraz my. Nigdy nie wystawiliśmy nikogo, kto dla nas pracował, ani nie odmówiliśmy mu wsparcia. Tego samego oczekujemy od was. Nie rozwodząc się, dodam jeszcze, że nie będę tolerował ryzykanctwa ani chojractwa. Poza mną są tu jeszcze cztery osoby z firmy. Spotkacie je wewnątrz. Macie wykonywać ich rozkazy bez dyskusji i sprzeciwów. Nie zamierzamy czepiać się fryzur ani strojów, póki będziecie wszyscy czysti i schludni. No i niczego nie spieprzycie. Pierwszy drobny błąd będzie kosztował obcięcie wynagrodzenia. Drugi albo pierwszy poważny spowoduje unieważnienie kontraktu i zanim się zorientujecie, będziecie już w drodze powrotnej. Duża pomyłka może kosztować życie. Zajmie się tym albo druga strona, albo ja osobiście. Nie pójdziemy do sądu, sami wszystko załatwimy. Wszyscy podpisaliście umowy. My będziemy je honorować, wy nie musicie. Jednak jeśli ktoś zrezygnuje, niech lepiej czym prędzej wynosi się z tej planety albo sam go wyekspediuję. Nikt z naszych ludzi nie będzie rzucał roboty, żeby pracować dla przeciwnika.

Waszym podstawowym zadaniem będzie ochrona tej koszmarnej chałupy, w której mieszkamy. Macie kwatery w lewym skrzydle. Sami pilnujcie tam porządku, bo nie zatrudniamy sprzątaczek. Dziś lub jutro zjawi się miejscowa ekipa, żeby zamontować wokół domu gadzety w rodzaju drutu ostrzowego, czujników, granatów gazowych i tak dalej. Zwykła sprawa. Będziecie patrzeć im na ręce, żeby na pewno o niczym nie zapomnieli i dokładnie wszystko podłączyli. Gdy miejscowi sobie pójdą, ktoś z nas na wszelki wypadek dokona kilku zmian w systemie. Jak wspomniałem, macie ochraniać rezydencję, czasem też naszych ludzi, gdy zdarzy się komuś wyjść. Zostaniecie podzieleni na pary i traficie do rozpiski. Jedno i drugie będzie się zmieniać co jakiś czas.

I jeszcze jedno. Nikomu nie ufamy. Gdyby trafiła się dodatkowa robota, ochotnicy dostaną premię poza uwzględnionymi w kontrakcie. Niebawem dowiecie się, kim są nasi przeciwnicy. To więcej niż jedna grupa i nie jesteśmy nawet pewni, czy wszystkich ich już zidentyfikowaliśmy. Na pewno należy do tego grona firma zwana Cerberus Systems. Dlatego nasz agent pytał, czy kiedykolwiek dla nich pracowaliście albo zdarzało wam się mieć z nimi kłopoty. Wszyscy powiedzieliście, że nie. Wolałbym, żeby okazało się to prawdą.

Półowę zasadniczego planowanego wynagrodzenia możecie odebrać w każdej chwili u

Jasmine King, która zarządza naszymi finansami. Reszta będzie przesyłana w tygodniowych ratach na wskazane przez was konta w bankach na innych światach. Jeśli wszystko się uda, będzie premia. Jeśli spieprzymy sprawę, będzie tylko kac i zwrot wydatków. To standardowa umowa i niech nikt nie gra teraz domorosłego prawnika. Każdy widział, co podpisuje. Nie zyskacie naszej sympatii, próbując coś zmieniać. No i nie uda wam się to. Mamy lepszych prawników. Poza służbą robicie co chcecie. Możecie pójść sobie do miasta czy gdziekolwiek, ale tylko dwójkami. Po części dla waszego bezpieczeństwa. Ktoś próbował wczoraj wieczorem sprzątnąć dwoje naszych. Dla waszej informacji, wszyscy trzej napastnicy zginęli na miejscu. Jest jednak jeszcze jeden powód, dla którego nie chcemy, żebyście szwendali się samotnie. Myślę, że jest on oczywisty.

- Naprawdę nam nie ufacie! - zawołał jakiś brodaty mężczyzna. - Mam rację, Chas?!

Goodnight pokazał zęby w uśmiechu.

- Miło, że z nami jesteś, Erm - powiedział. - Dawno się nie widzieliśmy. Masz rację. Jak wspomniałem, nie ufam nikomu z was. A teraz zacznijcie o nas dbać, a my zadbamy o was.

17

Wbrew oczekiwaniom M'chel Fra Diavolo w ogóle nie wyglądał na zbereźnika.

Był przystojny, średniego wzrostu i przypominał Chrystusa z malowideł El Greca. Z poważnym wyrazem twarzy oprowadził Riss po swojej rozległej rezydencji na skraju miasta.

Wyjaśnił, że przez ponad pięćdziesiąt lat był tylko pisarzem, aż ze dwie dziesiątki lat temu odkrył „drogę do serc ludu”. Zaczął zgłębiać trawiące społeczeństwo zło i okraszać swe powieści seksem oraz brutalnością w stopniu wystarczającym, żeby czytelnik nie mógł się od nich oderwać.

- Jednak pewnego dnia zrozumiałem, że pisanie już mnie nie interesuje. Ważniejsze stało się dla mnie prawdziwe cierpienie mego ludu oraz walka z niesprawiedliwością i złem czynionym przez możnych tego świata.

Obecnie pisywał tylko opowiadania wykorzystywane w holo, które piętnowały wszelką krzywdę.

- Zwłaszcza to, co spotkało nieszczęsnego Sufyerda, człowieka skazanego na śmierć przez religię, którą wyznaje. Stał się kozłem ofiarnym, co ma ochronić prawdziwych sprawców.

- Sprawców? - spytała Riss. - To jest ich więcej?

- Oczywiście. Jeden człowiek nie zdołałby skopiować tych planów i przekazać ich na Torguth bez wsparcia. Musiał mieć współników, a ja zamierzam ich wykryć. Gdy już wyznają swoje winy, chcę nie tylko uwolnić Sufyerda, ale też pomóc mu odzyskać reputację i wyprocesować wysokie odszkodowanie. Żałuję tylko - dodał ze smutkiem - że nie wiem, jak tego dokonać. Dlatego ucieszyłem się, słysząc, że Reynard zaangażował specjalistów z zewnątrz, chociaż oczekiwałem liczniejszej grupy.

- W razie potrzeby ściągamy wsparcie - powiedziała Riss. - Nie zwykliśmy marnować pieniędzy klienta na utrzymywanie tłumu darmozjadów.

Fra Diavolo pokiwał głową.

- Macie jakiś plan działania? - zapytał.

Riss uśmiechnęła się.

- Owszem, ale nie zamierzamy o nim opowiadać - odpowiedziała. - Nawet sprzymierzeńcom Sufyerda.

Gospodarz ponownie kiwnął głową.

- Ma pani rację. Na pewno wiecie już, że niemal wszyscy, ze mną włącznie, pragną upiec przy tej okazji własną pieczeń.

Riss chrząknęła dwuznacznie.

- Spróbuję zatem raz jeszcze - powiedział Fra Diavolo. - Jak mogę wam pomóc?

- Pan, osobiście?

- Tak... Dodam, chociaż zapewne już to wiecie, że jest całkiem spora grupa ludzi, którzy zdecydowali się mnie wspierać.

Podprowadził ją do okna i wskazał na skupisko domów ustawionych niczym w obozie wojskowym. Na otwartym terenie między nimi widać było z setkę ludzi w brunatnych mundurach. Właśnie odbywali ćwiczenia.

- Moja organizacja nie ma nazwy - powiedział Fra Diavolo. - Nie potrzebujemy jej, zwłaszcza że zapewne nigdy nie weźmiemy udziału w żadnej paradzie, nie będzie uroczystych apeli z rozdawaniem medali. To część moich ludzi. Ci, którzy cały swój czas poświęcają służbie. Tylko tak biedni mogą się odwdziżyć. Mam też zwolenników wśród klasy średniej, a raczej tej jej części, która rozumie, że Dampier potrzebuje zmian. No i nielicznych przyjaciół w klasie wyższej.

- Przypuszczam, że zwarte oddziały paramilitarne nie będą nam na razie potrzebne - odezwała się Riss.

- Jest jeszcze wielu innych, gotowych pomóc na inne sposoby.

- Dobrze zatem - stwierdziła Riss. - Czy ma pan jakieś źródła na samym Torgucie? Zwłaszcza w ich wywiadzie.

- Dwa - odparł Fra Diavolo. - Oba w kręgach handlowych, chociaż podejrzewam, że każda z tych osób jest podwójnym, może nawet potrójnym agentem. Niestety, ich usługi słono kosztują.

- Albo ja, albo ktoś inny ze Star Risk będzie chciał z nimi porozmawiać. A właściwie zadać jedno pytanie. Dobrze zapłacimy.

- Mogę spytać, jakie to pytanie?

Riss tylko się uśmiechnęła. Nie wiedziała jeszcze, jakiej informacji mogą potrzebować.

- Rozumiem - powiedział Fra Diavolo. - Jest pani gotowa udać się na Torguth? Tamtejszy rząd prowadzi bardzo restrykcyjną politykę wobec podróżnych.

- Tak. Ja albo ktoś z mojej firmy. Damy radę dotrzeć tam incognito, nie zwracając uwagi.

- Poczynię stosowne przygotowania, chociaż niczego nie mogę zagwarantować - odparł Diavolo. - Co jeszcze?

- Dwoje z moich partnerów miało wczoraj... spotkanie z Maskowymi. Nie udało się rozejść w pokój.

- Słyszałem o strzelaninie w L'Montagnard.

- Zależy mi na adresie albo adresach, pod którymi moglibyśmy spotkać członków tej grupy.

- Czy mogę spytać...? - rzekł Diavolo. - Nie. Nawet ktoś tak wiekowy jak ja czasem czegoś się uczy. Zwłaszcza od kogoś równie dyskretnego jak pani. Bez trudu zdobędę kilka nazwisk. Muszę jednak panią ostrzec. Maskowi są powiązani z Biurem Informacyjnym Dampieru i panem L'Pellerinem oraz tutejszą skrajną prawicą.

- Słyszałam, że niektórzy z nich są nawet funkcjonariuszami BID.

- Naprawdę? I nie obawia się pani?

Riss pokręciła głową.

- Nie boimy się gliniarzy - powiedziała - zwłaszcza takich, którym brakuje jaj, żeby wystąpić otwarcie.

Diavolo spojrzał na nią z szacunkiem.

- Spodziewałbym się takiego stwierdzenia po podfruwajce, ale dojrzała kobieta... Wyraźnie należy się z wami liczyć.

- Mam nadzieję - odparła M'chel. - Tyle że chyba jeszcze nie wszyscy tutaj to zrozumieli.

- Podam pani listę po obiedzie - powiedział Diavolo. - Mój wywiad może nie dorównywać waszemu, ale nie jest najgorszy. W odróżnieniu od firmy L'Pellerina, który

przechwala się, że ma wszystkich torguckich szpiegów na oku, i obiecuje, że w razie potrzeby może ich błyskawicznie aresztować. - Zaśmiał się ponuro. - Zdziwi się, gdy spróbuje. My wiemy o co najmniej dziesięciu kolejnych. Nie wspominając o tej ekipie, która wykradła plany obrony Światów Belfort. - Możemy teraz przejść do jadalni? - zapytał. - Lekarz pozwolił mi na jednego drinka dziennie i już nie mogę się doczekać. - Uśmiechnął się przebiegle. - Tak, panno Riss. Bardzo się cieszę, że panią poznałem, i mam nadzieję, że razem coś zdziałamy. Pora wziąć to nasze gnuśne społeczeństwo za kark i tak nim potrząsnąć, żeby mu wszystkie zęby zadzwoniły!

18

Grok opuścił posiadłość, bulgocząc z cicha, co było u niego odpowiednikiem ludzkiego pomrukiwania pod nosem. Mimo ciepłego wieczoru włożył obszerny płaszcz oraz jaskrawoczerwony beret.

Pod płaszczem dźwigał karabin ze składaną kolbą, kolekcję granatów oraz blaster i sztylet na szelkach.

Jemu też nie spodobało się to, co wydarzyło się poprzedniego dnia, i trzy ciała napastników nie rekompensowały, jego zdaniem, przeżytego stresu. Zamierzał udać się na przechadzkę w nadziei, że Maskowi pójdą jego tropem i będą próbowali wykorzystać okazję do rewanzu.

Przeszedł przez ulicę i skierował się ku jednemu z nadrzecznych bulwarów. Gdy ujrzał, że ktoś wstaje z nieodległej ławki, wsunął rękę pod połę płaszcza.

Tamten jednak pokazał otwarte dłonie, co miało sygnalizować pokojowe intencje, i lekko kulejąc, ruszył w stronę Groka. Był to bardzo szczupły, wysoki mężczyzna o szerokich ramionach. Jedną stronę twarzy miał jakby nieruchomą, z bardziej lśniąca skórą, co było zapewne śladem rozległego zabiegu rekonstrukcyjnego.

Grok, który nauczył się ufać jedynie swoim partnerom z firmy, wciąż zaciskał dłoń na kolbie blastera.

- Witam cię, Amanandralo Grokkonomonslfie - powiedział mężczyzna w języku Groka. Akcent miał niewłaściwy, a jego głos tylko trochę wznosił się ponad szept.

- I ja cię witam - odparł obcy.

- Nazywam się Walter Nowotny, reprezentuję Cerberus Systems - powiedział mężczyzna,

przechodząc na wspólny. - Chciałbym porozmawiać.

- Dobrze - odparł Grok. - Jeśli to jednak zasadzka, drogo za to zapłacisz.

- Mógłbym zaręczyć słowem, ale wiem, że dla kogoś ze Star Risk moje słowo niewiele znaczy.

- Istotnie - mruknął Grok. - Idź krok przede mną w stronę rzeki. Znajdziemy tam jakiś zakątek, w którym można spokojnie porozmawiać.

- Jak sobie życzysz - zgodził się Nowotny i pokiwał głową.

W milczeniu dotarli na nabrzeże. Grok zatrzymał się przy przystanku pojazdów komunikacji miejskiej i wskazał ławkę.

Nowotny usiadł.

- Chcę przekazać ostrzeżenie - powiedział bez wstępów.

- Czy to groźba? - spytał Grok.

- W żadnym razie. Nie jesteście zagrożeniem dla Cerberusa, dlaczego więc mielibyśmy występować przeciwko wam? - dodał z westchnieniem. - Obawiam się, że to, jak potraktowaliśmy pannę King, gdy u nas pracowała, nastawiło was niechętnie do naszej firmy i zapewne nic już nie da się z tym zrobić. Niemniej w tym wypadku moje motywy nie mają nic wspólnego z zaszłościami. Ostrzeżenie, o którym wspomniałem, dotyczy tego układu. Rzecz w tym, że nikomu nie powinniście tu ufać. Zwłaszcza że nie macie dość sił, żeby obronić się przed wszystkimi. O wykonaniu zadania nie wspominając. Nie zdołacie wspomóc tego głupca Reynarda, który zamyślił sobie oczyścić Sufyerda z zarzutów.

- Wszyscy nas tu przed czymś ostrzegają - mruknął Grok. - I na dodatek świetnie wiedzą, co tutaj robimy.

- Trudno, żeby było inaczej - powiedział Nowotny. - Reynard już od kilku miesięcy rozpowiadał wszędzie, że znajdzie kogoś, kto ujawni prawdę. Starczyło dodać dwa do dwóch.

Grok chrząknął.

- Po pierwsze - ciągnął Nowotny - nie sądzę, żebyście osiągnęli cokolwiek poza wydojeniem Reynarda z gotówki. Po drugie, nie przypuszczam, żebyście byli skłonni zrezygnować z tej roboty za łapówkę. Już tego próbowałem i nie udało się. Wasz szef hołduje osobliwemu i absurdalnemu w tym fachu kodeksowi etycznemu.

- To romantyczna osobowość - zgodził się Grok.

Nowotny zerknął zaskoczony na obcego, ale zaraz się opanował.

- Musicie zrozumieć, że to niebezpieczna sytuacja - dodał. - Torguth zamierza wkrótce skorygować pewne błędy z przeszłości.

- Masz na myśli inwazję na Światy Belfort - powiedział Grok. - Czy to znaczy, że

jesteście także na ich żołądziej?

- Jeśli zaprzeczę, i tak mi nie uwierzysz. Ale nie jesteśmy.

- Tak zatem zostałem ostrzeżony - stwierdził obcy i wstał z ławki. - Czy mogę się znów oddać mojej poobiedniej przechadzce?

Nowotny spojrzał na niego z uwagą.

- Chwilowo tak - rzekł. - Ale zainteresowało mnie coś, co powiedziałeś przed chwilą.

- Tak?

- Chodzi o twoje zdanie na temat Friedricha von Baldura. Czy zgadzasz się, że jego zasadą, żeby trzymać się litery kontraktu, dopóki zadanie nie zostanie wykonane, okaże się niewykonalne albo zleceniodawca zrezygnuje, jest trochę niezyciowa?

- W tym świecie zapewne tak. I nie mam na myśli planety, na której jesteśmy, ale całą galaktykę.

- Może zatem byłbyś skłonny przyjąć pewną propozycję z naszej strony?

- Czego dotycząca?

- Niczego, co naraziłoby twoich partnerów na szwank - powiedział pośpiesznie Nowotny.

- Obu nam mogłaby posłużyć pewna doza współpracy. Mam na myśli informacje na temat zamiarów Star Risk oraz zakresu informacji, które możecie zdobyć na temat sprawy Sufyerda.

Grok warknął i ponownie usiadł.

- Porozmawiajmy - powiedział.

*

Obcy wszedł po schodach rezydencji. Złożył całe uzbrojenie na najbliższym stole i poszedł szukać kogoś, żeby podzielić się nowinami.

W najbliższym salonie wylegiwał się Goodnight. Przeglądał jakieś czasopismo.

- Wyglądasz jak kot, który dorwał się do śmietanki - powiedział do Groka. - Co się stało?

- Coś ciekawego - odparł obcy. - Chyba powinniście być ze mnie dumni.

- To naturalne, biorąc pod uwagę twój wzrost.

- Dobra. Właśnie sprzedałem Star Risk.

- Komuś, kogo znam? - spytał spokojnie Goodnight.

- Cerberusowi! - wyrzucił z siebie Grok. - Ich człowiek, niejaki Nowotny, spotkał mnie nad rzeką. Zaproponował, żebym informował go o wszystkich naszych osiągnięciach.

- Przyjąłeś propozycję?

- Owszem.

- Za ile?

- Dziesięć tysięcy kredytów za każde spotkanie. To powinno trochę wyrównać nasz bilans wydatków.

Goodnight zerwał się na nogi i przybił piątkę z obcym.

- Dobrze. Bardzo dobrze. Zaczynałem się już niepokoić, że jesteś trochę zbyt prostolinijny do tej roboty. Dostałeś pierwszą wypłatę?

- Nowotny obiecał, że zapłaci przy następnym spotkaniu.

Goodnight usiadł i pokręcił głową.

- Wciąż nie tak, młody Groku. Prawdziwy drań, taki jak ja i ty, jakim się kiedyś, mam nadzieję, staniesz, zawsze żąda forsy z góry.

19

Głosnomówiący nagłówek z hologazety „Świat Montrois”, oficjalnego organu Partii Niezależnej:

TORGUCKA FLOTA ZAGRAŻA
UKŁADOWI BELFORT
Manewry mogą zaburzyć
pokojową równowagę

Nasi korespondenci donoszą

Wielka Rada Torguthu ogłosiła dzisiaj, że coroczne manewry jej floty wojennej odbędą się w obszarze oddalonym nie bardziej niż pięć lat świetlnych od układu Belfort. Najwyższe dowództwo Dampieru uznało, że to posunięcie może zagrozić pokojowi panującemu obecnie między obiema stronami. Pokoju dwukrotnie już zakłóconego przez zbrojne działania Torguthu.

Niemniej premier Ladier apeluje o zachowanie spokoju i zapowiedział wydelegowanie na Torguth specjalnego wysłannika, który przedstawi w odpowiednim czasie stanowisko Dampieru.

„Nie wątpię, że rozsądek przeważy”, powiedział. „Apeluję do naszych obywateli o zachowanie spokoju i unikanie działań, które mogłyby zaognić sytuację”.

Odmienne stanowisko zajął były premier Reynard, który stwierdził: „Torguth ma krótką pamięć i ponownie zamierza wystawić na próbę naszą siłę. Nasza reakcja powinna być twarda i zdecydowana. Winniśmy postawić naszą flotę co najmniej w stan gotowości”.

Inni członkowie rządzącej Partii Uniwersalistów nie podzielają stanowiska Reynarda, uważają bowiem, że sytuacja nie jest aż tak poważna i...

20

Riss i Goodnight przejrzeni dostarczoną przez Fra Diavolo listę lokali oraz kryjówek Maskowych i znaleźli jedną, która idealnie pasowała do zamiarów ekipy Star Risk.

Była to rozległa posiadłość w bogatej niegdyś dzielnicy Tuletii, obecnie bardzo podupadłej.

- Chodzi o to, że biedacy nie biegną na policję za każdym razem, gdy usłyszą jakiś łomot w sąsiedztwie - wyjaśnił Goodnight, gdy Jasmine spytała, dlaczego właśnie tam. - Po drugie, dwie przecznice dalej jest przystanek. Hałas powodowany przez ciężkie ślizgacze zagłusza wrzaski i strzały.

- A co dokładnie zamierzacie zrobić? - chciała wiedzieć Jasmine.

- Spokojnie, panienko - stwierdził łagodnie Goodnight. - Chcemy wygłosić pogadankę umoralniającą. - Mówiąc to, uśmiechnął się jakoś dziwnie. M'chel też.

Riss znalazła w serwisie miejskim pewne ogłoszenie.

- Wygląda na idealną okazję - powiedziała. - I odbywa się niedaleko naszych przyjaciół. Odczyt na temat powszechnej równości i jawniejszego działania wymiaru sprawiedliwości. Tak skrajni patrioci, jak i Maskowi na pewno zgłoszą weto. Dwa dni od dzisiaj.

- Tak - mruknął Goodnight. - Na pewno nie przegapią sposobności.

Tego i następnego wieczoru Goodnight i Riss wybrali się na rozpoznanie terenu. Pod zwykłymi strojami mieli czarne kombinezony. Uważnie obserwowali wszystkich napotkanych i zebrali sporo materiału filmowego.

- Musimy przyłapać tych drani w chwili, gdy nakładają maski, żeby napastować w nich wdowy i sieroty oraz wszystkich, którzy wybiorą się na to spotkanie - wyjaśnił Goodnight.

- Skoro odczyt jest o dziewiętnastej, pewnie zjawią się trochę wcześniej - powiedziała Riss.

- Jesteście przekonani, że to konieczne? - spytał von Baldur. - Nie mam złudzeń, że

prędzej czy później zderzymy się z L'Pellerinem, ale naprawdę musi dojść do tego już teraz?

- Moim zdaniem tak - odparła M'chel. - Na gliniarzy nie działają inne argumenty oprócz siłowych.

- To prawda - mruknął von Baldur.

- Poza tym - wtrącił Grok - dobrze będzie pokazać im w tym ciężkich czasach, jak właściwie wykorzystywać narzędzia przemocy i zastraszania.

- Rozumiem, że masz ochotę komuś dokopać - powiedział von Baldur do obcego. - Ale gdzie, u diabła, naczytałeś się o „ciężkich czasach“?

- Ogólnie masz rację - odparł Grok. - Niemniej, tak jak ludzie, odczuwam potrzebę racjonalizowania swoich sadystycznych zapędów, a każda istota rozumna uczy się całe życie.

W dniu odczytu Goodnight pisemnie przekazał strażnikom, że każdy, kto nie ma akurat służby i chce zarobić sto kredytów ekstra, winien podpisać się u dołu kartki z komunikatem. Zapewnił też, że nie chodzi o nic nielegalnego. Podpisali się wszyscy, którzy nie mieli służby.

- Chcemy, żebyście zablokowali ulicę z obu stron - wyjaśnił im Goodnight. - Macie powstrzymać ciekawskich. Gdyby pokazały się policyjne ślizgacze, do czego najpewniej nie dojdzie, bo moim zdaniem gliny dostały instrukcje, żeby trzymać się od tego z daleka, ogłosicie alarm i zaraz się wyniesiecie.

Ludzie zjedli wczesną kolację, przebrali się na czarno, wyfasowali broń boczną, granaty gazowe i hukowe oraz pałki. Partnerzy ze Star Risk wybrali nieco cięższy oręż. Grok wziął granatnik, którego nie udźwignąłby zapewne nikt poza nim. Riss przygarnęła niewielki miotacz płomieni i tylko Jasmine, po krótkim wahaniu, poprzestała na osobistym blasterze. Wszyscy wyposażyli się też w hełmy ze wzmacniaczami światła.

Byli gotowi.

Ślizgacze czekały przed posiadłością. Cała ekipa wsiadła bez słowa i skierowała się na zachód, w przeciwną stronę niż dzielnica biedy. Wcześniej rozpuszczono pogłoskę, że Star Risk planuje na ten wieczór nocne ćwiczenia na odległym pustkowiu, żeby sprawdzić umiejętności zatrudnionej ekipy.

Za miastem skręcili i trzymając się bardzo nisko, poniżej zasięgu radarów, wlecieli z powrotem między domy. Wylądowali w opuszczonej stacji przeladunkowej odległej o półtorej przecznicy od siedziby Maskowych. O zmroku zostawili warty przy ślizgaczach i ruszyli do celu.

Szli ulicą, udając zwykłych, przypadkowych przechodniów. O osiemnastej było już całkiem ciemno. Wedle dostępnych danych, niedoszli napastnicy powinni już być w komplecie, Start Risk otoczył zatem szczelnym kordonem ich legowisko. Dokładnie o 18.15

Riss przemknęła na tyły i uruchomiła miotacz ognia.

Leżące za domem stosy rupieci zajęły się w kilka sekund. Gdzieś w domu rozległy się pierwsze krzyki. M'chel przeszła bokiem na ulicę i skryła się za porzuconym ślizgaczem.

Goodnight i Baldur wyszli z za rogu z granatami w dłoniach. Rzucili je prawie jednocześnie. Oba wybuchły dokładnie przed wejściem do rezydencji, wywołując lawinę szkła z okien i kolejne krzyki, tym razem nie tylko strachu i zaskoczenia.

Wielkie drzwi frontowe otworzyły się. Grok skorzystał z tego i natychmiast posłał trzy granaty w głąb domu. Ich eksplozja wyrzuciła przez okna kilka ciał. Jakiś mężczyzna wybiegł z domu, wymachując pistoletem i domagając się głośno, żeby ktoś wezwał policję. Został zastrzelony przez Jasmine.

M'chel posłała strugę ognia w jedno z wybitych okien na parterze. Rama błyskawicznie stopniała. Riss zgasiła na chwilę płomień i rozpyliła we wnętrzu łatwopalną mieszankę. Potem ją podpałiła. Kula ognia buchnęła aż na ulicę, przypalając brwi M'chel, która uznała, że pora nieco się cofnąć, zwłaszcza że Goodnight zaczął strzelać jej tuż nad głową.

Poleciały kolejne granaty. Riss ujrzała, że ktoś próbuje wyskoczyć z okna. Skierowała na niego miotacz i uciekinier zapłonął, potknął się i upadł.

Stojąca obok niej King zbladła.

- Nie przejmuj się - rzuciła jej M'chel. - Gdyby tylko mógł, zaraz by cię zastrzelił.

Jasmine kiwnęła głową i ujęła blaster w obie dłonie. Sprawnie wyeliminowała dwie osoby, które pojawiły się z lewej strony domu.

- Dobrze - pochwaliła ją Riss, zrzucając z ramion pusty zbiornik miotacza.

Von Baldur przełączył blaster na ogień ciągły i podpałił budynek. Płomienie przebiły dach i rosły coraz wyższe.

Goodnight dostrzegł, że ktoś w sąsiedztwie odsuwa zasłonę w oknie. Zamachał na ciekawskiego, który natychmiast zniknął. Chas opróżnił magazynek w dom i nie dostrzegając już żadnego celu, wybiegł na środek ulicy.

- Załatwione! - krzyknął. - Idziemy!

Nagle urwały się strzały i przez chwilę słychać było tylko tupot stóp, huk ognia i jęki umierających Maskowych.

*

- Dobry Panie - jęknął Reynard. - Wynająłem was, byście udowodnili, że Sufyerd jest niewinny, a nie do mordowania. - Odwrócił się od mikrofonu i zerknął na tekst gazety. - Podają, że zginęło tam co najmniej dwadzieścia, może nawet czterdzieści osób.

- To byli Maskowi - poprawił go von Baldur. - Wrogowie pańscy i nasi.

- Nie zyskałem obecnej pozycji, paląc wszystkich, którzy się ze mną nie zgadzali - powiedział Reynard.

- Przykro mi, że to wydarzenie pana stresuje - powiedział von Baldur. - Nie muszę chyba dodawać, że cała nasza ekipa, podobnie jak i pracownicy, przebywała wówczas w naszej siedzibie.

- Nie wątpię, że potraficie zapewnić sobie nawzajem alibi.

- I słusznie. Jestem też przekonany, że i pan, i my tak samo cenimy pewne niezmiennie, szczytne wartości.

Reynard zacisnął wargi. Von Baldur był pewien, że były premier stara się opanować śmiech.

- L'Pellerin odezwał się do mnie wczoraj, zaraz po tym... zdarzeniu - powiedział po chwili. - Próbowałem potem skontaktować się z wami, ale wszystkie komunikatory były wyłączone.

- Przeprowadzaliśmy rutynową kontrolę przeciwposłuchową - odparł von Baldur. - Pechowo się złożyło, że dowiedzieliśmy się o wszystkim dopiero dziś rano.

- Ostrzegano mnie, że stosujecie brutalne metody - stwierdził Reynard. - Nie wyobrażałem sobie jednak, że możecie być aż tak okrutni.

- Robimy, co należy.

- Nie wątpię. Ale co dalej? Uderzenie ładunkiem atomowym w parlament?

- Gdyby miało do tego dojść, postaramy się pana ostrzec - powiedział von Baldur.

- To szaleństwo, czyste szaleństwo - mruknął Reynard i ekran pociemniał.

- Mamy kłopoty? - spytał Grok.

- Nie wydaje mi się - odparł von Baldur. - Myślę, że chciał mieć tylko nagranie świadczące, że coś próbował zrobić na wypadek, gdybyśmy znowu coś wykombinowali. A właściwie nie gdybyśmy, ale gdy to wykombinujemy.

- Masz jakiś pomysł? - spytała Riss.

- Właśnie - odezwał się Goodnight. - Co dalej? Nasi ludzie są rozgoryczeni, że nie daliśmy im okazji do zabawy.

- Moim zdaniem pora odwiedzić Torguth - stwierdził von Baldur. - Zamierzam sprawdzić, na ile zasadna jest tutejsza histeria na temat zagrożenia z tej strony. Chcę wybrać się sam, ponieważ mam dla was inną robotę tutaj, na Montrois. Grok, byłoby dobrze, gdybyś ponownie spotkał się z Sufyerdem. Powinniśmy mu zadać kilka nowych pytań. Potem dam ci listę. M'chel, ty będziesz bronić domu. Jasmine...

- Myślałam, żeby skontaktować się z redakcją tej pacyfistycznej gazety i poprosić o wspomniane tam prywatne listy premiera Ladiera. Chcę sprawdzić, czy rzeczywiście jest w nich coś o Sufyerdzie.

- Dobrze - powiedział von Baldur.

- A ja? - spytał Goodnight.

- Ty powinieneś chyba zrobić wszystko, żeby mniej rzucać się w oczy, Chas. Coś mi podpowiada, że niebawem przyjdzie nam skorzystać z twoich niejawnych zdolności.

- Wspaniale - mruknął Goodnight. - Tego mi brakowało. Na razie jednak planuję krótką wycieczkę. Czekam tylko na zamówione patrolowce. Chcę sprawdzić, czy nasi przyjaciele robią swoje, jak powinni. Wezmę tylko jedną łajbę i przy odrobinie szczęścia nie będę musiał nawet nikogo zabijać.

- No to ruszaj, tajemniczy mścicielu - powiedziała Riss.

- Dziękuję - odparł Chas. - Zrobię wszystko, żeby zasłużyć na to miano.

- Grok, wybrałbyś się dziś ze mną do L'Montagnard? - spytała Jasmine. - Nie przypuszczam, żeby tym razem ktoś próbował zakłócić nam spokój.

- Z rozkoszą, kochana Jasmine. Z wielką rozkoszą.

21

Patrolowce przyleciały zgodnie z grafiką. Załogi nie kryły niezadowolenia, gdy dotarło do nich, że ekipa Star Risk nie żartowała, uprzedzając, że nie będzie żadnego włączenia się po portowych barach i że co najmniej jeden ze stateczków ma cały czas krążyć na niskiej orbicie.

Goodnight przeprowadził kilka rozmów, wziął jeden patrolowiec i przekazał pilotowi plan lotu przewidujący udanie się na niewielką planetę odległą o dwadzieścia lat świetlnych.

Zaraz po wyjściu z nadprzestrzeni kazał mu ją trzykrotnie okrążyć i dopiero potem lądować.

Gdy byli już na prostej do lądowania, pilot spojrzał pytająco na Goodnighta.

- Słuchaj, młody - powiedział Chas. - Wiem, że nigdy wcześniej dla nas nie pracowałeś, ale uspokój się. Wiemy, co robimy.

- Ale po co te trzy okrążenia?

- Ponieważ to jest planeta Sojuszu. A w każdym razie kontrolowana przez Sojusz,

prawda?

- Prawda - odparł pilot. - Z tego, co wiem, dlatego właśnie tu przylecieliśmy.

Na ekranie zapalił się napis PRZYZIEMIENIE.

- Dobra, potem wyjaśnię resztę - powiedział Goodnight. - Na razie bądź gotów do startu. Natychmiastowego, bez proszenia o zgodę. Nawet o zgodę na kołowanie.

- Ależ to naruszenie procedur - zaprotestował pilot.

- Święte słowa. Ale ty już nie służysz w siłach Sojuszu?

- No nie.

- Wywalili cię bez litości?

- No tak.

- W ramach programu redukcji personelu latającego. Co oznacza, że wszystkie twoje marzenia, żeby sobie polatać i zostać potem najmłodszym admirałem w historii, diabli wzięli, prawda?

Pilot nie odpowiedział.

- To prowadzi do jednego - ciągnął Chas - oni są twoimi wrogami. Jeśli tak nie myślałeś, decydując się na karierę najemnika, szybko do tego dojdiesz. A teraz czekaj za sterami i bądź gotów. I jeszcze jedno. Mam w kieszeni mały moduł łączności. Gdyby w okolicy pojawiło się cokolwiek interesującego, na przykład jakiś okręt Sojuszu, zaraz daj mi znać, dobrze? I to nie jest prośba, lecz rozkaz.

*

Goodnight nie mógł wyjść z podziwu nad zdolnościami i potencjałem Sojuszu. Nawet na tym odległym świecie, gdzie cała placówka administracyjna mieściła się w dwóch budynkach, wprawna ekipa biurokratów kazała mu czekać ponad pół godziny.

Spędził ten czas, gapiąc się w okno portu kosmicznego, sprawdzając co rusz odbiornik i powątpiewając w słowność pilota. Wpatrywał też oznak paniki w zachowaniu personelu.

Nic jednak nie dostrzegł i w końcu został zaproszony do gabinetu, w którym czekała na niego niespodzianka.

Siedzący za biurkiem niewysoki mężczyzna niczym by się nie wyróżniał, gdyby nie jego lodowate spojrzenie.

- Wielki Boże, Kruger - jęknął Goodnight. - Co takiego zrobiłeś, że zesłali cię na to zadupie?

W dawnych czasach służby w siłach specjalnych Sojuszu Kruger był jednym z prowadzących Goodnighta. Nie przepadali za sobą, i to nie dlatego, że Chas wypadł z gry

przez dziwną miłość do wartościowych błyskotek, które wykradał skąd tylko się dało. Chodziło o opinię, którą Goodnight żywił, i nie raz wyrażał, o mandarynach z wywiadu, którzy wysyłają besterów na samobójcze misje, siedząc bezpiecznie na tyłach.

- Rozczaruję cię, ale jestem przejazdem - odparł Kruger. - Przypadkiem usłyszałem twoje nazwisko i postanowiłem sprawdzić, co cię tu sprowadza.

- Mam się uważać za zakładnika? - spytał Goodnight, przesuwając dłoń w stronę broni.

- Nie. Poluję na grubszą od ciebie zwierzynę. Przynajmniej w tej chwili. Chyba że chcesz wrócić. Zapewne wiesz, że wciąż jesteś poszukiwany. Nie tyle bezpośrednio przez Sojusz, ile przez co najmniej jeden świat, z którym mamy umowę o ekstradycji.

- Wiem. Ale chwilowo raczej nie myślałem o powrocie.

- Czyżbyś liczył na amnestię?

- A ogłaszają jakąś?

- Nie - odparł Kruger. - Niemniej, gdybyś był zainteresowany powrotem, można by to zorganizować. Z przywróceniem dawnej rangi włącznie. W obecnych czasach osoby o twoich zdolnościach technicznych i umiejętnościach są bardzo potrzebne. Tyle że musiałbyś przystać na uwarunkowanie, które pomogłoby ci zapanować nad pewnymi skłonnościami.

Goodnight zadrżał.

- Nie tęsknię za żadnym sublokatorom w głowie - powiedział. - Dziękuję. Przynajmniej Sojuszowi.

- Co zatem sprowadziło cię na tę planetę?

- Chcę sprawdzić, czy Sojusz monitoruje sytuację militarno-polityczną między Dampierem i Torguthem.

Kruger musnął sensor i nad biurkiem pojawił się ekran kompa. Zaraz potem wysunęła się klawiatura.

- Cholera - mruknął oficer. - Używanie cudzego kompa to gorsze niż korzystanie z czyjejsz szczoteczki do zębów.

- Miłe porównanie - odparł Goodnight, wciąż niepewny, czy w drzwiach nie pojawi się drużyna żandarmerii.

Kruger wpatrzył się w ekran.

- Obecnie brak śladów naszego zaangażowania w tych układach. A powinniśmy mieć ich na oku?

- Jeśli Sojusz wciąż utrzymuje, że strzeże galaktycznego pokoju, to tak. Obie strony przygotowują się do wojny.

- A jaka twoja w tym rola? - spytał Kruger.

- W tym akurat jakby żadna - częściowo skłamał Goodnight. - Ale krwawa wojna nie ułatwi mi życia ani roboty, dlatego chciałem przekazać słowo na ich temat.

- I oczekujesz, że wystarczy słowo pewnego renegata, żeby Sojusz wysłał tam kilka grup krążowników liniowych?

- Nie wygłupiaj się, Kruger! Chodzi tylko o to, żeby Sojusz nie pozwolił swoim obywatelom wystrzelać się nawzajem. Nic więcej.

- Aha - mruknął oficer. - Na pewno przekażę twój meldunek. Zakładam, że możesz podać wszystkie szczegóły do wiadomości rezydenta.

Goodnight wstał. Wiedział, co to oznacza.

- Masz rację - rzekł. - Mam wszystkie informacje na pokładzie statku. Mogę je dostarczyć za godzinę.

- Dopilnuję, żeby jeden z attache wojskowych uważnie mu się przyjrzał - powiedział Kruger. - Co do tej drugiej sprawy, zastanów się nad moją propozycją. Nie możesz wiecznie uciekać. Wiesz, że ci się nie uda.

- Potraktuję ją poważnie - odparł Goodnight. - Niebawem wracam.

Bez sympatii wymienili uśmiechy i Chas czym prędzej wyszedł z pokoju.

Kilka minut później jego patrolowiec wystartował. Bez zgody wieży, głuchy na wywołania i złożenie kontroli obszaru.

Goodnight wiedział już jedno. Sojusz nie miał zielonego pojęcia o nadciągającej wojnie i co gorsza, nie zamierzał jej zapobiec. Chyba żeby trupy zaczęły zalegać warstwami.

Niestety, nadzieja, że życie w Star Risk okaże się łatwiejsze, nie chciała się jakoś spełnić. Znowu przyszło mu marnować czas na całkiem niecywilizowane zabawy.

22

Riss weszła do pokoju, który nazywali centrum operacyjnym, i ujrzała Jasmine stojącą nad Grokiem. Obcy wypisywał jakieś nazwiska na kartkach, które następnie przyczepiał do ściany.

- Na kompie byłoby szybciej - powiedziała M'chel. - Wymyślono go właśnie do takich rzeczy.

- Wiem, ale mając wszystko przed oczami, łatwiej przypisać różne osoby do konkretnych kategorii - odparła Jasmine.

- Poza tym to wszystko jest już w kompie, ale on ustawia wszystko po swojemu, i to w poprzek - dodał Grok.

M'chel rozpoznawała większość nazwisk. Na samej górze ujrzała Caranisa.

- To drzewko podejrzanych? - zapytała.

- Nie - mruknęła Jasmine. - Przynajmniej jeszcze nie. Na razie próbujemy rozgryźć Wywiad Strategiczny.

- A raczej jego część, bo Sufyerd nie wszystko pamięta - rzucił Grok.

Riss zaintrygowały trzy osoby: Cabet Balalta, Ayalem Guames i Hopea Ardwell. Czwarty pojawiał się Sufyerd. To musiał być jego zespół. Powyżej nich widniał niejaki Balkis Faadi.

- Mamy teraz cztery osoby do sprawdzenia - powiedziała Jasmine. - Na razie Grokowi nie udało się odnaleźć żadnej oprócz Faadiego, który był bezpośrednim przełożonym Sufyerda. Stanął przed sądem polowym.

- A to ciekawe - stwierdziła Riss.

- Co więcej, żadna z tych osób nie pracuje obecnie w centrali Wywiadu Strategicznego.

- Zamietli sprawę pod dywan - mruknął Grok. - Dokładnie i głęboko.

- Spróbuję zobaczyć się z Reynardem... albo z Diavolo. Może oni będą wiedzieli, gdzie szukać tych ludzi, jeśli odeszli już ze służby. Albo będą znali ich nowe przydziały - powiedziała Riss.

W drzwiach pojawił się Goodnight. Zaraz zajął się tym, co wychodziło mu najlepiej, czyli podpieraniem framugi.

- Czy ktokolwiek z was próbował się dowiedzieć, kiedy mają stracić biednego Sufyerda? - zapytał.

- Ja próbowałam - powiedziała King. - Na Dampierze mają sympatyczny zwyczaj, że nigdy nie mówią skazańcom, na kiedy wyznaczono egzekucję. Zwykle robią to w południe i ofiara... to znaczy skazany... dowiaduje się o tym dopiero rano fatalnego dnia.

- Przemię ludki - stwierdził Goodnight. - Dzięki temu nigdy nie wiadomo, czy przynoszą człowiekowi śniadanie, czy może kat idzie po jego głowę.

- Oni nie ścinają ani nie wieszają, Chas - wyjaśniła Jasmine. - Stosują zastrzyk usypiający. Podobnie jak w innych cywilizowanych krajach.

- Żaden kraj, w którym wykonuje się wyroki śmierci, nie może być cywilizowany - parsknął Goodnight.

Riss spojrzała mu w oczy.

- I to mówi zawodowy zabójca - stwierdziła.

- To nie tak - odparł Goodnight. - Nie jestem i nigdy nie byłem czysty. Nie kierowałem

się żadną moralnością. Miałem za to głupią nadzieję, że ci idioci, którzy wydawali mi rozkazy, są i czyści, i moralni. Ale cóż. Wiadomo już może, co z Freddieem?

- Nic - powiedziała Riss. - Nie wiem nawet, czy dotarł już na Torguth.

- Niech to - mruknął Goodnight. - I żadnej mokrej roboty. Skoro tak, idę się napić.

- J a k a ś robota by się znalazła - odezwała się Jasmine. - Niestety, nie jest zbyt mokra. Pamiętasz tę limuzynę Caranisa? Warto, żeby ktoś trochę jej się przyjrzał i sprawdził, czy facet naprawdę jest bogaty czy...

- Tylko cwany. Dobra. To może być ciekawe - powiedział Goodnight.

23

Stołeczna planeta układu Torguth nazywała się Tristan. Była czwartym globem od słońca i ludzaco przypominała Ziemię.

Friedrich von Baldur wykonał dwa skoki od Dampieru, potem kolejne dwa w stronę Torguthu, przed i po każdym sprawdzając uważnie, czy nikt go nie śledzi, osobiście albo elektronicznie. Przedostatni skok zakończył w pobliżu najbardziej kosmopolitycznego świata tej galaktycznej prowincji i spędził tam dwa dni, kompletując nową garderobę na wypadek, gdyby ktoś naprzyczepiał mu mikropluskiew. Było mu tym przyjemniej, że za wszystko płacił Reynard.

Starą odzież spakował i wysłał na Trimalchiona.

Czekając, aż krawcy zrobią co do nich należy, rozejrzał się trochę po mieście, kupując nowe walizy i torby podróżne. Także luksusowe. Występował jako lord William z odległej planety Hastings. Peregrynując tak, zdecydował, że w tej misji będzie kupcem specjalizującym się w artykułach luksusowych. Wszyscy wiedzieli, że tacy ludzie lubią mieć gotówkę pod ręką, co powinno wyjaśniać, skąd u niego tyle kredytów.

Informację o swojej nowej tożsamości też przekazał na Trimalchiona, skąd automatyczny serwis biurowy miał przesłać ją, zaszyfrowaną jednorazówką, do Jasmine. To na wypadek, gdyby konieczna była jednak misja ratunkowa...

*

Główne miasto Tristana, Mackall, zostało starannie rozplanowane. Wypełniało górską dolinę, która otwierała się na południe, gdzie rozłożyły się zakłady przemysłowe oraz port

kosmiczny. Świetnie zorganizowana komunikacja miejska pozwalała każdemu mieszkać z dala od miazmatów miejsca pracy. Na dodatek wiatry wiały tu przeważnie z północy.

W Mackall były też jeziora, kanały, parki i ozdobione rzeźbami place.

Von Baldurowi zupełnie się to nie podobało. Nie cierpiał planowej zabudowy, wolał miasta rosnące żywiołowo, całkiem nieprzewidywalnie. Nie był jednak u siebie i zamierzał opuścić ten zakątek, gdy tylko zdobędzie potrzebne informacje.

Fra Diavolo skontaktował się ze swoimi agentami, chociaż nie powiedział, jak to zrobił. Przekazał jednak von Baldurowi, że można wkroczyć do legowiska lwa.

Kontrola paszportowa w porcie kosmicznym należała do wyjątkowo starannych. Von Baldura ogarnął nawet lekki powiew paranoi, ale w porę się zorientował, że wszyscy są traktowani tak samo.

Urzędnik bardzo długo przyglądał się gościowi i jego zapasom gotówki, czekając najpewniej, aż von Baldur obleje się zimnym potem albo zemdleje, jednak gdy nic takiego nie nastąpiło, chrząknął od niechcenia i wsunął paszport lorda Williama w czytnik, gdzie dokument został ostemplowany. Oddaniu paszportu towarzyszyły zwyczajowe życzenia miłego pobytu, chociaż ton głosu urzędnika sugerował raczej, że najchętniej powywieszałby wszystkich przylatujących na latarniach przed portem.

Von Baldur też życzył mu miłego dnia, również całkiem co innego mając na myśli. Potem ruszył przed siebie, żeby poszukać transportu do miasta.

Na zewnątrz panował niemiłosierny upał, a przed samym terminalem kłębił się tłum, wylewający się aż na ulicę, na której nie było taksówek. Jezdnią maszerował jakiś pochód. Jego uczestnicy byli podzieleni na grupy niosące transparenty informujące, jaki jest ich zawód i miejsce pracy. Chodziło więc zapewne o robotników, jednak ku zdumieniu Friedricha, miast łopat czy kilofów wszyscy oni byli wyposażeni w blastery. Dopiero po chwili zauważył, że to atrapy z tworzywa, co czyniło sprawę jeszcze dziwniejszą.

Kolejne grupy nadciągały nie kończącym się potokiem. Zdawało się, że mogą tak maszerować całą wieczność.

Von Baldur, którego nudziły parady i pochody, coraz bardziej tęsknił za zimnym piwem i jakąś przekąską. Stał jednak dalej i próbował wyglądać na zainteresowanego.

Gdy nastąpiła chwila przerwy w pochodzie, stojący obok niego mężczyzna pochylił się i przyjrzał się uważnie von Baldurowi.

- Pan jest cudzoziemcem, prawda? - zapytał.

- Zgadza się.

- Witam na Torgucie - powiedział mężczyzna, z rozmachem potrząsając dłonią

przybysza. - Spodoba się panu u nas - dodał tonem rozkazu.

- Na pewno.

- Gdy wróci pan do siebie, gdziekolwiek to jest, będzie pan mógł opowiedzieć, jak człowiek potrafi zorganizować swój świat.

- Organizując pochody?

Mężczyzna zmarszczył brwi, ale puścił uwagę mimo uszu.

- Lubimy okazywać swą solidarność - powiedział. - Nasi robotnicy uwielbiają demonstrować, że są jedną siłą. To dlatego w ogóle nie ma u nas bezrobocia.

- Ani trochę? - spytał z niedowierzaniem von Baldur.

- W ogóle - powtórzył z naciskiem mężczyzna. - Wszyscy otrzymujemy właściwe dla nas wykształcenie i jesteśmy potem kierowani przez władze na odpowiadające nam stanowiska pracy. Takie, które dostarczają najwięcej satysfakcji.

- Świetna sprawa - mruknął von Baldur ze szczerym uśmiechem. Zauważył, że pochód właśnie przeszedł i pod terminalem zaczęły się pojawiać taksówki. - Naprawdę świetna sprawa.

*

Wybrany z przewodnika hotel nie rozczarował. Pokój był obszerny, a wyjście awaryjne tuż obok. Dość blisko, żeby jednym skokiem znaleźć się na zewnątrz, gdyby ktoś bardzo nieproszony stanął w drzwiach.

Serwowane w restauracji piwo też nie należało do najgorszych, chociaż von Baldur wołał ten trunek z mniej wyczuwalnym chmielowym posmakiem. Gorzej było z posiłkiem. Podumawszy nad kartą dań, Friedrich doszedł do wniosku, że poobiednia drzemka byłaby niepożądana, zamówił więc pieczywo, zimne mięso i tacę serów. Wszystko to podano mu na półmisku tak wielkim, że jego zawartością można by nakarmić cały zespół Star Risk, włączynywszy w to Goodnighta zaraz po besterowaniu.

Von Baldur nie miał szans. Zjadł ile mógł, w końcu jednak się poddał. Zwrócił tym na siebie uwagę obfitej i skłonnej do matkowania kelnerki, która zapytała, czy nie jest aby chory, skoro apetyt mu nie dopisuje.

Darował sobie wyjaśnienie, ile biegania i innych ćwiczeń będzie go kosztować spalenie tych kalorii, które pochłoniął.

Po obiedzie przeszedł się po okolicy. Znalazł sklep z rekwizytami teatralnymi, gdzie nabył perukę, która z daleka mogła od biedy uchodzić za prawdziwe włosy, jednak z bliska wyglądała co najmniej koszmarnie. Jak każde dobre przebranie, miała sprawiać, że kto go

spotka, będzie gapił się tylko na nie i zapamięta niewiele innych szczegółów.

Potem poszedł przyjrzeć się miejscom planowanych spotkań.

Diavolo zapowiedział, że agenci sami do niego podejną, gdy zjawi się w wyznaczonym punkcie. Oba znajdowały się w parkach, co nie wzbudziło zachwytu von Baldura. Takie pomysły z daleka załatywały amatorszczyzną. Jeszcze mniej mu się podobało, że był skazany na czekanie i to druga strona miała wykonać pierwszy ruch.

Pierwszy park przypominał galerię rzeźb. Wszystkie były z polerowanego metalu albo z kamienia, z różnymi napisami o wojowniczej treści na postumentach. Von Baldur skłonny był przypuszczać, że chodzi o złożony pomnik wystawiony dla upamiętnienia którejś z trzech wojen toczonych w przeszłości z Dampierem. Park nie zachęcał do spacerów. Był jasno oświetlony i z mnóstwem otwartej przestrzeni, a długie rzędy posągów ułatwiały otoczenie terenu, który mógł się łatwo zamienić w pułapkę.

Znalazł kilka miejsc, gdzie można było ukryć małe pistolety, które przywiózł ze sobą. Były z tworzywa sztucznego, zatem detektory w porcie ich nie wykryły na tle masywnego dna walizki. Amunicję przemycił w metalowym uchwycie walizki.

Drugie z miejsc spotkań wyglądało trochę lepiej. Był to wąski park ciągnący się wzdłuż krętego brzegu jeziora. Świateł było tu niewiele, a liczne alejki dawały szansę na sprawną ucieczkę. Drzew też było sporo, niektóre nawet z dziuplami, w których von Baldur ukrył dwa kolejne pistolety.

Zgodnie z instrukcją miał po prostu spacerować po tych parkach niedługo przed zachodem słońca, jako znak rozpoznawczy nosząc opaskę żałobną. Na lewym, nie prawym ramieniu. Też nieprofesjonalne, pomyślał, chociaż pewnie lepsze, niż gdyby miał paradować z hologazetą czy wypchanym gołębiem.

Nieco podbudowany na duchu wrócił do hotelu, po drodze zaopatrując się w plik miejscowej prasy. Potem przysiadł w jednym z hotelowych barów, zamówił szprycera z białego wina i wziął się do lektury.

Od razu trafił na teksty opisujące, do jakich to niegodziwości dochodzi na Światach Belfort i jak prześladowani są tam obywatele Torguthu, zarówno będący tylko z wizytą, jak i koloniści.

Von Baldur nie przypominał sobie, żeby czytał albo słyszał o czymkolwiek takim na Montrois. Nowością było też twierdzenie o szalejącej podobno w układzie Belfort przestępczości i szykanach przybyłych z Dampieru urzędników.

Znalazł nawet wzmiankę o Reynardzie, którego przedstawiono jako jednego z najważniejszych czarnych charakterów „dokładających starań, żeby ograniczyć rozwój

Torguthu i nie dopuścić do zajęcia przez ten układ należnego mu miejsca w galaktyce". No i zapewne knujących potajemnie plany inwazji na Torguth. Nikt nie wspomniał, że Reynard od dawna nie jest premierem.

Pobrzękiwanie szabelką, pomyślał von Baldur i ruszył na poszukiwania lokalu, w którym podano by mu coś porządnego, a nie tę paszę do tuczenia turystów.

W końcu znalazł. Jedzenie istotnie było lepsze, choć też zbyt ciężkie. Po kolacji spacerował jeszcze godzinę po parku, ale nikt do niego nie podszedł.

*

Następnego wieczoru wybrał się do drugiego parku, też bez rezultatu. Potem wrócił do pierwszego.

Gdy skończył już rozmieszczać pistolety, przechadzka zaczęła mu się nawet podobać. Przy okazji zauważył, że tubylcy muszą chyba uwielbiać mundury. Każdy nosił jakiś uniform, poczynając od młodzieży szkolnej, przez listonoszy i księży, skończywszy na członkach różnych organizacji paramilitarnych. Dotyczyło to również płci pięknej. Zauważył kobietę w luźnym, ale mimo to wyraźnie militarnym stroju, z naszywką przedstawiającą mężczyznę ugłaskującego chyba jakąś bestię.

Zapytał, co to za znak, i dowiedział się, że kobieta jest lekarzem weterynarii. Usłyszał też, że powinien nauczyć się rozpoznawać mundury i to, że jest cudzoziemcem, wcale go nie usprawiedliwia. Przeprosił i odszedł, zastanawiając się, jak ktokolwiek nie służący w armii może dać się tak zuniformizować.

Jeśli tak dalej pójdzie, pomyślał, zmienią się w kukły bezwolnie idące za sztandarem.

*

Minęło sześć dni, lecz nikt z nim nie nawiązał kontaktu.

Von Baldur nie nudził się. Wyszukiwał różnych rzemieślników i kupców, brał od nich próbki towarów, jak srebrna biżuteria ręcznej roboty czy broń myśliwska. Trafił mu się nawet osobliwy melon o trzech smakach.

Miał nadzieję, że nikt z rozmówców nie poczuje się zanadto rozczarowany, gdy nie doczeka się obiecywanej współpracy.

O samym Torgucie nie myślał ani trochę bardziej niż w dniu przylotu.

Gazety wciąż donosiły o pogarszającej się sytuacji w Światach Belfort, jednak nikt nie nawoływał do zbrojnej interwencji.

Na razie.

*

Siódmego dnia wieczorem ponownie zaszedł do parku rzeźb i tym razem zbliżył się do niego jakiś mężczyzna w mundurze. Do tego czasu von Baldur poznał już tutejsze uniformy i stwierdził, że to mundur straży więziennej.

- Współczuję utraty bliskiej osoby - powiedział obcy, spoglądając na czarną opaskę.

- Strata byłaby większa, gdyby spotkało to pana - odpowiedział von Baldur zgodnie z umową, czując się przy tym jak marny aktorzyzna odgrywający trzeciorzędą rolę.

- Proszę tam - powiedział mężczyzna. - Za te krągłości, które wyglądają jak nadmuchany tyłek.

Friedrich poszedł za nim.

- Jakie to pytanie? - zagadnął mężczyzna.

- Torgucki wywiad ma albo miał wydział prowadzący wysoko postawionego agenta na Montrois. Niemal na pewno w ich Wywiadzie Strategicznym - powiedział von Baldur.

Mężczyzna zamrugnął zaskoczony.

- Jeśli chodzi o operację na tak wysokim szczeblu - powiedział - niemal na pewno nie uda mi się dotrzeć do konkretów.

- To nie będzie konieczne - odparł Friedrich. - Chcę tylko wiedzieć, czy operacja wciąż jest w toku.

- To niewiele za taką zapłatę.

- Bywam hojny - zapewnił go Friedrich. - Lubię wydawać pieniądze.

- To wszystko? - spytał mężczyzna.

Von Baldur skinął głową.

- Dobrze. To samo miejsce. Zjawię się, jeśli czegoś się dowiem - powiedział z uśmiechem mężczyzna i odszedł szybkim krokiem.

Czysta amatorszczyzna, pomyślał kolejny raz von Baldur. Dwa spotkania w tym samym miejscu. Może jednak załatwi wszystko dość szybko, żeby nie miało to znaczenia.

*

Dwa dni później klawisz jeszcze się nie pokazał, udało się za to nawiązać kontakt z drugim agentem.

Tym razem była to kobieta w średnim wieku, pracująca jako urzędniczka czy sekretarka. Miała dziwnie przytomne spojrzenie.

Podawała to samo hasło co jej poprzednik, Baldur zaś powtórzył odzew sprzed dwóch dni. Kobieta uśmiechnęła się przelotnie.

- Kto wymyślił tę bzdurę? - zapytała retorycznie.

Ujął ją pod ramię i ruszyli przez park.

Von Baldur najpierw powtórzył swoje pytanie na temat kreta w wywiadzie Dampieru, potem jednak przyszło mu do głowy coś, co być może dałoby się wykorzystać przy ewentualnej apelacji w sprawie Sufyerda. Było to bardziej przecucie niż konkretna myśl, Friedrich nauczył się jednak ufać swoim przecuciom.

- Chcę poznać scenariusz gier wojennych związanych z ćwiczeniami, które mają się odbyć w pobliżu Belfortu.

- Scenariusz?

- Każda gra wojenna prowadzona jest według pewnego planu - wyjaśnił. - Z podziałem na role bohaterów napadniętych zdradziecko przez podłych drani, dumnej odsieczy i tak dalej.

- Te gry ciągle są przygotowywane - odparła kobieta.

- Proszę zdobyć co się da. Nie potrzebuję danych o rozmieszczeniu jednostek. Chodzi o sam przebieg bitwy.

- Czy mogę spytać...?

- Zbieram żołnierzyki - powiedział von Baldur. - Lubię odgrywać z nimi różne bitwy.

- Nie wierzę panu.

- Ja też sobie nie wierzę.

Kobieta ponownie lekko się uśmiechnęła.

- Jeśli, podkreślam, jeśli uda mi się coś zdobyć - powiedziała - spotkamy się w kafejce Rozkosze Świtu. To dwie przecznice na wschód stąd. O osiemnastej. Gdyby padało, proszę czekać w środku, przy ładnej pogodzie na zewnątrz. Nie dłużej niż godzinę. Gdybym nie przyszła, kolejny termin dwa dni później o tej samej porze.

Nie czekając na odpowiedź, obróciła się na pięcie i odeszła.

Ona też, pomyślał von Baldur.

*

Wieczór był mglisty i dżdżysty. Posagi lśniły od wilgoci.

Von Baldur przeklął pogodę, po chwili pomyślał jednak, że w razie kłopotów może być nawet pomocna.

Tym razem mężczyzna podszedł do niego otwarcie i nie trzymał się powtarzaniem hasła.

- I jak? - zapytał go Friedrich.

- Ma pan pieniądze?

- Mam.

- Proszę pokazać - rzucił agent z wyczuwalną w głosie chciwością.

Von Baldur wolałby najpierw wyciągnąć z ukrycia któryś z pistoletów, pomyślał jednak, że w razie potrzeby poradzi sobie z tym typem gołymi rękami.

Kiwnął głową, uśmiechnął się i wyjął z kieszeni ujęty w banderolę plik banknotów.

- I jak? - powtórzył.

- Prowadzą tam jakąś operację - powiedział mężczyzna. - Na Montrois. Na bardzo wysokim szczeblu. Ustaliłem, że chodzi o agenta w tamtejszym Wywiadzie Strategicznym. Powiedziano mi, że... - Urwał i spojrzał na coś za plecami von Baldura.

Friedrich obrócił się. Zza stojącego w pobliżu ślizgacza wyłoniło się dwóch mężczyzn. Obaj ruszyli w jego kierunku. Dwa kolejne ślizgacze lądowały z lewej i prawej. Nie trzeba było pytać tych ludzi o dokumenty, żeby z daleka wyczuć w nich gliniarzy.

24

- Jestem Jasmine King. Mam spotkanie z waszym szefem - powiedziała Jasmine młodzieńcowi, który spojrzał na ekran i skinął głową.

- Met Fall ma dziś trochę pracy od rana, ale niebawem znajdzie dla pani czas - odparł.

Jasmine znalazła sobie sfatygowane krzesło i usiadła. Po raz pierwszy trafiła do redakcji hologazety. Całe umeblowanie wyglądało, jakby kupiono je na wyprzedaży organizowanej przez komornika, chociaż „Pacyfista” był jednym z popularniejszych tytułów Montrois. Posadzka prosiła się nie tyle o czyszczenie, ile o remont. Przez szklaną ścianę widać było wielką salę pełną kompów, pogrążonych w pracy dziennikarzy i przemykających posłańców.

Chyba sprężają się, żeby zamknąć numer, pomyślała King.

Oprócz młodzieńca na stanowisku recepcjonisty w pokoju była jeszcze jedna osoba, niezwykle piękna kobieta, którą Jasmine oceniła na trzydzieści kilka lat. Miała na sobie kosztowne ubranie i aż nazbyt cenną, jak na takie miejsce, biżuterię. Okolona jasnymi włosami twarz dopiero nabierała ostrości rysów. King omal nie uśmiechnęła się, pomyślawszy, że chyba właśnie takie dziewczyny miał na myśli Goodnight, wspominając o „kociakach kosztownych w eksploatacji”. Sięgnęła po najnowszy numer „Pacyfisty” i skorzystała z jednej z licznych tutaj przeglądark.

Nagłówek nad winiętą głosił: JUŻ NIEBAWEM: SZOKUJĄCE LISTY I SKANDAL UNIWERSALISTY. Nie było jednak odsyłacza do żadnego tekstu.

Jasmine była w połowie byle jak skleconego tekstu o torguckich agentach infiltrujących podobno społeczność Dampieru, gdy w recepcji coś pisnęło.

- Panno King - odezwał się młodzieniec. - Proszę przejść na salę i iść do samego końca. Pan Fall jest już wolny.

Piękna kobieta niezycyliwie spojrzała na Jasmine.

- Jak to możliwe, że ona wchodzi od razu, podczas gdy ja czekam już dwie godziny? - odezwała się.

- Jestem pewien, że pan Fall wie, iż pani czeka, i chce spotkać się z panią w najbardziej sprzyjających okolicznościach - stwierdził młodzieniec i dotknął przycisk otwierający drzwi na salę.

Jasmine weszła do środka, czując na sobie spojrzenia, które rzucili jej dziennikarze należący co najmniej do trzech płci. Przywykła do takich sytuacji.

Na końcu znajdowała się kolejna szklana ściana z drzwiami. Na mosiężnej tabliczce widniał napis REDAKTOR NACZELNY. Wnętrze pełne było kompów, nie zszytych wydruków, papierów w kartonach i papierów w stertach.

Za biurkiem, które musiało chyba kiedyś służyć za cel na strzelnicy, siedział szczupły, łysiejący mężczyzna o ascetycznej twarzy. Miał na sobie drogi garnitur, który nosił, jakby to był byle sweter.

Jasmine przedstawiła się i nie widząc powodu, żeby miała ukrywać, w jakim celu tu przyszła, powiedziała o zainteresowaniu Star Risk wszystkim, co mogłoby ułatwić uwolnienie Sufyerda.

- Nie wątpię, że może wam się to udać - stwierdził Fall. - Słyszałem o Star Risk i wyznaczyłem nawet dwóch ludzi, żeby zebrali materiał na wasz temat. Nie puszczam go, bo nie wiem jeszcze, jak wami zagrać.

- Zagrać? - odezwała się Jasmine.

- Tak. Czy pomożecie utrzymać pokój między Torguthem, Belfortem i Dampierem?

- Nie wiedziałam, że robicie coś poza przekazywaniem informacji - odparła King, starając się powstrzymać sarkazm.

- To staromodne podejście - zachnął się Fall. - Dzisiejsza prasa musi aktywnie włączać się w wydarzenia. Musi wiedzieć, po czyjej stronie stanąć i co wybrać, jeśli sama nie chce stać się zwierzyną.

- Aha - bąknęła Jasmine.

- Jeśli zaś chodzi o te listy, obawiam się, że nie mogę wam ich udostępnić, chociaż uważam, że Sufyerd jest niewinny, a na perspektywę egzekucji niewinnego człowieka budzi

się we mnie protest... Zakładając, oczywiście, że naprawdę jest niewinny, bo z drugiej strony nie należy zbyt ufać swoim odczuciom.

- Naszym zdaniem jest niewinny - powiedziała Jasmine.

- Dobry dziennikarz musi być ponad takie osądy, póki nie ustalą niezbitych faktów - stwierdził Fall.

- Ale sam pan powiedział...

- Nie. Korespondencja między premierem Ladiem a panną Hylą Adrianopole musi pozostać niejawna do chwili, gdy rozpoczniemy jej publikację. Zapewne za kilka tygodni. Wtedy wszyscy ją poznają. A przy okazji, słyszałem pogłoski, że w pewnej restauracji za rzeką doszło do wymiany strzałów pomiędzy paroma osobami spoza naszego świata i grupą - mimowolnie ściszył głos i rozejrzył się wkoło - tych, którzy nazywają siebie Maskowymi. Nie wie pani przypadkiem czegoś na ten temat?

- Nic a nic - powiedziała Jasmine. - Ale wracając do listów i Sufyerda, czy jest jakiś ważny powód, bym nie mogła ich przeczytać? Przynajmniej tych, które w jakiś sposób dotyczą naszego klienta i mogłyby pomóc odnaleźć rzeczywistego sprawcę. - Przypomniała sobie, jak von Baldur powiedział, że dziennikarz nigdy definitywnie nie odmawia negocjacji, podbija jedynie stawkę. - W zamian otrzymalibyście na wyłączność prawo do napisania o wszystkim, gdy rozwikłamy sprawę.

Fall zawahał się.

- Kuszące, ale nie mam tutaj tych listów... Prowadząc tę korespondencję, nasz premier okazał się zresztą znacznie mniej roztropny niż panna Adrianopole, która chyba uważała cały czas na to, co pisze. Pierwsze, o czym pomyślałem, to że ktoś mógłby się tutaj włamać w ciągu tych paru godzin, gdy redakcja jest pusta, i zostalibyśmy z pustym kołczanem.

- Na pana miejscu w pierwszej kolejności skopiowałabym te listy - rzuciła odruchowo Jasmine.

- I to też oczywiście kazałem zrobić - powiedział Fall. - Kopie znajdują się w rękach odpowiedzialnych osób. A oryginały zostały zdeponowane jeszcze gdzie indziej...

Drzwi biura otworzyły się z trzaskiem i Jasmine obróciła głowę. W drzwiach stała kobieta, która tak długo czekała w recepcji.

- Ty draniu! - rzuciła podniesionym głosem. - Zdrajco! Jak śmiesz nawet myśleć o publikacji moich listów!

- Panna Adrianopole, jak mniemam? - spokojnie zapytał Fall, wstając zza biurka.

- Tak... a ty jesteś zdrajcą swojego świata i wszystkiego, co powinno ci być drogie.

King, która w pierwszej chwili wzięła występ kobiety za przejaw hysterii, dostrzegła z

niepokojem, że jej ręka usilnie szuka czegoś w torebce.

- Proszę się uspokoić, panno... - rzekł Fall.

Panna Adrianopole krzyknęła coś nieartykułowanie i uniosła całkiem spory blaster.

- Nie! - zawołał Fall, a Jasmine sięgnęła po własną broń, ale było już za późno.

Blaster przemówił trzy razy, wywalając trzy wielkie dziury w klatce piersiowej Falla. Krew trysnęła na biurko i stosy papierów, naczelny zaś zacharczał, zmarł i upadł na podłogę.

- A masz, skurwielu! - rozdarła się Adrianopole i wycelowała blaster w głowę nieboszczyka.

King zdążyła jednak kopnąć jej rękę, przez co czwarty strzał zdemolował tylko sufit. Panna Adrianopole zachwiała się i prawie upadła. Musiała oprzeć dłoń na blacie. Trafiała w sam środek krwawej kałuży.

- Cholera - powiedziała, patrząc na swoją rękę. - Niech to. - Spojrzała na Jasmine. - Może byłaby pani tak uprzejma i wezwała policję?

- Jak tylko oddasz mi broń - odparła King, nie wyciągając własnego pistoletu. Nie była pewna, jak Adrianopole zareagowałaby na jego widok.

- A, jasne. - Zabójczyni podała jej blaster. - Tylko ostrożnie, ma bardzo czuły spust.

*

- I cytując dalej ten ozdobiony żałobną wstążką brukowiec, „Kobieta, która znajdzie się w takim położeniu, w którym ja się znalazłam, całkiem sama i bez mężczyzny gotowego stanąć u jej boku, musi sama zacząć walkę o swoje prawa, musi podjąć batalię z tyranią i niesprawiedliwością”. Ona naprawdę to powiedziała? - spytał Goodnight.

- Naprawdę - potwierdziła Jasmine. - Sama słyszałam. Tak jak i to, że - cytując dalej - „w dawnych czasach istniało niepisane prawo, które stawiało kobiety na przegranej pozycji. Czasy jednak się zmieniły i obecnie jest przyzwolenie społeczne na podjęcie aktywnej obrony przez każdą kobietę, która nie zamierza pokornie wysłuchiwać ciskanych na nią kalumnii”. Koniec cytatu.

- Nie uwierzę, że to o kalumniach wymyśliła na poczekaniu - powiedział Grok.

- Mogła wymyślić to wcześniej i nauczyć się na pamięć - zasugerowała Riss.

- W to raczej wątpię - mruknęła Jasmine. - Cały czas zastanawiam się, kto jej to napisał.

- Dobre pytanie - powiedział Goodnight. - Ale jest lepsze: co z tymi listami?

- W gabinecie ich nie było - stwierdziła King. - Przeszukałam go, gdy zmywali krew. Zajrzałam też do sejfu. Nie był nawet porządnie zamknięty.

- Jakim cudem znalazłaś czas, żeby przejrzeć jego zawartość? - spytała Riss.

- Po prostu ukradłam wszystko, co było w środku, i spokojnie przeczytałam na zewnątrz.
- I to wszystko przy krwawej kałuży wielkiej jak ocean? - zadumała się Riss. - Jestem pod wrażeniem.
- Ja też - powiedział Goodnight. - Wydaje się, że nasza mała Jasmine zaczyna dorastać.
- Musimy więc poszukać tych listów - oznajmiła Riss. - Nie potrzebujemy oryginałów, kopie też wystarczą. Mam tylko nadzieję, że Freddie radzi sobie lepiej niż my.

25

Friedrich von Baldur nie marnował czasu na przeklinanie podwójnego czy potrójnego agenta, który go sprzedał. Kopnął go tylko z półobrotu w kark, zabijając na miejscu.

Jeden z dwóch gliniarzy coś krzyknął, ale i na to von Baldur nie zwrócił uwagi. Rzucił się do ucieczki. Minąwszy najbliższy posąg, pobiegł zygzakami do kolejnego, odległego o jakieś dwadzieścia metrów.

Liczył na dwie rzeczy.

Po pierwsze, gliniarze na pewno dostali rozkaz, żeby wziąć go żywcem. Martwy szpieg, zwłaszcza taki, który wyzionął ducha, nim został przesłuchany, to żadna zdobycz.

Gdy był już przy drugim posągu, podskoczył i wyłuskał pistolet, który tam wcześniej ukrył. Zaraz przykucnął i wprowadził pocisk do komory naboju. Ujął broń w obie dłonie i schowany za rzeźbą przyjął pozycję strzelecką.

Pierwszego gliniarza trafił w pierś i zaraz wycelował w drugiego. Huknęło, mężczyzna złapał się za brzuch i padł na ziemię. Niestety, następni wysypywali się już ze ślizgaczy, głośno na siebie pokrzykując.

Potwierdzali w ten sposób to, co wiązało się z drugą nadzieją von Baldura. Był przekonany, że to nie zwykłe krawężniki, ale funkcjonariusze tutejszego odpowiednika kontrwywiadu. Zwalczanie szpiegów jest zaś zajęciem z reguły bezkrwawym, nie licząc rzadko trafiających się egzekucji.

Ci ludzie nie byli nawykli do podobnych zdarzeń. Samo to, że ktoś do nich strzela, było dla nich wielkim wydarzeniem. Nie mówiąc już o widoku zalanych krwią kolegów.

Wszystko to dało von Baldurovi dość czasu na ucieczkę z parku. Mijał starszych ludzi, którzy stali z rozdziawionymi ustami. Najwyraźniej nie oczekiwali niczego podobnego podczas wieczornej przechadzki.

Chwilę potem skręcił w boczną uliczkę. Wcześniejsze rozpoznanie okolicy jednak się opłaciło. Teraz miał przed sobą dwie drogi ucieczki. Przez dzielnicę bogatszej klasy średniej albo dzielnicę robotniczą. Wybrał tę drugą.

U bogatych widok biegnącego człowieka wyzwał chęć, żeby wezwać policję. Bardziej realistycznie podchodzący do życia robotnicy zwykli odwracać w takich razach głowę i udawać, że nic nie widzą.

Von Baldur skręcił raz, potem drugi, aż znalazł się na szerszej ulicy wiodącej z powrotem do jego hotelu. Zmusił się, żeby zwolnić, i schował broń do kieszeni. Pogwizdując, ruszył dalej. Ot, zwykły obywatel korzystający z konstytucyjnego prawa do wolnego wieczoru.

Niestety, ulica była niemal całkiem pusta i nadzieja na skrycie się w tłumie spełzła na niczym. Kto jeszcze pozostał na trotuarze, w pośpiechu starał się z niego zniknąć. Miejscowi musieli mieć wrodzony talent do wyczuwania kłopotów.

*

Von Baldur wyrzwał zza ceglanego muru. Był niecałe dziesięć przecznic od hotelu, w trochę już lepszej dzielnicy. Przeszedł przez ulicę i skręcił w swoją stronę, gdy na środku jezdni wylądowały trzy ślizgacze policyjne z gliniarzami ubranymi jak do tłumienia zamieszek. Zaraz ustawili się w tyralierę i ruszyli przed siebie. W stronę von Baldura.

Friedrich zaklął pod nosem i ruszył biegiem. Chyba ściągnęli tu wszystkie siły policyjne z okolicy, jakby naprawdę nie mieli nic lepszego do roboty.

Nic dziwnego, że L'Pellerin i jego koledzy nie mieli szczęścia w infiltracji Torguthu. Skoro jeden gość zadający dziwne pytania wywołał tyle zamieszania, o ile energiczniej rzuciliby się na prawdziwego dampieriańskiego szpiega.

Tyle dobrego, że z wolna robiło się ciemno.

Von Baldur skręcił za rogiem i ponownie skierował się w stronę hotelu. Szybko trafił jednak na kolejną policyjną tyralierę. Skręcił w jakieś podwórko i dotarł przez nie na sąsiednią ulicę. Ta była pusta.

Na razie.

Zapadła już noc, jednak niewiele mogło to pomóc. Von Baldur znalazł się w pułapce. Przykucnął za pojemnikiem na śmieci. Policjanci byli dwie przecznice od niego. Za nim pojawiła się kolejna grupa nadgorliwych drani. Nie zostawiali mu żadnej drogi ucieczki.

Było ich zbyt wielu, żeby użyć broni, poza tym wołał już stanąć przed sądem bez dodatkowego oskarżenia o napaść na funkcjonariusza na służbie. I tak wiele ryzykował.

Coś jednak musiał wymyślić. I wymyślił, chociaż było to desperackie rozwiązanie.

Najpierw pozbył się pistoletu, wsunawszy go głęboko między śmieci. To samo zrobił z peruką. Potem podkrał się do jasno oświetlonego okna przy wejściu na najbliższe podwórko.

Za szybą chłopiec w wieku może ośmiu lat rozbierał się właśnie do snu. Von Baldur niemal przycisnął nos do okna, zaparowując je oddechem.

Z tyłu słyszał buty nadciągających gliniarzy. Padały wypowiedane półgłosem rozkazy. Może jednak go miną...? Wówczas mógłby...

- Popatrz tylko na niego!

- Co...? Ale nam się trafił! Stary świntuch!

Nogi w buciorach ruszyły biegiem. Von Baldur obrócił się, udając zdziwionego.

- Panowie władza, ja tylko... - odezwał się.

- Zboczeniec - warknął jeden z gliniarzy i syknął miotaczem gazu.

Von Baldur wstrzymał oddech, ale i tak do jego płuc dostało się dość lotnego obezwładniacza, żeby odpłynął w stan bliski utracie przytomności.

*

- Kogo tu mamy? - spytał sierżant zza biurka.

- Podglądacza - powiedział jeden z dwóch gliniarzy, którzy wciągnęli zataczającego się von Baldura do pokoju.

Friedrich wracał z wolna do przytomności.

- Byliśmy na obławie, szukaliśmy tego szpiega, gdy trafiliśmy na tego zboka, gdy wywalał gały na gołego dzieciaka - dodał drugi gliniarz.

- A to drań! - Sierżant splunął. - Co miał przy sobie?

- Niewiele - odparł pierwszy gliniarz. - Tylko kilka kredytów.

Cała wielka forsa, którą von Baldur zabrał dla agenta, zniknęła bez śladu. W pierwszej chwili bardzo to Friedricha rozzłościło, ale odsunął to od siebie wraz ze wszystkim, co mogło poczekać na bezsenne noce w celi. Zresztą nie były to jego pieniądze, tylko Reynarda.

- Dokumenty? - rzucił sierżant.

- Zaraz sprawdzę - odrzekł jeden z policjantów.

Von Baldur poczuł, że przetrząsa mu kieszenie.

- Ma paszport. To cudzoziemiec. Z... Hastings.

- Nigdy nie słyszałem o takiej planecie - powiedział sierżant.

- Oskarżamy go z paragrafu 2418, to jest o czyny gorszące z udziałem; z 2287, czyli o dziecięcą pornografię; z 1243 o stawianie oporu przy aresztowaniu oraz 090, za próbę wprowadzenia w błąd funkcjonariusza wykonującego swoje obowiązki - powiedział drugi

gliniarz.

- Na początek całkiem ładnie - odparł sierżant. - Ja też coś dorzucę. Dajcie go do aresztu śledczego i wracajcie do roboty. Obiecali wielką premię za złapanie tego szpiega. Za jednego zboka nigdy tyle nie dadzą.

- Już idziemy - powiedział pierwszy policjant.

*

W celi było czterech innych zatrzymanych. Sama cela była prawie naga, jeśli nie liczyć muszli klozetowej z nierdzewnej stali, umywalki i tuzina leżących na podłodze materaców ze złożonymi kocami. Trzech z czterech aresztantów było przytomnych.

- Macie tu pedofila, możecie się zabawić - powiedział pierwszy gliniarz i zamknął za sobą drzwi celi. - To cudzoziemiec - dorzucił z korytarza.

- Miłych snów - zarechotał drugi gliniarz. - Nie zapomnij osłaniać dupy, chociaż pewnie i tak nic ci to nie pomoże.

Pierwszy też się zaśmiał.

- Może spotkasz tu nowego chłopaka - powiedział na odchodnym.

Von Baldur podszedł do jednego z wolnych materacy i usiadł. Więzienie cuchnęło tak samo jak niemal wszystkie, w których zdarzało mu się gościć.

Co do współwięźniów, jeden z nich był typowym osiłkiem. Drugi był nieco mniejszy, ale liczne szramy dowodziły, że lubi rozróbę. Trzeci okazał się niewielki i słaby i von Baldur z miejsca poznał w nim prowokatora.

- Amator dzieciaczków - powiedział właśnie ten trzeci. - Nie lubimy tu takich.

Von Baldur nie odpowiedział.

- I jeszcze cudzoziemiec... pewnie z tego dampierskiego bagna - rzucił osilek. - Porządni Torguthanie nauczą cię dobrych manier.

Średni rzezimieszek gorliwie pokiwał głową.

Von Baldur westchnął i wstał.

- Może najpierw zdejmij spodnie - powiedział mały. - Fajny materiał, szkoda go zabrudzić - dodał z chichotem.

Von Baldur uśmiechnął się i podszedł do największego. Bez uprzedzenia kopnął go w rzepkę.

Mężczyzna zaskowyczał, złapał się za kolano i zaczął skakać na jednej nodze.

Średni przyjął postawę mającą zapewne coś wspólnego z jego wyobrażeniem o sztukach walki i zbliżył się do von Baldura, który czekał, aż przeciwnik zaatakuje. Gdy oderwał nogę

od posadzki, Friedrich odsunął się i pchnął go lekko z boku, nadając mu dodatkowy rozpęd. Mężczyzna potknął się i upadł na małego.

Nie czekając, von Baldur dopadł go i uderzył wierzchem zwiniętej w pięść dłoni w twarz, kompletnie rozbijając mu nos. Dodatkowo przyłożył mu z półobrotu w bok, aż usłyszał trzask pękających żeber, i zakończył podwójnym ciosem w brzuch. To starczyło, żeby średni padł bezwładnie.

- Dobra, pokurczu - powiedział von Baldur do najmniejszego. - Sam dasz mi się wyspać czy mam cię uciszyć?

Mężczyzna cofnął się z uniesionymi rękami, energicznie kręcąc głową.

- No to zamknij dziób i siadaj - rozkazał mu von Baldur.

*

Prawnik spojrzał na niego z obrzydzeniem.

- Nie wiem, ile dają za takie rzeczy na twojej planecie, ale tutaj traktujemy to bardzo poważnie.

- Myślałem, że to ciągle domniemana wina - powiedział von Baldur.

Prawnik wzruszył ramionami.

- Dowody przedstawione przez policję nie budzą wątpliwości. Ale zrobię, co będę mógł. Powinieneś jednak wiedzieć, że maksymalny wymiar kary za twoje podstawowe przestępstwo to pięć lat przymusowych robót plus zastrzyki antytestosteronu, żebyś nie stwarzał więcej zagrożenia społecznego.

Von Baldur opanował grymas twarzy. Być może jego plan nie był aż tak genialny.

- Jest jednak pewna możliwość - mruknął prawnik. - Tak. Zobaczymy.

*

Sędzia spojrzał na niego potępiająco.

- Gdyby nie był pan obywatelem innego świata, z rozkoszą udowodniłbym panu winę i ogłosił wyrok - powiedział. - Jednak Torguth nie zamierza marnować czasu i sił na jakieś obce śmieci. Informuję pana niniejszym, że zdecydowano o pana deportacji. Gdy tylko pojawi się taka możliwość, zostanie pan przekazany właściwemu przedstawicielowi Sojuszu. Do tego czasu będzie pan przetrzymywany w orbitalnej placówce więziennej. Jeśli wspomniany przedstawiciel nie pojawi się w naszym układzie w przewidzianym przepisami czasie, zostanie pan umieszczony na pokładzie pierwszej jednostki transportowej, która do nas przyleci, i pod strażą wyekspediowany na pański rodzinny świat.

*

Von Baldur spojrział na szczątki swojej garderoby, którą dostarczono mu do portu kosmicznego. Ktoś tu musiał bardzo nie lubić pedofilów i miał do tego swobodny dostęp do jego rzeczy. Czego nie zabrał, to zniszczył.

W sumie jednak nie było tak źle. Więźniarka, którą dowieziono go do portu, miała osiatkowane okna, drut jednak był dość luźny. Von Baldur zdołał ukrećić kawałek, którym zamierzał otworzyć swoje kajdanki.

Nikt nie zdewastował walizek Friedricha, których boki z tworzywa wypchane zostały gotówką. W dniu były schowki na pistolety, z których jeden pozostał na miejscu. Amunicję miał ukrytą w uchwytach, nie spodziewał się jednak, żeby mu była potrzebna.

Wraz z nim deportowano jeszcze trzech innych kryminalistów, którzy wyglądali na pogodzonych z losem. Żeby nie budzić podejrzeń, von Baldur też przybrał pozę zrezygnowanego.

Gdy dotarli na stację orbitalną i zaczęto tam przeglądać rejestry w poszukiwaniu nie istniejącej planety Hastings, von Baldur sprawnie wyswobodził się z okowów i ulotnił się z orbitalnego aresztu. Szybko też znalazł okazję pozwalającą zniknąć również z układu Torguth. Jak każda stacja orbitalna, także ta stwarzała dość sposobności podróży dla kogoś, kto nie ma problemów z wyłacalnością.

26

M'chel Riss niecierpliwie czekała na szefa. Rozmawiając z nią, von Baldur wydawał się przygaszony i mówił całkiem innym tonem niż podczas odpraw firmy. Była ciekawa, co poszło nie tak na Torgucie.

Zastanawiała się też, dlaczego Friedrich wraca zwykłym liniowcem przylatującym z jakiegoś nie znanego jej świata leżącego szmat drogi od Torguthu. Pojechała jednak na terminal głównego portu kosmicznego Montrois i oparta o kolumnę czekała, aż wszyscy wyjdą z liniowca.

Przy okazji nie mogła się nadziwić, jak ubierają się ludzie na urlopie. Całkiem jakby im wszelki gust odjęło i na dodatek stosowali się do jakiegoś przepisu powiadającego, że turysta może włożyć - albo zdjąć - co mu się żywnie spodoba.

Wzdrygnęła się i odwróciła wzrok od kobiety, która musiała ważyć ze dwieście kilo i

paradowała owinięta w pas półprzezroczystej materii falującej na bujnym biuście, sięgającym połowy drogi do pępka. Miała tlenione włosy, które ufarbowano na trzy kolory, i wydzieriała się skrzekliwie na dwóch młodych ludzi, najwyraźniej swoich synów, którzy nie ustępowali jej wiele masą.

Tuż za nimi człapał facet, który na co dzień musiał się chyba zajmować sprzedażą obwoźną najgorszego szmelcu w galaktyce. Cały był jedną wielką porażką, poczynając od pomiętej czapki, zapewne własnej roboty, po sandały w jaskrawych barwach. Co więcej, połowę twarzy zajmowało mu purpurowe znamię, którego z jakiegoś powodu nie kazał sobie usunąć.

Riss podziękowała niebiosom, że nie jest podobna do tych dwóch osób. Dzieci uważała za winne w mniejszej mierze. Chciała westchnąć, gdy domniemany akwizytor przystanął tuż przed nią.

- Zmywamy się stąd - powiedział von Baldur. - W podskokach.

- Wielki Boże - wykrztusiła Riss.

- Nie, to ja - rzucił Friedrich. - Ale możemy porozmawiać o teologii w drodze do domu.

A ściślej, gdy już złożę wizytę w jakimś porządnym sklepie z odzieżą i w restauracji. Muszę się pozbyć smaku przekąsek pokładowych. To nie był ciekawy miesiąc. Ani trochę.

27

Reynard wysłuchał uważnie sprawozdania o postępach w nieoficjalnym dochodzeniu prowadzonym przez Star Risk. Było obszerne, nie wspomniano w nim jednak o wyprawie von Baldura na Torguth.

- Najważniejsze w tym wszystkim jest to, że udało się ustalić, iż w Ila wciąż działa co najmniej jeden dobrze zakamuflowany agent, którego zadufany L'Pellerin nie zdołał zdemaskować.

- Zawsze sceptycznie traktowałem te jego przechwałki - powiedział Reynard. - Utrzymuje, że wie wszystko o wszystkich. Gdy wrócę na stanowisko, zastanowię się nad zmianą na jego stanowisku.

- Na razie mamy ważniejsze sprawy na głowie - odezwała się Riss. - Takie jak uwolnienie Sufyerda z celi śmierci.

- Jedno pytanie - wtrącił się Goodnight. - Sufyerd został osądzony i skazany. Co

musiałoby się zdarzyć, żeby mogło dojść do apelacji? Albo żeby dało się otworzyć sprawę na nowo, jeśli apelacja była i została odrzucona?

- Na pewno byłoby to możliwe, gdyby znalazł się prawdziwy sprawca albo przynajmniej wypłynęłyby niepodważalne dowody niewinności skazanego - stwierdził Reynard. - Lub gdyby udało się dowieść, że podczas procesu doszło do jakichś nieprawidłowości.

- Moim zdaniem powinniśmy działać niezależnie od tego, co naprawdę mamy w rękę - powiedział Grok. - Czy moglibyśmy na przykład dostarczyć trochę materiału... dowolnego materiału... który wzbudziłby zainteresowanie i na tyle namieszał, że ściągnięto by Sufyerda z orbity?

- A co by to dało? - spytał Reynard. - Wciąż ciążyłby na nim ten sam wyrok.

- Zgadza się - odparł Goodnight. - Tyle że im dalej będzie od komory śmierci, tym później go zglądzą.

- Aha. No tak, oczywiście - rzekł Reynard. - Wybaczcie mi niedomyślność.

- Gdybyśmy mogli dobrać się do tych listów Hyli Adrianopole i Ladera... - mruknęła Jasmine King. - Może w nich coś jest?

- Połowa Montrois ma wielką ochotę przeczytać te listy - powiedział Reynard. - Druga połowa chciałaby je spalić. Macie jakiś ślad, który mógłby nas do nich doprowadzić?

- „Pacyfista” wciąż zapowiada, że je opublikuje, i mimo śmierci naczelnego zapewne to zrobi - powiedział Grok. - Przypuszczam, że teraz czekają na proces panny Adrianopole.

- Który zacznie się za dwa tygodnie - podpowiedziała King.

- Zajmę się tym wątkiem - obiecał von Baldur, na wszelki wypadek nie precyzując, co zamierza.

- Tymczasem chciałabym odszukać trzy pozostałe osoby z zespołu Sufyerda i uciąć sobie z nimi pogawędkę - powiedziała Riss. - Oraz z jego szefem. Caranis zapowiedział, że nam nie pomoże. Ma pan pomysł, jak do nich dotrzeć? - zwróciła się do Reynarda.

- Być może - odparł były premier. - Prawie na pewno tak. - Westchnął i wstał. - Mimo że wpakowałem w to spore sumy, postęp jest na razie niewielki - powiedział ze smutkiem. - Nie widzę jednak innego wyjścia, jak dalej iść tym kursem.

- Jeszcze jedna sprawa - odezwał się Goodnight. - Może pan wie, gdzie mieści się tutejsze przedstawicielstwo Cerberus Systems? O ile mają takie na Dampierze.

- A po co wam...? - zaczął Reynard, ale urwał w pół zdania. - Nie, nie chcę wiedzieć, czego od nich chcecie. Tak będzie o wiele łatwiej. Nie wiem też, gdzie mają tu siedzibę, ale mogę to dla was ustalić.

Gdy wyszedł, Riss uśmiechnęła się do szefa.

- Dobra robota, Friedrichu.
- Dziękuję - odparł von Baldur. - Miałem nadzieję, że się zorientujesz.
- W czym? - spytał Goodnight.
- Ten agent, którego Freddie zabił w Tristanie, musiał być prowadzony przez tamtejszy wywiad czy kontrwywiad - wyjaśniła M'chel.
- Oczywiście - zgodził się Goodnight.
- Co oznacza, że zgłosił kontakt przełożonym. Nie mógł jednak wiedzieć, kogo Freddie reprezentuje, i zapewne dlatego jego przełożeni próbowali zatrzymać przybysza. Z drugiej strony któryś z nich musiał w tej sytuacji powiadomić tutejszego kreta, że ktoś o niego rozpytuje, co zostało najpewniej odczytane jako znak, że wystawienie Sufyerda nie wystarczyło. Zwłaszcza w połączeniu z naszą działalnością, o której wszyscy zdają się wiedzieć. Co prowadzi do nieuniknionego wniosku.
- Ze Torguth też będzie chciał się do nas dobrać - dopowiedział Goodnight. - Oraz liczni miejscowi młodzi zdolni.
- Właśnie - powiedziała Riss. - Jeśli dopisze nam szczęście, spróbują i spudłują, my zaś będziemy mieli kolejny trop.
- Dlatego spytałem o Cerberusa - odezwał się Goodnight. - Chyba pora trochę podrażnić tygrysa.
- Tylko dlatego, że ich nie lubimy? - spytała Riss. - A może masz jakiś konkretniejszy powód?
- Chcę im przypomnieć, że lepiej nie mieć w nas wrogów - odparł Goodnight. - Nie wystarczy?
- King uśmiechnęła się szeroko, a Grok pokiwał głową. Głosowanie nie było potrzebne.
- Poza tym rozejrzę się za dawnymi współpracownikami Sufyerda - powiedział Chas z westchnieniem. - Popytam tu i ówdzie, pokażę ludziom kilka fotek. Zawsze to jakaś odmiana wobec latania z gnatem po ulicy.
- Nie martw się - pocieszyła go Riss. - Przy odrobinie szczęścia i tak sobie postrzelasz.

28

Snajper ujawnił się o zmierzchu, dokładnie w porze zmiany warty. Jeden ze strażników oberwał rykoszetem w udo i padł z paskudną raną. Drugi i trzeci strzał chybiły.

Reszta zmiany natychmiast wszczęła alarm i kto żyw sięgnął po broń.

Ciężarowy ślizgacz, w którym krył się snajper, zdążył już wystartować i tylko Riss oraz Goodnight zareagowali na tyle szybko, żeby zrobić mu kilka niegroźnych dziur w karoserii.

Potem odleciał.

Rannego wnieśli do środka. Był przytomny i jako człowiek z nowego naboru bardzo starał się ująć za twardego. Żartował, że już się cieszy z premii za obrażenia na służbie, i zapowiadał powrót do roboty.

Riss i King, które miały przygotowanie medyczne, podały mu środki przeciwbólowe i wraz z dowódcą zmiany odwiozły do szpitala.

- I jak z nim? - spytał von Baldur.

- Nie najlepiej - cicho odpowiedziała Riss. - Nie skończy się tylko na premii. Trochę potrwa, zanim dojdzie do siebie. Konieczna będzie też transplantacja sporego płata skóry, żeby rana porządnie się zabiłiła. Niewiele brakowało, by stracił nogę, a i tak pewnie zawsze już będzie kuleć. Sądzę, że będziemy musieli go spłacić i odesłać do domu. Cholera. Całkiem inaczej niż w powieściach, w których ranny tylko zaciśnie zęby i dalej wali we wroga, cedząc patriotyczne hasła.

- Punkt dla nich - powiedział Goodnight. - Chyba należałoby pomyśleć o rewanzu.

- Najpierw musimy ustalić, kim są ci oni - zaznaczył Grok.

29

- Muszę się do czegoś przyznać - jęknął Grok, zakrywając swoją wielką łapą dłoń Jasmine.

King spojrzała na niego zaniepokojona. Niewiele wiedziała o życiu emocjonalnym obcych. Mimo to upiła łyk wina i lekko się uśmiechnęła.

Żona właściciela L'Montagnard uniosła brwi zdumiona tak romantyczną sceną, nie była jednak prowincjuską, wzruszyła więc tylko ramionami i wróciła do kuchni.

- Odczuwam coś dziwnego - powiedział Grok. - Mówiąc po ludzku, chyba tęsknię za domem.

Jasmine odprężyła się i poklepała obcego po łapie.

- Ten układ... - ciągnął Grok - te światy, gdzie wszyscy mają coś do siebie, przypomina mi ojczyznę i to, jak sami we wszystkim rywalizujemy. Chyba że zostaniemy przekupieni

albo przekonani, że odrzucenie rywalizacji się nam opłaci. Mile podłe są te okolice.

- Dla nas idealne - odparła Jasmine. - Von Baldur miał rację.

- Owszem - zgodził się Grok. - Gdy o tym myślę, dochodzę do wniosku, że powinniśmy albo skończyć z tą wrogością, co wydaje mi się mało prawdopodobne, albo skłonić naszych wrogów do możliwie rozpaczliwych działań, żeby odkryli się i łatwiej było nam ich zniszczyć. Ciekawi mnie, na przykład, kim był ten wczorajszy snajper. Może kimś, kto po prostu nie lubi cudzoziemców?

- Przejrzymy zatem listę złych charakterów - powiedziała King. - Najpierw sprawy osobiste. Cerberus Systems. Maskowi. Potem uniwersaliści... Przynajmniej ta ich część, która była za skazaniem Sufyerda. Jest jeszcze kret w Wywiadzie Strategicznym. Oraz Caranis. Wątpię też, żeby L'Pellerin dobrze o nas myślał. Pominęłam kogoś?

- Policja pewnie też by wołała, żebyśmy zniknęli - dodał Grok. - No i oczywiście Torguthanie, chociaż oni chyba nie zrobili jeszcze żadnego ruchu. W tej sytuacji, gdy wszędzie można doszukać się drugiego dna i pułapek w pułapkach, cieszę się, że związałem swój los ze Star Risk.

- Mimo to wołałabym najpierw wyeliminować paru drani - powiedziała King. - Kontemplować swój los możemy później.

- Też tak myślę - odparł Grok. - Warto podjąć ten temat nad, powiedzmy, raclette. Na pewno wpadniemy na kilka ciekawych pomysłów, którymi będziemy mogli podzielić się z pozostałymi.

30

Zespół zebrał się w jadalni. Ostatnia dołączyła Riss.

- Kiepsko wyglądasz - powiedział Goodnight. - Czyżby ktoś cię wkurzył? Najlepiej strzel sobie jednego.

- Strzele - odparła Riss. - Może nawet więcej niż jednego.

Podeszła do kredensu, przyjrzała się butelkom i naląła sobie porządną porcję starej brandy. Wychyliła szkło, sapnęła i popiła wodą z lodem. Lodu dodała też do kolejnej porcji brandy.

- Co się stało? - spytał von Baldur. - Faadi odmówił współpracy? A może go nie znalazłaś?

- Znalazłam - powiedziała ponuro Riss. - Ale nie chciał współpracować. Przede wszystkim dlatego, że już nie żył. - Upiła łyk, czekając na ich reakcję.

- Zdaje się, że nie umarł ze starości - powiedziała Jasmine. - Wówczas nie sięgnęłabyś po brandy.

- Dobrze ci się zdaje - stwierdziła Riss. - Wygląda na to, że jakiś tydzień po procesie Sufyerda, na którym Faadi, tak jak i inni z zespołu, nie zeznawał, został przejechany na skrzyżowaniu, gdy odbywał nocną przechadzkę. Nigdy nie znaleziono pojazdu, który go potrącił.

- Ciekawe - mruknął von Baldur.

- Przejrzałam raport z sekcji zwłok - powiedziała M'chel. - Masakra. Jakby ktoś nie tyle go potrącił, ile wyrzucił z lecącego ślizgacza.

- Wcale mi się to nie podoba - powiedział von Baldur.

- Podpiszę się pod tym - dodał Grok. - Lepiej znajdziemy pozostałych, chociaż i tak może już być za późno.

- Moim zdaniem - odezwała się Jasmine - powinniśmy się też zastanowić, komu może zależeć na takich „wypadkach”.

- Oraz kto chciałby nas dorwać - mruknął Goodnight. - Chociaż po prawdzie znam odpowiedź. Prawie każdy.

31

Goodnight doszedł do wniosku, że to nie tyle jaskinia hazardu, ile cyrk oszustów.

Tradycyjna ruletka, przy której właśnie bawił, miała ukryte elektromagnesy - tak silne, że mogły wprawić białą kulkę w ruch bez ruszania samego koła. Obsługiwał je krupier, który trzymał jedną rękę w kieszeni spodni. No chyba, że kulka wyczyniała dziwne harce czystym przypadkiem, a krupier włożył przyciasne slipki.

Inny podstawiony gość, biorący udział w nieznanej Chasowi grze karcianej, pilnie wpatrywał się w sufit, w jakiś sposób przekazując prowadzącym stół sygnały, kiedy przyjmować zakłady, a kiedy rezygnować.

Najlepszy był krupier od kości, który potrafił zmienić ich układ na stole tak sprawnie, że Goodnight ani razu nie zdołał go przyłapać.

Wypatrywanie różnych sztuczek i oszustw było jedynym, co nie pozwalało Chasowi

zasnąć. W innych okolicznościach może siadłby do jakiejś partyjki, ale zwykł bawić się tylko w porządnym kasynie, czyli takich, gdzie nie skubano klientów zbyt ostentacyjnie. Lub robiono to tak dobrze, że nie miał szansy się zorientować.

Siedzący przy trzech stołach dalej pułkownik Caranis niczego nie zauważył. Różnił w rhadiańskiego pokera, grę o pokręconym przebiegu, bo wpływały na niego tworzone przez graczy sojusze i sposób dobierania kart wydawanych przez elektroniczny dyspenser. Sterowany przez krupiera za pomocą ukrytych pod dywanem przycisków.

Dwa razy Caranis biegł do kasy i wracał z plikiem kredytów.

- On chyba naprawdę lubi mocne doznania - mruknął Goodnight do barmanki, komentując drugi kurs pułkownika.

Dziewczyna uśmiechnęła się odruchowo.

- Pan Caranis jest jednym z naszych najlepszych graczy - powiedziała.

Znaczyło to, że nieustannie przegrywał do kasyna, nie mając tak naprawdę zielonego pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi.

- Bogaty z domu? - spytał Chas.

- Pewnie tak. Podobno pracuje w administracji państwowej. Nie widziałam jednak żadnego urzędnika na tyle dobrze opłacanego, żeby mógł sobie pozwolić na regularne wizyty w kasynie.

- No tak - mruknął Chas, dokończył drinka i rzucił monetę na kontuar. Zobaczył już dość i spieszno mu było do wyjścia.

Caranis go zaintrygował, zwłaszcza że nim się tu zjawił, zajął do oficjalnego życiorysu pułkownika, wedle którego pochodził on z biednej rodziny osiadłej na jednej z rolniczych planet układu Dampier, znanej z powszechnego ubóstwa.

Należało zająć się tym dokładniej.

32

- Nie ma się czego obawiać, panno Guames - powiedziała Jasmine przez szparę w uchylonych drzwiach.

Kobieta w średnim wieku spojrzała na nią niepewnie.

- Nie - odparła. - Całe życie pracowałam w Ila i zawsze uważałam na to, co mówię i co robię. Teraz już jestem na emeryturze, ale wciąż uważam, że milczenie popłaca.

- Jeśli wszyscy będą milczeć, Maen Sufyerd umrze.

- Bardzo mi go żal - powiedziała Ayalem Guames - jednak jeśli sąd wojskowy uznał go za winnego, to co ja mogę?

- Są osoby przekonane, że prawda jest trochę inna - stwierdziła King.

Guames spojrzała na nią gniewnie i otrzepała fartuch.

- Pani jest od jilan?

- Nie. Reprezentuję firmę, którą wynajęto, by udowodniła, że legat Sufyerd jest niewinny. To nie ma nic wspólnego z religią.

- Czasem trudno powiedzieć - mruknęła kobieta. - Dobrze. Przez wszystkie te lata pracowałam w IIA i myślałam, że znam się na ludziach. Wyszło na to, że bardzo się myliłam. W wypadku Sufyerd i... w paru jeszcze innych sprawach.

- Jakich na przykład? - spytała Jasmine.

- Takich, które... Nie. Złożyłam przysięgę, że nie powiem o niczym. I dotąd nie powiedziałam, chociaż byli tacy, co pytali.

- Dlaczego?

- Słyszała pani o Balkisie Faadim?

- Możliwe, że zginął w wypadku - odrzekła Jasmine.

- W jakim tam wypadku! - prychnęła Guames.

- Wie pani coś o tym?

- Nie. Nie muszę jednak nic wiedzieć, żeby kojarzyć. Wypadki nie zawsze bywają wypadkami. Zwłaszcza gdy przytrafiają się konkretnym osobom.

- A ci, o których wspomniała pani, że kręcili się tutaj i próbowali panią wypytywać... Nie domyśla się pani, skąd mogli być?

- Nie. Nie pytałam i nawet nie próbowałam się domyślać. Mam córkę, która urodzi za trzy miesiące, i chcę jeszcze zobaczyć wnuka.

- Zatem nie jest dla pani ważne, że zginie niewinny człowiek. A prawdziwy torgucki agent, będzie dalej swobodnie działał.

- Nic mi do tego - odparła Guames. - Zajmowałam się tylko statystyką. O niczym więcej nie wiem i nic mnie to nie obchodzi.

- Ale...

Drzwi zamknęły się gwałtownie.

Jasmine zastanowiła się, czy nie zapukać ponownie, ale dała spokój. Skończyły jej się argumenty i nie miała żadnego haczyka, którym mogłaby wyciągnąć z panny Guames jakieś informacje. O ile ta kobieta w ogóle cokolwiek wiedziała.

Wyszła na ulicę i póki nie wsiadła do ślizgacza, czuła na sobie wzrok Ayalem Guames.

*

- Dobry dzień na ryby - powiedział von Baldur, patrząc na dobrze ubranego mężczyznę w średnim wieku, który siedział obok niego na ławce.

- Zawsze jest dobry dzień na ryby - odparł Cabet Balalta. - Tylko ryby czasem o tym nie wiedzą. - Zaśmiał się z własnego żartu i przyjrzał się von Baldurowi. - A gdzie pański sprzęt?

- Nie przepadam za wędkowaniem. W każdym razie, gdy chodzi o ryby.

- Od razu poznałem, że jest pan gliniarzem - powiedział Balalta.

- Nie całkiem - rzekł Friedrich.

- Jest pan kolejną osobą zajmującą się sprawą biednego Sufyerda.

- Owszem - przyznał von Baldur. - Mało co się przed panem ukryje.

- W czymś trzeba być dobrym - stwierdził Balalta. - Chociaż nie rozpoznałem szpiega, mimo że codziennie go widywałem.

- Myśli pan, że Sufyerd jest winny?

- Teraz już nieważne, co myślę. Klamka zapadła, prawda?

- Jest grupa osób starających się o wznowienie śledztwa. Ja również przykładam do tego rękę.

- Może i tak - powiedział Balalta. - Może nie. Nie robiłbym tyle lat tego, co robiłem, nawet jeśli była to tylko praca przy biurku, gdybym wierzył we wszystko, co ludzie mówią.

Von Baldur uśmiechnął się szeroko.

- Z pewnością mówią różne rzeczy - powiedział.

- Tak czy owak należę do ludzi, którzy zostawiają sprawy własnemu biegowi. Nie podzielam zdania, że zamordowano Faadiego, bo chciał mówić. Niby komu miałby cokolwiek powiedzieć? Sprawa została już przesądzona i nic więcej nie można zrobić.

- To chyba nie takie oczywiste - rzekł von Baldur.

- Dla mnie jest - uciął Balalta i przyjrzał się mu z namysłem. - Powiem panu prawdę. Nie, nie interesuje mnie, jak się pan nazywa. Naprawdę nie chcę niczego wiedzieć. Mam swoje zdanie. Uważam, że biedny Sufyerd zginie po pierwsze za to, że jest jilaninem. Oni bardzo drażnią ludzi, wciąż powtarzając, że znają prawdę. Całkiem jakby mieli na nią monopol. A drugi powód to taki, że szczerze mówiąc, Sufyerd niezbyt dawał się lubić. Wiem, że był wierny żonie i dbał o dzieciaki, a w razie potrzeby gotów był bronić przyjaciół. Można było na nim polegać, ale był zimny jak ryba. Moim zdaniem też był przekonany, że reprezentuje jakąś prawdę. Nie religijną. Był po prostu przerażająco prawomyślny.

- Chyba tak - powiedział von Baldur, uśmiechając się. Tym razem szczerze.

Balalta zachichotał.

- Przypuszczam, że ludzie jego pokroju zawsze zostają takimi albo innymi męczennikami.

Chyba na tym najbardziej im zależy.

- Z tego, co wiem, Sufyerd wcale nie chce umierać.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza.

- Wie pan, gdy przyszli i powiedzieli nam, że idziemy na emeryturę - odezwał się w końcu Balalta - od razu, ale z wszystkimi korzyściami, nie protestowałem. Uznałem, że skoro ktoś wyżej tak zdecydował, powinienem się podporządkować. Zawsze tak myślałem i dlatego nigdy nie miałem żadnych kłopotów w pracy, chociaż robota była niełatwa. Ci z góry często nas obsobaczali za analizy, które dla nich przygotowywaliśmy.

- Wie pan, że wysłano pana na emeryturę, żeby nie mógł pan zeznawać przed sądem? - zapytał von Baldur.

- Nie jestem idiotą.

- Gdyby doszło do wznowienia śledztwa i powtórnego procesu, pan... i reszta zespołu Sufyerda zostaniecie wezwani na świadków.

Balalta się skrzywił.

- Jeśli dostaniemy porządną ochronę, powiem prawdę - zapewnił. - Ale nic więcej. Oczywiście jeśli pytający będzie wiedział, o co pytać. Tak jak wspomniałem, w gruncie rzeczy nic nie wiem. Wykonywałem tylko swoją pracę.

- Wspomniał pan wcześniej o ludziach zajmujących się sprawą Sufyerda - drażył von Baldur. - Rozumiem, że i oni pojawili się już po zamknięciu sprawy. Domyśla się pan, kim mogli być i dla kogo pracowali?

- Klnę się, że nie wiem. Nie pytałem ich. - Balalta westchnął. - Ale powiem panu coś. Niech pan odszuka Hopeę Ardwell. Jeśli się panu uda. My dostaliśmy tylko emerytury wyższe o jeden stopień zaszerogowania. Ona otrzymała o wiele, wiele więcej.

- Na razie nie udało nam się trafić na jej ślad - powiedział von Baldur. - Zna pan jej adres?

- Nie znam. I nie chcę znać. Ardwell to jedna z tych osób, które gonią za słońcem, jeśli domyśla się pan, o czym mówię. Jest młoda i dość ostra, żeby się wyrwać. To wszystko, co mogę panu powiedzieć. Niech pan znajdzie Hopeę i nakłoni ją do mówienia. Może to panu coś da. A może nie.

Tłum zjawił się dwa dni później koło południa. Dowódca zmiany natychmiast zarządził alarm.

- O świcie trudno o dobrą manifestację - mruknął Goodnight, zerkając z okna. - Mało kto wstanie tak wcześnie. No i żołądek nie lubi, jak od rana faszerować go stymulantami.

- Zapominasz o woli większości - powiedział Grok.

- Żartujesz.

- Staram się żartować - dodał obcy.

Do jadalni napływali strażnicy, którzy nie byli akurat na służbie.

Von Baldur przyjrzał się tłumowi, który wypełniał całą szerokość ulicy.

- Ciekawe hasła sobie wymalowali - stwierdził.

Trzymane przez demonstrantów tablice głosiły: CUDZOZIEMCY PRECZ OD POLITYKI, NAJEMNICY DO DOMU, ŚMIERĆ ZDRAJCOM, ŚMIERĆ SUFYERDOWI, PRECZ Z NIEZALEŻNYMI, SPRAWIEDLIWOŚĆ DLA BELFORTU.

- Domyślam się, że to sprawka uniwersalistów - powiedział spokojnie von Baldur. - Maskowych nie podejrzewam, skoro do ogrodu lecą tylko butelki i kamienie. Oni by strzelali.

Obrócił się do dowódcy zmiany.

- Proszę rozwinąć węże i użyć gazu łzawiącego. Pałki w ruch tylko wtedy, gdyby ktoś pokonał ogrodzenie. Nie zapomnijcie o filtrach przeciwgazowych. Z grubszej broni nie brać nic więcej poza pistoletami, ale i tych nie używać, chyba że będzie naprawdę źle. Gdy tylko to będzie możliwe, proszę oczyścić z nich całą ulicę, żeby nam sąsiedzi nie narzekali.

Mężczyzna coś jakby zaszutował i wyszedł.

- To powinno powstrzymać ich na trochę, chyba że... - powiedział Friedrich. - A to co?

Pochylił się mimowolnie, gdy nad bramą przeleciały trzy ślizgacze i na podwórku zagrzechotały granaty gazowe.

- Filtry - rozkazał. - Zakładam, że to zwykły gaz łzawiący, nie jakaś śmiertelna mieszanka, ale dom nie jest gazoszczelny.

- Już jest - powiedziała Jasmine, podchodząc do panelu w ścianie i przekręcając jakiś klucz. - Zależy jeszcze, jak wiele okien jest otwartych, ale mamy tu teraz nadciśnienie i nic nie powinno dostać się do środka.

Riss nie zwracała uwagi na ich rozmowę. Wepchnęła filtry do nosa i wzięła mocną lornetkę, żeby przyjrzeć się dokładniej tłumowi.

- Szukasz prowodyrów? - spytał Goodnight.

- Tak. Jednego chyba mam. To agent, nie wiem tylko, czy policyjny czy L'Pellerina. A tam... Jasmine, zerknij tylko.

King wzięła lornetkę.

- O kurczę... To Nowotny - powiedziała.

- Zgadza się - potwierdził Goodnight. - Nie przeszkadza mi, że Cerberus tu kręci, ale organizowanie demonstracji to już za wiele.

- Też tak uważam - nosowo zgodziła się Riss i sięgnęła po uprzęż bojową. - Grok, chodź ze mną. Mogę potrzebować wsparcia.

Obcy ryknął rozanielony i ruszył za dziewczyną, która przebiegła przez dom do kuchni, gdzie kryło się wejście do tunelu ucieczkowego. Po drodze zorganizował karabin i kilka granatów ogłuszających.

Tunel gęsto zasnuwały pajęczyny, ale nie było wody i gryzoni. Wychodził w małym garażu przy uliczce na tyłach. Riss wypadła z niego pierwsza, pochylony Grok deptał jej po piętach.

Przemknęli na bulwar przed frontem rezydencji. Riss uniosła rękę, zatrzymała się i wyrzwała zza rogu.

Dostrzegła granaty przelatujące nad bramą i padające między ludźmi. Tłum zawył ze złości. Niektórzy mieli ze sobą maski oraz filtry, czego nie należałoby oczekiwać po amatorach, jednak i oni uznali, że lepiej będzie się wycofać.

- Widzisz Nowotnego? - spytał Grok.

- Gdzieś go wciąło - odparła Riss. - Musiał chyba zwiać, gdy tylko się zaczęło. Albo gdy ze ślizgaczy rzucono granaty, jeśli to był jego pomysł.

- No to co robimy?

- Wracamy i... Chociaż nie! Zajmiemy się tym błaznem, skoro sam pcha się nam w ręce - powiedziała, pokazując mężczyznę w szarej kurtce i spodniach tegoż koloru, który biegł w ich stronę z maską przeciwgazową na twarzy.

Riss wyszła zza rogu i uniosła broń.

- Ani mru-mru - rzuciła.

Mężczyzna ledwo wyhamował i zaraz uniósł rękę.

- Nie możesz... - wybełkotał przez maskę. - Jestem funkcjonariuszem na słu...

- Mogę i właśnie to robię - powiedziała Riss i pociągnęła mężczyznę w boczną uliczkę.

- To porwanie! - zaprotestował funkcjonariusz.

- Spostrzegawczy jesteś - odparła Riss. - Widać mama nie wychowała cię na idiotę. Grok,

bierzemy go do garażu.

Obcy warknął i uniósł mężczyznę jedną łapą. Riss przeszukała szarego osobnika. Odebrała mu pistolet, pojemnik z gazem, mosiężny kastet i portfel z dokumentami tkwiący w kieszeni na piersi.

Potem Grok pobiegł ze zdobyczą, sadząc dwumetrowymi susami na tyle szybko, że nikt, kto by go napotkał, nie zdążyłby zareagować. O ile uwierzyłby własnym oczom, oczywiście.

Riss zjawiła się zaraz po nim. Zerwała jeńcowi maskę i wyjęła sobie filtry z nosa.

- Pilnuj, żeby ani drgnął - poleciła Grokowi.

- Nie ruszy się - powiedział obcy, unosząc łapę, i demonstracyjnie wysunął pazury.

Mężczyzna ze wszystkich sił udawał stalagmit.

- Sprawdźmy, kogo tu mamy - mruknęła Riss, otwierając portfel. - Istotnie, jesteś kikutem sprawiedliwości. Dlaczego więc nie zaprowadziłeś tam porządku?

- Miałem swoje rozkazy.

- Nakazujące naruszenie porządku publicznego?

Mężczyzna zacisnął usta.

- Chcę wiedzieć, gdzie jest centrala tego mężczyzny, ubranego na brązowo. Tego, który stał tuż obok ciebie i z którym rozmawiałeś. Nie wiem, jakiego nazwiska używa, ale jest bardzo chudy, ma duże dłonie i brzydką bliznę na twarzy. I kuleje. Mówi jakby szeptem.

- Ja nie...

Riss uderzyła go dwa razy otwartą dłonią. W tę i z powrotem.

- Gdzie go znajdę? - zapytała.

- Nie mogę wam powiedzieć.

- Ależ możesz - stwierdziła Riss. - Możesz to i jeszcze wiele innych rzeczy. Co z tobą zrobi szef, to tylko przypuszczenia. U mnie lanie masz pewne.

Mężczyzna pokręcił głową.

- No, to będzie trzeba sprzątać - powiedziała ze smutkiem Riss.

*

Pół godziny później znali już lokalizację jednego z bezpiecznych lokali Cerberus Systems i całą masę szczegółów na temat współpracy tej agencji z uniwersalistami. Oczywiście nie były to żadne wielkie tajemnice, bo tych zwykły gliniarz nie miał prawa znać.

Tajniak leżał jak długi na podłodze garażu.

- Czy jeszcze czegoś od niego chcemy? - spytał Grok.

- Chwilowo nic więcej nie przychodzi mi do głowy - odpowiedziała Riss. - Poza tym, czy

on jeszcze oddycha?

Grok pochylił się i przyłożył kciuk do szyi mężczyzny.

- Ledwie - stwierdził. - Ale tętno ma dobre.

- Nie trzeba nam kłopotów - mruknęła dziewczyna. - Może mieć nam za złe to, jak go potraktowaliśmy.

- Zapewne - zgodził się obcy i opuścił obutą stopę na kark policjanta. Mężczyzna zadrżał konwulsyjnie i znieruchomiał na dobre.

- Wrócimy tu po zmroku i wrzucimy denata do rzeki - zapowiedziała Riss. - A teraz przekaz Freddiemu, jak zamierzamy okazać panu Nowotnemu niezadowolenie, że ma coś, czego nie było na liście dostarczonej przez Reynarda.

34

- Za czymkolwiek goni ta Hopea Ardwell, robi to bardzo szybko - powiedział Grok. - Wykorzystałem wszystkie zwykłe metody i nie trafiłem na żaden jej ślad.

- Co oznacza, że koniecznie powinniśmy z nią porozmawiać - powiedział Goodnight. - Masz jej holo?

- Owszem - odparł Grok, wywołując podobiznę.

Goodnight przyjrzał się jej krytycznie. Przedstawiała młodą kobietę w stroju wieczorowym. Dziewczyna z lekka uwodzicielsko uśmiechała się do obiektywu. Miała długie, niemal platynowe włosy, proporcjonalną twarz i chyba świetną figurę. Chyba, bo suknia mogła być z tych aktywnie poprawiających sylwetkę. Goodnight doszedł do wniosku, że Ardwell zapewne ma niewiele ponad półtora metra.

- Gdy ją znajdziesz, nie zapomnij, że to ja mam z nią rozmawiać - powiedział.

- Co nasuwa pytanie, kto będzie potem o kim więcej wiedział - rzuciła Riss od terminala.

- Nie do wiary - oburzył się Chas. - Owszem, zdarza mi się uwodzić, ale to nie znaczy, że kłapię dziobem w łóżku.

King, która weszła właśnie do pokoju, także przyjrzała się fotce.

- Czego o niej nie wiesz, Grok? - spytała.

- Nie wiem, gdzie jest.

- A jej przyjaciele?

- Chyba nie ma... nie miała ich wielu. Rozmawiałem z pewną dziewczyną, z którą

wynajmowała kiedyś mieszkanie. Tancerką. Ardwell też chciała tańczyć. Podobno bardzo się starała, ale nie miała drygu. Wydaje mi się, że ta współlokatorka niezbyt lubiła Hopeę, chociaż nie powiedziała wprost niczego, co mogłoby o tym świadczyć.

- Dziwne - mruknął Goodnight. - Od tańca do wywiadu.

- Pytałem i o to - wyjaśnił Grok. - Powiedziała, że to bezpieczna i pewna impreza. Niemal tak bezpieczna i pewna, jak złapać niewidomego bogacza.

- A to ciekawe - powiedział Chas. - Ktoś, kto tak myśli, może być przekupny.

- Chyba to właśnie próbował zasugerować Balalta - odezwała się Riss. - Skoro tak, torguccy agenci też mogli dojść do tego wniosku. Z drugiej strony współlokatorka mogła jej nie lubić za coś całkiem prozaicznego. Na przykład nadmierne zainteresowanie jej męskimi znajomymi.

- Może - przyznał Grok. - Ale wciąż nic nam to nie daje.

- A co myśli o niej Sufyerd? - spytał Goodnight.

- Chyba trochę się jej bał - powiedziała King. - Tak jak wielu żonatych, których żony widzą w każdej ładnej kobiecie rywalkę i wężą nie wiadomo co, ilekroć mąż jest poza domem.

- Nie rozumiem, dlaczego ludzie muszą się parzyć z każdą osobą płci odmiennej, która nie jest kontraktowym partnerem - zauważył Grok. - Dziwna z was rasa.

- Ale tacy właśnie jesteśmy - rzuciła Riss. - A ludzie dziwią się, dlaczego nigdy nie wyszłam za mąż. Chas, to coś dla ciebie. Idź i spytaj tę współlokatorkę, czy Hopea miała jakieś ulubione perfumy. - Spojrzała na suknię. - I markę drogiej odzieży.

- A co nam to da? - spytał Grok.

- Jeśli będziemy mieli szczęście, to nawet wiele. Być może wciąż trzyma się tego samego zapachu albo projektanta. Jeśli tak, może znają ją w sklepie, który handluje takimi rzeczami. Przypomnij sobie, co powiedział Balalta. Podobno dostała znacznie więcej pieniędzy niż inni. Być może teraz właśnie je wydaje.

- Perfumy i ciuchy - powtórzył Goodnight. - Czy nie wkraczamy na osobisty grunt?

- Tak - przyznała Riss. - A skoro o tym mowa, czy ktoś z was zastanawiał się, dlaczego te platfusy kręciły się tak gorliwie wokół Eldera Brackena i jego sekty?

- Ja - odparła King. - Ale do niczego nie doszłam.

- A ja owszem. Pomyślałam, że może chcą dotrzeć przez niego do rodziny Sufyerda.

- A to po co? - spytał von Baldur.

- Kto wie? - mruknęła Riss - Ale wiele wskazuje na to, że nie mieli nic miłego na myśli.

- Bystry wniosek - powiedział Grok. - Może moglibyśmy zapobiec kolejnym

nieszczęśliwym wypadkom?

Goodnight z namysłem pokiwał głową.

- Istotnie, osobiste podejście czasem nawet się opłaca - stwierdził.

- To dopiero początek i tak naprawdę niczego jeszcze nie widziałeś, Chas, że stawestuję tekst pewnej starej piosenki - powiedział von Baldur. - Tak czy owak, choć wasze plany godne są uwagi i realizacji, obecnie pora na to, co marzyło wam się już wcześniej. Musimy zredukować liczbę naszych wrogów albo chociaż przekonać ich, że Star Risk ma ostre kły i potrafi kąsać.

35

- Jeśli zamierzamy wystąpić przeciwko Cerberusowi, przede wszystkim musimy uderzyć w nich tak mocno, żeby zwinęli się w kłębek i najlepiej wynieśli z tej okolicy - powiedziała King. - To oznacza nie jeden cios, ale całą serię. Cerberus nazbyt wierzy w swoje zasoby, zarówno gdy chodzi o ludzi, jak i metody działania. Zaczniemy więc od sprawdzenia adresu, który zdobyła M'chel. Potem poszukamy ich centrali, co nie powinno być trudne, skoro zapewne to Nowotny odpowiada za tutejsze operacje Cerberusa. Trzeba go tylko znaleźć.

Z lekkim zaskoczeniem, ale i zadowoleniem zauważyła, że pozostali pilnie jej słuchają. Pierwszy raz to ona planowała akcję.

- Jestem rozczarowany - powiedział Grok. - Nikt nie zaproponował, żeby wykorzystać propozycję korupcyjną, którą złożył mi pan Nowotny. Czyżby moja zdrada nie mogła się na nic przydać?

Von Baldur zastanowił się i pokręcił głową.

- Nie znajduję dla niej żadnego zastosowania, przyjacielu - powiedział. - Poza tym przy obecnym rozwoju sytuacji i osobistym zaangażowaniu Nowotnego, którego musieli porządnie przycisnąć przełożeni, mógłby nabrać podejrzeń i uznać, że należy wyprawić cię na tamten świat.

- Nie byłby pierwszym gotowym spróbować - stwierdził Grok. - Poza tym nie raz już stamtąd wracałem - dodał, ale nie nalegał więcej.

- Zatem wystarczy znaleźć Nowotnego, żebyśmy mógł się zająć moimi romantycznymi poszukiwaniami - odezwał się Goodnight. - Niech tylko Riss wywęszy te perfumy.

- Nie śmieć się - powiedziała Riss. - To poważna sprawa.

- Nie śmieję się - zapewnił pospiesznie Goodnight. - Jestem pełen podziwu.
- Twoje szczęście - warknęła M'chel.

*

Pierwsze, co zrobili, to odszukali miejscową centralę Cerberus Systems.

Poszło im jak z płatka. Wystarczyło sprawdzić siedziby wszystkich firm ochroniarskich w mieście i ustalić, którą Nowotny odwiedzał najczęściej.

Potem wzięli ją pod całodobową obserwację. Zidentyfikowali wśród jej gości pół tuzina pracowników Cerberusa i każdemu dodali ogon. Nie trudzili się wynajmowaniem fachowców od tej roboty. Agenci konkurencji byli zbyt dobrze wyszkoleni, żeby w razie potrzeby nie zginąć w tłumie. Nie mieli jednak większych szans, gdy śledzących był cały tuzin, przy czym żaden nie podążał za obiektem dłużej niż przez dwie przecznice, a potem ustępował koledze i wracał do akcji pół miasta dalej.

Gdy śledzony próbował ich zgubić, wchodząc do sklepu i wymykając się innym wyjściem, z tyłoma ludźmi wystarczyło obstawić wszystkie drzwi.

Po dwóch dniach roboty mieli już dwa adresy, w tym jeden nie widniejący na liście premiera.

Cerberus nikomu nie ufał i trzymał karty przy orderach.

Jeden lokal mieścił się w wysokościowcu, dwa - również ten, który zdaniem King i von Baldura był centralą - w zwykłych domach. Drugi znajdował się trzy domy od posterunku policji.

- To jest akurat coś dla ciebie - zdecydował von Baldur.
- Żaden problem - odrzekł Goodnight. - Przygotujcie tylko steki.

*

Jasmine King przysiadła za Friedrichem na zewnętrznych schodach budynku. Oboje mieli na sobie nie rzucające się w oczy szare mundury z czarnymi napisami PATROL ULICZNY.

Pod spodem ukryli broń i granaty hukowe. Każde niosło też długą prawie na metr rurę o średnicy około dwunastu centymetrów.

Biuro po drugiej stronie ulicy było najpewniej główną siedzibą firmy. Tuż przed nim parkował luksusowy ślizgacz marki Sikorsky-Bentley.

- Bardzo jestem ciekaw, o czym pułkownik Caranis może rozmawiać z Nowotnym - szepnął von Baldur.

King nie odpowiedziała. Myślała o rurze, którą trzymała pod pachą.

- Ale to innym razem - powiedział Friedrich. - Pochyl się. Wychodzi.

Otworzyły się drzwi i na zewnątrz wykuśtykał Nowotny. Zakończył radosną wymianę zdań z Caranidem, który zaraz odjechał. Potem chudy mężczyzna zniknął na jakieś dziesięć minut w środku i pojawił się ponownie z dwoma pracownikami oraz jednym ochroniarzem.

King i von Baldur dostrzegli też jakiś ruch w środku.

- Pewnie portier - mruknął Friedrich. - Dobrze byłoby go nie zabić. Nie potrzebujemy rozlewu krwi.

Odczekał jeszcze pięć minut i skinął na King.

Zdjąć pokrywę... rozciągnąć dwuczęściową teleskopową rurę na pełną długość... podnieść celownik przezierny na górze... wyjąć szpilkę zabezpieczającą z tylnej części... zerwać plombę ze spustu...

Von Baldur zrobił to samo ze swoją wyrzutnią.

- Ja pierwszy - powiedział normalnym tonem, trochę zaskakując tym King. - Otworzę ci drzwi i będziesz mogła dokonać prawdziwych zniszczeń.

King uśmiechnęła się, czując, że poca jej się dłonie.

Friedrich upewnił się, że Jasmine znajduje się poza strefą gazów wylotowych, i nacisnął kciukiem na język spustowy.

Rakieta wystrzeliła z rury, przeleciała trzydzieści metrów i wbiła się w drzwi biura. Ekspłodowała z rozgłośnym hukiem, rozświetlając wczesną noc.

Chwilę później lekko ogłuszony i osmalony strażnik wytoczył się chwiejnie przez otwór po drzwiach i zniknął w ciemnościach.

- Szczęściarz - mruknął von Baldur, skłaniając się lekko Jasmine.

Dziewczyna wycelowała i konwulsyjnie ściągnęła na spust.

Jej rakietę wleciała głęboko do budynku i dopiero tam eksplodowała. Wybite okna buchnęły płomieniami.

- Chyba powinniśmy wznowić patrol - powiedział von Baldur. Zdjął rękawiczki i wrzucił je do kosza na śmieci. - Służba nie drużba.

*

Korytarzem nadeszła młoda kobieta i nacisnęła klamkę biura bez żadnej tabliczki. Drzwi były zamknięte. Skrzywiła się, jakby niezadowolona, że ktoś śmiało skończył pracę, mimo że miała do niego jeszcze jakąś sprawę. Położyła pod drzwiami pękatą kopertę i niespiesznie odeszła w stronę wind.

Dziesięć minut po zniknięciu M'chel Riss koperta eksplodowała, wrywając drzwi z zawiasów i zasypując biuro lawiną ładunków zapalających.

*

Chas Goodnight zsalutował parze wychodzących z posterunku policjantów i skierował się ku zamkniętemu lokalowi, w którym mieściło się kolejne biuro Cerberusa. Wyjął zza pazuchy paczkę i uruchomiwszy zapalnik, przycisnął ją do szklanych drzwi wzmocnionych stalowymi prętami. Potem odszedł. Skręcił za róg w tej samej chwili, gdy bomba wybuchła.

Lubię zmieniać duże rzeczy w wiele drobnych, pomyślał i uaktywnił tryb szybki. Przechodząc przez ulicę, śmiertelnie przestraszył dwóch kierowców, którzy nie wiedzieli, czy krzyczeć czy hamować, i nigdy się nie domyślili, co za rozmazana smuga przemknęła im przed maską.

Zanim gliniarze zorganizowali pościg, Goodnight wsiadał już do ślizgacza, w którym czekał na niego Grok. Nie marnując czasu na drobiazgi, pojechali do drogiej restauracji.

*

- J a k ś m i a ł e ś?! - syknął Nowotny.

- Chwilę, panie Nowotny - powiedział do mikrofonu von Baldur. - Naprawdę nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

- Wiesz, i to aż za dobrze.

- W żadnym razie.

- Nie wypowiedzieliśmy wam wojny!

- Zaraz... Czy to nie pan brał kilka dni temu udział w pewnej demonstracji przed naszym domem? - spytał von Baldur. - Bardzo przepraszam, jeśli z kimś pana pomyliłem.

- Ty draniu!

- Proszę się opanować, przyjacielu. Ostatecznie sam nie tak dawno urządziłeś mi coś podobnego na świecie zwanym Glace. Czy rzuciłem wówczas choć jednym ciężkim słowem?

Nowotny spojrzął ze złością w stronę kamery i drgnął, usłyszawszy dobiegający zza kadru śmiech Jasmine King.

- Dobrze - powiedział. - Skoro chcecie tak grać, możemy zrobić to samo.

- Nie sądziłem, że Cerberus Systems ogranicza się do powielania cudzych pomysłów - rzucił von Baldur. - I wciąż nie wiem, skąd te nerwy.

Nowotny poczerwieniał na twarzy i ekran pociemniał.

- Powinieneś być się jeszcze nad nim poznać - powiedziała Jasmine. - Nigdy nie widziałam nikogo, kto byłby tak bliski ataku serca.

- Obawiam się, kochana Jasmine, że ten gość sam na zawał nigdy nie zejdzie. Woli o to przyprawiać innych.

*

- Ostatnim razem ostrzegałem, żeby nie próbował pan zostać moim wrogiem, panie von Baldur - mówił L'Pellerin.

- I chyba doszliśmy do porozumienia? Nie wydaje mi się, żeby Star Risk zrobiło cokolwiek...

- Sytuacja się zmieniła - powiedział szef tajnej policji, uśmiechnął się uprzejmie i zerwał połączenie.

- Nie lubię ludzi tak pewnych siebie, że nigdy nie posuwają się do gróźb - mruknął von Baldur. - Mało kto mnie tak niepokoi.

36

Chas Goodnight pociągnął nosem.

To była na pewno woń „Objęć namiętności”.

Aha, pomyślał. Oto nos myśliwego.

Po tym, jak propozycja Jasmine okazała się strzałem w dziesiątkę, M'chel kupiła flakonik perfum, które upodobała sobie Hopea Ardwell, i zadbała, żeby Chas dobrze go zapamiętał. Posunęła się nawet do tego, że lekko skropiła nimi jego poduszkę.

Ardwell leżała bez ruchu na wielkim plażowym ręczniku niecałe trzy metry dalej.

Goodnight uznał, że „Objęcia namiętności” nie są w jego guście. Wolał subtelniejsze wonie.

Za nim wznosił się staroświecki masyw głównego budynku ośrodka, który mieścił kilka restauracji, dwa kluby nocne i obowiązkowe kasyno. Z boków dobudowano dwa nowoczesne skrzydła.

Plaża była prawie pusta.

Dziesiąty telefon wykonany przez Groka, który sprawdzał luksusowe sklepy, okazał się tym właściwym. King zajrzała do perfumerii, do której należał, uznawszy, że obcy w tego rodzaju sklepie wywołałby niepożądaną sensację. Napomknęła ekspedientce, że jej przyjaciółka Hopea zachwalała pewne perfumy i ona też chętnie kupiłaby mały flakonik, bo akurat wpadło jej trochę grosza. I przy okazji, może ktoś w sklepie wie, gdzie podziewa się teraz jej dawna przyjaciółka, bo kontakt im się jakoś urwał.

Sprzedawczyni odpowiedziała, że owszem, wie. Hopea była jedną z ich najlepszych

klientek i kupowała wszystko z linii „Objęcia namiętności”. Dostała jakiś spadek i mogła sobie pozwolić na takie wydatki. Na dodatek w tym tygodniu zamówiła nowy balsam do ciała i kazała wysłać go do ośrodka, w którym akurat przebywa.

- Gdzie to jest? - chciała wiedzieć King.

Dziewczyna zastanowiła się, ale odparła, że nie pamięta, który to, ale na pewno leży nad zatoką i ma w nazwie słowo „pałac”.

Znalezienie Pałacu Tajemnic nie było już trudne. Dokonali rezerwacji i następnego dnia Goodnight ruszył w drogę.

Hopea rzeczywiście tam bawiła, co dało się potwierdzić dzięki jednej fotografii i dwudziestokredytowemu banknotowi, który trafił do portiera. Piękny i bogaty Goodnight obserwował ją już dwie doby.

Po pierwszej zaczął być zauważany.

Kolejna sumka przekazana człowiekowi z obsługi ośrodka pozwoliła usłyszeć coś więcej. Biedna panna Ardwell. Przyjechała przed prawdziwym początkiem Sezonu (człowiek z obsługi bez dwóch zdań wypowiedział to słowo wielką literą) i wydaje się bardzo samotna. Wielka szkoda, że taka piękna kobieta chodzi sama.

Istotnie szkoda, zgodził się Chas. Następnego ranka narzucił na swe piękne ciało lekkie kimono z prawdziwego ziemskiego jedwabiu i wybrał się na plażę, gdy Hopea zjawiała się ze swoim ręcznikiem.

Począł, aż dziewczyna uniesie głowę i go zauważy. Uśmiechnęła się do niego. Odwzajemnił uśmiech i podszedł bliżej.

- Trudno znaleźć wolne miejsce na zatłoczonej plaży - powiedział.

- Zatłoczonej? - zdumiała się Hopea, kręcąc głową. W końcu zrozumiała i zachichotała.

Goodnight rozłożył się w stosownej odległości od niej.

- Kim jesteś? - spytała.

- Kimś, kto od jakiegoś czasu ci się przygląda.

- O, jakie to romantyczne...

- Nic z tego. Mam po temu inny powód, panno Ardwell.

Usiadła gwałtownie.

- Kim pan jest?! - syknęła, strzelając wkoło spojrzeniem.

- Nazywam się Goodnight, ale możesz mi mówić Chas. Nie mam złych zamiarów. Pracuję dla kogoś, z kim i ty kiedyś pracowałaś.

Ardwell mocno zacisnęła usta.

- Nie wiem, o kim mowa - powiedziała.

- Oczywiście, że nie, Hopeo - zgodził się Goodnight. - I rzecz jasna nie pracowałaś nigdy w Ila, nieprawdaż?

- Dziwnie się pan zachowuje. Proszę odejść, bo wezwę ochronę.

- Myślę, że tego nie zrobisz.

- A to dlaczego?

- Po pierwsze, nie słyszałem, żebyś się umówiła z kimś na kolację, a tutejsze pływające restauracje są kuszące.

Ardwell trochę się odprężyła.

- Jesteś gliną? - zapytała.

- Nie. Po prostu lubię słuchać, co ludzie mają do powiedzenia. Jeśli to, co słyszę, jest interesujące, gotów jestem im zapłacić.

- Zapłacić? - zainteresowała się Ardwell i twarz trochę jej pojaśniała.

- Dobrze zapłacić - sprecyzował Goodnight. - Poza tym, jeśli zdołasz mi pomóc, zyskasz miłą świadomość, że uratowałaś komuś życie.

Hopea spojrzała na niego uważnie i pokręciła głową.

- Nie, nie - powiedziała. - Przyjęłam, co dawali, i zgodziłam się nigdy z nikim o tym nie rozmawiać. Nie chcę kłopotów. Ani niczego gorszego. Czegoś takiego, co przydarzyło się nieszczęsnemu Faadiemu.

- Trudno - westchnął Chas. - Powiem szefowi, że próbowałem. - Przeciągnął się, nie wstając z ziemi.

Ardwell przyjrzała mu się zaintrygowana i opadła na ręcznik.

- Ile możesz zapłacić? - spytała po chwili, nie odwracając głowy. - Życie na poziomie, który mi odpowiada, kosztuje jednak więcej, niż myślałam.

- Powiedzmy, że dziesięć tysięcy kredytów za dzień konwersacji.

Ardwell znów się poderwała.

- To dużo pieniędzy - stwierdziła. - Zwłaszcza za samą rozmowę.

- Owszem.

- Gdzie byśmy rozmawiali? W więzieniu, areszcie albo czymś podobnym?

- Tylko gdybyś tego chciała.

- Nie wiem...

- Do tego dochodzą wspólne posiłki i może parę kredytów na kasyno. Oraz ktoś, z kim mogłabyś potańczyć.

- Rzeczywiście nie jesteś gliną! - stwierdziła z przekonaniem Ardwell. - Oni tak nie działają.

- Już to powiedziałem. I czy wspomniałem, że pokryjemy rachunek za twój pobyt tutaj?

- Jestem już w tym ośrodku prawie dwa miesiące.

- Wiem.

- O czym mamy rozmawiać? - spytała Hopea.

- Chcę, żebyś opowiedziała mi o swojej pracy w Ila. Nie musisz mówić o szczegółach tajnych spraw. Tylko tyle, żebyś wiedział, jak tam było. Jak wyglądał twój dzień od przyjścia... nawet od wyjścia rano z mieszkania, do powrotu wieczorem.

- Będę musiała zeznawać? Na przykład w sądzie?

- Nie przypuszczam - odparł Goodnight. - Gdyby ktoś chciał potem powołać cię na świadka, musiałby uzgodnić to ze mną. A ja się nie zgodzę.

Ardwell zastanowiła się, odruchowo przygryzając dolną wargę.

- W pewien sposób lubiłam Maena - powiedziała. - Chociaż nie wiem do końca dlaczego. Może nie wyobrażałam sobie, że ktoś naprawdę może być podobnym ściubidupkiem. Owszem, wiedziałam, że jest jilanem. Nawet zaprosił mnie kiedyś do nich, sądząc, że mogę być zainteresowana. Potem jednak dodał, że jego żona chętnie mnie pozna, i to już mnie nie interesowało. Czujesz?

- Na pewno - przyznał Goodnight, otwierając tubkę olejku do opalania. - Chociaż... Zainteresowana smarowaniem?

Ardwell spojrzała na niego figlarnie.

- A dobrze to zrobisz? - zapytała. - Razem z plecami i tymi częściami ud, do których sama nie sięgam?

- Z rozkoszą - mruknął Chas i Ardwell położyła się na brzuchu.

- Czy to nie zabawne, że chociaż marzę o kimś idealnym, to gdy ktoś taki się pokazuje, mówię mu, że nic z tego.

- Jest ktoś jeszcze? - spytał Goodnight.

- Nic takiego. Dawne dzieje.

- A czy ten ktoś nazywa się być może Caranis?

- Co o nim sądzisz?

- Pamiętam, co powiedział o nim Sufyerd - rzekł Chas. - Że to nie jest człowiek honoru. I podobno bywa nieco zbyt romantyczny.

- Romantyczny? - parsknęła Ardwell. - Łapanie za kolano w windzie ma być romantyczne? Uważał chyba, że nabrał do mnie praw, stawiając mi kilka drinków. Nie wiem, co sobie myślał.

- Jest bogaty?

- Lubi robić takie wrażenie. Szpanuje gablotą, ubraniami i miną. W rzeczywistości nie ma godnego uwagi majątku, a gdy coś się spieprzy, bluzga jak robotnik. Tak jak ja, zanim zaczęłam nad sobą pracować.

- Ciekawe - stwierdził Goodnight. - Wydawałoby się, że ktoś tak zakłamany nie miałby czego szukać w wywiadzie.

- To jeden w drugiego kompletni idioci - powiedziała Ardwell. - Wierzą w te swoje wykrywacze kłamstw i agentów, którzy podobno mogą wszystko sprawdzić. A gdy ktoś powie im w oczy kilka słów prawdy, zaraz znajdują na niego haka. Jak na Maena. Ogłosili go winnym i zapłacili głową.

- Uważasz, że jest niewinny?

- Wiem swoje.

Goodnight zdołał zachować spokój.

- A mogę spytać, dlaczego tak uważasz? - odezwał się ostrożnie.

- Po prostu wiem... Znam się na ludziach.

Tym razem Chas musiał ukryć rozczarowanie.

- Domyślasz się, kto może być tym prawdziwym zdrajcą? - zapytał.

- Na pewno nikt z naszego zespołu - stwierdziła z przekonaniem Ardwell.

- Caranis?

- Nie wiem - odparła po chwili wahania, z wystudiowaną obojętnością.

- Ale nie zmartwiłabyś się, gdyby to był on?

- Pić mi się chce - powiedziała Hopea. - Postawisz mi drinka?

- Z przyjemnością.

Wstał lekko i podał dziewczynie rękę.

- Co tam masz z tyłu, zaraz poniżej pasa? - spytała. - Broń?

- Spostrzegawcza jesteś - mruknął Chas.

- Może. A może lubię oglądać męskie tyłki.

- Bezwstydnica! - rzucił Goodnight z udawanym oburzeniem.

Ardwell zachichotała.

- Dobrze, a teraz opowiedz, jak wyglądał twój dzień w Ila - podjął indagację Chas.

- Dopiero gdy zobaczę twoje kredyty.

- W porządku. Zapraszam więc do baru, a potem pójde na górę i przyniosę pierwszą wypłatę.

- Będę musiała pokwitować?

- Nic nie musisz... poza mówieniem.

- To będzie najłatwiej zarobione dziesięć tysięcy w moim życiu - stwierdziła Ardwell, nie kryjąc chciwości.

*

Gdy raz zaczęła mówić, wyzbyła się wszelkich hamulców. Nic nie mogło jej przeszkodzić. Nawet Goodnight. Gadała przy koktajlach, przy obiedzie i w tańcu. Chas dowiedział się wszystkiego o pracy młodszego analityka, czyli w praktyce kogoś stojącego tylko odrobinę wyżej niż przeciętna sekretarka.

Była to robota tak nudna, jak się spodziewał. Wywiad nie wywiad, wszystkie biura są takie same.

Chociaż miał świetną pamięć, gratulował sobie, że przezornie wziął zegarek z mikrofonem. Urządzenie przekazywało wszystko rejestratorowi w jego pokoju. Stamtąd materiał szedł na bieżąco do siedziby firmy w Tuletii.

Tyle dobrego, że Hopea nie mówiła przez sen. W każdym razie nie z sensem.

*

Panna Ardwell nie kryła zadowolenia, że ma u boku najprzystojniejszego mężczyznę w całym ośrodku. Ponadto cieszyło ją to, że wygaduje już trzecią transzę swojego honorarium.

Goodnight spytał też, jak wyglądało rozwiązanie zespołu, i dowiedział się, że stało się to na rozkaz Caranisa, który oficjalnie chciał dać wszystkim szansę na nowe życie zawodowe.

- Nowe życie! - parsknęła Hopea. - Na rządowej posadzie? Tam wszyscy zawsze wiedzą, co wcześniej robiłeś. Już zawsze wytykaliby mnie palcami i pytali, jak mi się pracowało ze zdrajcą. I nie byłoby nawet sensu mówić im, że Sufyerd był niewinny.

Trzeciego dnia przeszła do problemów z realizacją zamówień na sprzęt i materiały. Nagle Goodnight przerwał jej w połowie zdania:

- Co?

Leżeli nago na podłodze w jego pokoju.

- Wróc może - powiedział - do tego kuriera.

- A, on. Nie warto o nim wspominać. Zjawił się w ramach jakiegoś rządowego programu. Ledwo umiał się wysmarkać.

- A coś więcej?

- Przeglądał się we wszystkim, nie tylko w lustrach. Jakby było na co patrzeć. Jakby był taki jak ty. Chociaż sam pewnie się za takiego uważał. Nigdy niczego nie zrobił porządnie. Ciągle dawał mi pocztę zaadresowaną do Maena i zapominał zostawić świętej pamięci

Faadiemu rozkazy dzienne. Tylko się szwendał po biurze.

- Jak się nazywał?

- Runo Kismayu.

- Co się z nim stało po rozwiązaniu zespołu?

- Nie wiem - powiedziała Hopea. - Nie należał do nas, więc pewnie tylko go przesunęli.

Może nawet dali awans. - Ziewnęła. - Chyba się zdrzemnę. Ale nie od razu. W gardle mi zaschło i muszę czymś przepłukać usta.

*

- Oto powrót zwycięskiego bohatera - rzekła Riss. - Zaspokoiliś swoje nieczne żądze?

- Nie będę krył, że owszem - przyznał Goodnight. - Ale łatwo nie było.

- Zgłosiłeś się na ochotnika.

- Głupi byłem. Dlaczego ci, którzy lubią gadać, mają niemiły głos? - zastanowił się głośno.

- Istotnie, ta dziewczyna to nie słowik - przyznała King. - Na szczęście mogłam korzystać z transkrypcji. Chociaż były też momenty warte posłuchania.

- Od dziś żyję w celibacie - oznajmił zniechęcony Goodnight. - Ona albo gadała, albo chciała się pieprzyć. Chyba utopię smutki w butelce... i wrócę do złodziejstwa. Muszę sobie tylko coś przemyśleć.

37

Chas wszedł do sklepiku i uśmiechnął się do drobnego łysego mężczyzny stojącego za pokrytą kurzem ladą.

- W czym mogę pomóc? - spytał sprzedawca, nie odwzajemniając uśmiechu.

- Potrzebuję kilku narzędzi - powiedział Goodnight.

- Na przykład jakich?

- Dobrego czytacza, muszelek słuchawkowych, zestawu dłut, świecącego szkła, łomu i wiertarki z wiertłami. Gdyby miał pan gogle nocne, też by się przydały - powiedział Goodnight, wpadając w podobnie lakoniczny styl.

- Jest pan ślusarzem? - spytał mężczyzna, nie bawiąc się w podchody.

- Rozszyfrował mnie pan - odparł Chas, podejmując grę, i zastanowił się, czy to, co

słyszał o tym mężczyźnie w paru barach, może być prawdą.

- A przypadkiem ma pan ze sobą licencję?

- Obawiam się, że zostawiłem ją w drugich spodniach.

- Bez niej nie mogę nic panu sprzedać.

- To mam kłopot - mruknął Goodnight. - Te spodnie są na Capelli 7. - Sięgnął do kieszeni po banknot o wysokim nominale i położył go na ladzie.

Mężczyzna wziął banknot.

- Powinien pan wiedzieć, że prawo zabrania sprzedawania narzędzi, które mogą być wykorzystane do działalności przestępczej - powiedział. - Tak samo jest na całym Montrois.

- Przykro nie móc uprawiać swojego fachu - mruknął Chas i dodał kolejny banknot.

Starszy pan był bardzo szybki. W mgnieniu oka wydobyl skądś staromodny, ale bez wątpienia groźny pistolet.

- Proszę, by pan zachował spokój - powiedział. - Paru moich przyjaciół chętnie z panem porozmawia.

- Mam nadzieję, że nie ma pan przyjaciół w policji - stwierdził Goodnight, co bardzo rozbawiło mężczyznę.

- Nie mam - stwierdził. - Nigdy nie miałem.

Chas usiadł na plecionym krześle. Ręce trzymał cały czas na widoku. Sprzedawca wystukiwał numer na komunikatorze, ani na moment nie spuszczał klienta z oczu. Potem wziął cichy mikrofon i coś do niego powiedział.

Goodnight czekał. Był pewien, że gdyby wszedł w tryb szybki, doskoczyłby do starego, zanim spróbowałby on nacisnąć spust. Był jednak ciekaw, co z tej przygody wyniknie.

Nie szło tak dobrze, jak by sobie życzył, ale była szansa, że sprzedawca ma kontakt z jakimiś skorumpowanymi gliniarzami, których można by skorumpować jeszcze bardziej.

Zastanawiał się też, co go napadło, że wszystkie swoje narzędzia zostawił na Trimalchionie. Przecież wiedział, że będą pracować w mieście, czyli jakiś włam na pewno okaże się konieczny.

Pół godziny później do sklepu wszedł gość o posturze goryla. Drugi, podobny, wyrósł po przeciwnej stronie ulicy i rozejrzał się za obstawą Chasa. Gdy nikogo nie wypatrzył, też wszedł do sklepu.

Goodnight uznał, że tym razem szczęście zupełnie mu nie sprzyja. Był pewien, że ci dwaj w żadnym razie mu się nie przydadzą.

Najpierw przeszukali Chasa i znaleźli mały pistolet przyklejony do ciała.

- Coś za jeden, że chcesz pracować na własną rękę, bez zgody gildii? - warknął jeden z

osiłków.

- Dajcie mi pogadać z waszym królem złodziei, który pewnie czeka na zewnątrz, a wszystko mu wyjaśnię - powiedział zmęczonym tonem Goodnight.

Facet spojrzał na niego ze złością, ale wyszedł.

Do sklepu wszedł kaczym krokiem bardzo otyły mężczyzna.

- Jestem Guayacurus. Przewodzę wszystkim złodziejom w Tuletii - przedstawił się. - Musisz być cudzoziemcem, skoro nie zjawilesz się u mnie poprosić o zgodę na pracę.

Goodnight smętnie pokręcił głową.

- Jestem Chas Goodnight i rzeczywiście, przeleciałem tu z innego świata. Jednak nie urodziłem się wczoraj i nie mam ochoty słuchać twojego zrzęczenia.

- Nie możesz... - zaczął jeden z osiłków i wyciągnął łapy w stronę Chasa.

Który wszedł już jednak w tryb szybki. Najbliższy goryl wyleciał przez okno. Stary ściągnął język spustowy pistoletu, ale Goodnight był już całkiem gdzie indziej, tak że pocisk trafił drugiego ochroniarza, robiąc w nim małą, ale fatalną dla procesów życiowych dziurę.

Chas dopadł szarą smugą do lady. Stary próbował go namierzyć, ale był żałośnie wolny. Bester wyjął mu broń z ręki i lekko ścisnąwszy nadgarstek, pchnął na stojak z ostrymi narzędziami. Sprzedawca otworzył usta do krzyku, Goodnight zaś odwrócił się akurat w porę, żeby ujrzeć, jak „król” sięga pod niezbyt czystą koszulę.

Wystarczyło mu lekko dać po łapie, żeby przestał, przy czym zupełnie przypadkiem doznał złamania kości przedramienia. Chas odebrał mu broń i wyszedł z trybu szybkiego.

Facet gapił się na niego z otwartymi ustami, stary krzyczał i tylko obaj ochroniarze leżeli cisi i spokojni. Przechodnie beznamiętnie mijali ciało leżące przed sklepem z wybitą szybą. W tej dzielnicy nikt nie zwracał uwagi na takie drobiazgi.

- Powinienem cię zabić - powiedział Goodnight. - Naprawdę uważasz, że jestem tak naiwny? W każdym mieście na każdej planecie jest co najmniej dziesięciu gości gotowych przysiąc, że to właśnie oni są królami złodziei.

Tłuscioch się rozplakał.

- Przestań się mazać - rzucił Chas. - Miałem nadzieję, że jesteś kimś więcej. Ale trudno, daruję ci życie. Może będę musiał opchnąć trochę towaru, zanim ruszę dalej, i wtedy się przydasz. Powiedz tylko, gdzie cię szukać, gdybyś był mi potrzebny. I gdybyś próbował mnie oszukać. Wtedy na pewno cię znajdę, jak nie w tym, to w przyszłym życiu.

Mężczyzna wymamrotał kilka nazwisk i adresów.

Goodnight sprawdził mu szybko kieszenie. Znalazł nóż, jeszcze jeden pistolet, tym razem malutki, i spory plik kredytów, który bardzo mu przypadł do gustu.

- Teraz wezmę narzędzia, po które przyszedłem - rzekł na koniec - i zostawię cię, żebyś posprzątał. I jeszcze jedno. Gdyby ktoś pytał, zapłaciłem w waszej gildii od razu roczną składkę.

38

- Tak - przyznał Elder Bracken. - Wiem, gdzie przebywa rodzina Sufyerda. Z nami są jednak bezpieczni. Przewieźliśmy ich z własnego domu zaraz po tym, jak kilku chuliganów obrzuciło go kamieniami i zaczęło grozić dzieciom. Niestety, tam za trudno było ich chronić.

- Nie chcę kwestionować waszych możliwości, ale ludzie, którzy chcą śmierci Sufyerda, są bardzo groźni i bezwzględni - powiedziała Riss. - Nie rzucają kamieniami, tylko strzelają, i to dobrze.

- My akurat nie - przyznał Bracken. - Nawet ci, którzy służyli w wojsku, nie są skłonni do przemocy. To rzeczywiście może zmniejszyć ich skuteczność.

- Bez dwóch zdań - rzuciła oschle Riss.

- Co zatem proponujecie, zakładając, że pani Sufyerd będzie skłonna zaakceptować wasze towarzystwo? - zapytał Bracken.

- Chcemy zabrać ją i dzieci w bezpieczne miejsce.

- To będzie się wiązało z kolejną trudnością - powiedział Bracken. - Zakładam, że ani pani, ani towarzyszący pani nieco przerażający dżentelmen nie zamierzacie skrzywdzić Sufyerdów, ale zanim cokolwiek zrobię, proszę o jakiś dowód waszych dobrych intencji.

Grok sapnął. Riss nie potrafiła orzec, czy poczuł się urażony, czy raczej skomplementowany. Siedział ze skrzyżowanymi nogami na podłodze spartańsko urządzonego pokoju kapłana i usiłował się napić z filiżanki zaprojektowanej dla ludzi.

Co jakiś czas w drzwiach pokazywało się któreś z dzieci Brackena, żeby dokładnie obejrzeć sobie obcego.

- Rozumiem - odparła Riss z uśmiechem. - Nigdy jednak nie dowodziłam swojej niewinności i nie wiem, jak to się robi.

- Mam pewien pomysł - odezwał się Grok. - Czy słowo waszego byłego premiera miałyby wystarczającą wagę?

Bracken drgnął zaskoczony, po czym się zastanowił.

- Czy będę mógł nagrać tę rozmowę? - spytał.

- Gdyby były jakieś sprzeciwy, postaram się je pokonać - powiedziała Riss. I wyrwę mu serce przez tyłek, gdyby nie chciał współpracować, pomyślała.

- Nie przywykłem do kontaktów na takim szczeblu - wyznał Bracken.

- Niemniej poproszę, żeby sam pan znalazł numer i do niego zadzwonił. Nie chcę żadnych wątpliwości ani podejrzeń, że kogoś podstawiliśmy.

- Boże - mruknął Bracken. - Świat pełen jest oszustów, prawda?

- Obawiam się, że tak - zgodziła się Riss.

- A ja się obawiam, że to właśnie nam się podoba - dodał Grok.

Kręcąc głową, kapłan poprowadził Riss do komunikatora.

*

Riss była bardzo ciekawa, jak wygląda pani Sufyerd. Spodziewała się ujrzeć kobietę wysoką i równie ascetyczną jak jej mąż.

Okazało się jednak, że Cahamla Sufyerd jest niska, ma długie włosy i nawet nieco niespokojna może uchodzić za elegancką i atrakcyjną. Jej córka, Abihu, miała około dziesięciu lat, a syn Hasli sześć. Oboje byli nieco za poważni jak na swój wiek.

- Nie wiem, czy powinnam skorzystać z tej propozycji, Elderze - powiedziała Cahamla.

- Oczywiście decyzja należy do ciebie - rzekł kapłan. - Jeśli się nie zgodzisz, nadal będziemy was ukrywać między wiernymi. Jednak w tym, co mówi ta kobieta, jest wiele racji.

- Obecnie wszyscy kusicie los - powiedziała Riss. - Jesteście zakładnikami sytuacji.

- W jakim sensie? - spytała Cahamla. - Wprawdzie domyślam się, o co chodzi, wolę jednak usłyszeć, jak pani to widzi.

- Hm, dzieci...? - zwróciła jej uwagę M'chel.

- Nigdy niczego przed nimi nie ukrywaliśmy i nie chciałabym robić tego teraz - odparła z przekonaniem kobieta.

- Dobrze. Po pierwsze, możecie zostać porwani.

- Z jakim skutkiem?

Riss zamrugnęła. Nieco ją zatkało.

- Nie myślę o sobie ani o dzieciach - wyjaśniła Cahamla.

- Chodziłoby o zagwarantowanie milczenia Maena - powiedziała Riss.

- Nie. Maen zawsze był... zawsze był wierny prawdzie. To by go nie powstrzymało.

- Niemniej mogłoby powstrzymać innych, którzy starają się dowieść jego niewinności - powiedział Grok. Dzieci Cahamli były równie zafascynowane olbrzymim obcym, jak wcześniej latorośl Brackena.

- On mówi - szepnął chłopiec.
- Jasne, że mówi - odparła Abihu. - Bez obrazy.
- Nie obrażam się - powiedział Hasli.
- Jego nie obrażaj - rzuciła dziewczynka i dała bratu kuksańca.
- Nie obrażłem pana, prawda? - zapytał obcego Hasli.
- Niełatwo mnie obrazić - odpowiedział Grok.
- Widzisz? - zatriumfował chłopiec, patrząc na siostrę.
- Cicho - odezwała się Cahamla. - Myślę. - Wstała i podeszła do okna małego domu, w którym umieściła ich wspólnota. - W normalnej sytuacji poprosiłabym o kilka dni do namysłu - powiedziała, nie odwracając głowy. - No i poradziłabym się męża.
- To chyba nie byłoby rozsądne - stwierdziła Riss. - Myślę o rozmowie z Maenem. Wszystkie jego kontakty są kontrolowane. Szczerze mówiąc, w rządzie jest wiele osób, którym naszym zdaniem nie można ufać. Lepiej, żeby nie wiedzieli, co Star Risk zamierza.
- Gwiazdne Ryzyko... jaka ładna nazwa - powiedziała Abihu. - Zatrudnicie mnie, gdy dorosnę?
- Riss uniosła brwi.
- Hm. Staramy się wyglądać na dobrych ludzi, ale obawiam się, że twoja rodzina i twoi przyjaciele mogliby nas nie zaakceptować.
- Mogą się wypchać - zapowiedziała dziewczynka. - Gdy będę duża, będę robić to, na co mam ochotę. Oczywiście tak, żeby nikogo nie skrzywdzić.
- Jeszcze o tym porozmawiamy - obiecała Riss.
- Cahamla uśmiechnęła się do niej.
- Widzę, że nie ma pani dzieci - powiedziała.
- Nie mam. Męża też nie. To tak widać?
- Dzieci potrafią zagadać każdego oprócz rodziców - odparła Cahamla.
- Grok warknął w sposób świadczący o rozbawieniu.
- Jak pan to robi? - spytał Hasli i spróbował warknąć jak obcy.
- Dzieci, nie ułatwicie mi podjęcia decyzji - powiedziała Cahamla.
- Chłopiec i dziewczynka skrzywili się i spojrzeli na siebie znacząco, ale zamilkli.
- Jeśli potrzebuje pani czasu do namysłu, proszę powiedzieć - odezwała się Riss. - Jeśli się pani zgodzi, rozstawimy tylko posterunki wokół domu. Na wszelki wypadek.
- Uważacie, że coś może nam tu grozić? - spytała Cahamla, po raz pierwszy okazując niepokój.
- Nie wiem. Pamiętam jednak, że jacyś ludzie nachodzili Eldera, zapewne w waszej

sprawie.

Bracken skinął głową.

- Też tak podejrzewam - powiedział.

Cahamla zaczerpnęła haust powietrza.

- Dobrze zatem, pojedziemy z wami - oznajmiła. - Dacie nam godzinę na spakowanie?

- Poczekamy - powiedziała Riss. - Aż tak nam się nie spieszy.

- To naprawdę nie potrwa długo. Odkąd musieliśmy opuścić dom, ciągle żyjemy na walizkach - dodała ze smutnym uśmiechem kobieta. - Przypuszczam, że to się nie zmieni, póki Maen nie zostanie uwolniony.

Powiedziała to takim tonem, jakby była absolutnie pewna, że mąż wróci.

*

Gdy Sufyerdowie wsiadali do ślizgacza, Riss zauważyła jakieś poruszenie w zarośniętym ogrodzie po drugiej stronie ulicy.

- Jedziemy zobaczyć tatusia? - spytał Hasli.

- W końcu pewnie tak - odparła odruchowo M'chel. - Grok... widziałeś?

- Tak. Jeden mężczyzna z komunikatorem i lornetką.

- Niedobrze - stwierdziła Riss, uruchamiając ślizgacz.

- Bardzo niedobrze - dodał Grok. - Popatrz tylko.

Z zaparkowanego na ulicy ślizgacza z nazwą jakiejś firmy telekomunikacyjnej wysiadło dwóch mężczyzn. Obaj mieli broń.

- Co oni kombinują? - zastanowiła się Riss, unosząc ślizgacz i obracając go w miejscu o sto osiemdziesiąt stopni.

- I dlaczego nie zrobili tego wcześniej? - dodał od siebie Grok.

Jeden z mężczyzn wymachiwał czymś, co mogło być odznaką policyjną.

- To niczego nie dowodzi - rzuciła Riss. - Nie lubię ludzi z bronią.

Dała pełną moc i ruszyła na obu mężczyzn.

Zastygli w miejscu, pojawiwszy, że Riss gotowa jest ich staranować, i padli na ziemię. Maszyna przemknęła jakiś metr nad nimi.

Jeden przetoczył się na plecy i strzelił w brzuch ślizgacza, ale chybił.

- Ale jazda! - zawołał Hasli.

- Nie podoba mi się to, co pani zrobiła - powiedziała Cahamla. - Łamiemy prawo.

- Owszem - zgodził się Bracken. - Być może powinniśmy...

- Każdy może zdobyć taką odznakę - przerwała mu M'chel. - Wyjaśnimy wszystko, gdy

dotrzemy do celu.

- Trudno - powiedziała powątpiewająco Cahamla. - Jeśli uważa pani, że tak będzie najlepiej...

- Nie wiem, czy najlepiej - stwierdziła Riss. - Nie widzę jednak innego wyjścia. Patrzcie.

- Wskazała na lewo, gdzie pół tuzina ślizgaczy startowało z placu przy jakiejś opuszczonej fabryczce. - Nic z tego nie rozumiem - dodała.

- Być może się domyślam - powiedział Grok. - Zapewne ci ludzie, kimkolwiek są, mieli obserwować Sufyerdów i wejść do akcji jedynie wówczas, gdyby ktoś pomógł im uciec.

- Uruchomiliśmy pułapkę? - spytała retorycznie M'chel.

- Na to wygląda.

- Skoro jesteś taki bystry, to może wejdiesz na kanał alarmowy - powiedziała Riss. - Może nasi coś ustalą. Kto to może być?

- Raczej nie zwykła policja, prędzej L'Pellerin - stwierdził obcy. - On wydaje mi się najbardziej prawdopodobny. Potem zostają jeszcze Maskowi, Cerberus...

- Pięknie - mruknęła Riss. - Za dużo, żeby policzyć ich na palcach.

- Ale przygoda! - zawołała Abihu.

- Naprawdę? - spytał Hasli.

- No jasne - odparła z przekonaniem dziewczynka.

- Aha. To już się nie boję.

- Wracajmy do siebie - powiedziała Riss. W głośniku odezwał się tymczasem lekko zniekształcony głos: „Wzywam nie zidentyfikowany ślizgacz. W imieniu władz Tuletii nakazuję natychmiastowe lądowanie. Powtarzam, natychmiast lądować”.

Riss zbyła go stłumionym przekleństwem i Abihu znowu się roześmiała.

- Mamy coś na powietrznej częstotliwości awaryjnej - zameldował von Baldurowi łącznościowiec.

Friedrich zmarszczył brwi i pospieszył do centrali, gdzie usłyszał: „Wzywam nie zidentyfikowany ślizgacz, mówi kontrola obszaru Tuletii. Powtarzam... Mamy wasze numery, NY3478”.

- To ślizgacz, który Riss wzięła dziś rano - powiedział dowódca zmiany.

- Możecie ją wywołać?

- Próbowaliśmy, ale bez skutku.

Z głośników popłynął biały szum.

- Znowu zagłuszają - stwierdził łącznościowiec.

- Wszyscy mają być zaraz gotowi - rozkazał von Baldur. - I próbujcie wywołać M'chel.

*

Grok pokręcił głową. I on nie mógł nic poradzić na zagłuszanie.

- Nic - powiedział. - Ale teraz już wiemy, że to żadna oficjalna akcja.

- Po czym poznajesz?

- Policjanci, a nawet ludzie L'Pellerina, nie potrzebowaliby zagłuszania. Tylko by nas pilnowali.

- I tak to robią - rzuciła Riss, wskazując na prawo, gdzie pojawiły się kolejne cztery ślizgacze.

*

Cały personel Star Risk wysypał się przed posiadłość, gdzie stały rozgrzane już ślizgacze. Uzbrojeni po zęby von Baldur, Goodnight i King czekali na schodach.

- Chyba najlepiej będzie wystartować i poszukać tej zagłuszarki - powiedział von Baldur.

- Nasza M'chel będzie gdzieś w jej pobliżu.

- Plan taki sobie - mruknął Goodnight. - Ale lepszy niż żaden.

Nad okolicą poniósł się wizg turbin i na ulicy przed posiadłością wylądowało kilka ciężkich ślizgaczy. Dwa z nich miały odsuwane burty, za którymi, jak zaraz się okazało, kryły się ciężkie blastery. Już obsadzone. Ludzie, którzy wysypali się z pozostałych maszyn, zajęli pozycje strzeleckie wzdłuż ogrodzenia.

Potem wszyscy zamarli.

- Nikt nie będzie nam rozkazywał, co robić - rzucił Goodnight. - Nie podoba mi się to.

- Mnie też - powiedział von Baldur i pobiegł do bramy.

Huknął blaster i pocisk zrobił dziurę w ziemi dwa metry od stóp Friedricha, który zatrzymał się na chwilę, pokazał puste ręce i ruszył dalej.

Kolejny pocisk wzbil fontannę żwiru, który obsypał nogi von Baldura. To starczyło, by wrócił na schody przed wejściem.

- Nie chcą rozmawiać - podsumował Goodnight.

- To czego oni...? - zastanowiła się King. - Już wiem. Nie chcą, żebyśmy polecieeli na pomoc.

- Najpewniej - powiedział von Baldur. - Sprawdzę tunel, chociaż nie wiem, co nam to da.

- Pobiegł z powrotem do budynku.

- Nie noszą żadnych mundurów - mruknął Goodnight. - Do wszystkich! - zawołał do ludzi Star Risk. - Nic nie robić i czekać na rozkazy!

- Skoro tak, to albo Cerberus, albo Maskowi - powiedziała King. - Chyba że L'Pellerin.

Von Baldur wrócił z rozpoznania.

- Słyszałem ślizgacze lądujące na ulicy na tyłach - powiedział. - Chyba jesteśmy otoczeni. Próbowałem dodzwonić się na policję, ale odłączyli prąd. Potrwa chwilę, nim włączą generator.

- Niech to szlag - zaklął Goodnight. - Jeśli przylecieli, żeby...

- Nic nie robią - przerwała mu King. - Pilnują tylko, żebyśmy nie wystartowali.

- To budujące, że na tym świecie działa prawo - powiedział spokojnie von Baldur i tylko mocno napięte mięśnie twarzy świadczyły, jaki jest wściekły. - Nie możemy nawet nikogo zawiadomić, że nas zablokowano.

- Mamy tu siedzieć i czekać, aż rozprawią się z Riss i Grokiem - warknął Goodnight. - Niech to podwójny szlag.

*

- Namierzają - powiedziała Riss, wskazując na ledwo widoczne smugi kondensacyjne wysoko w górze. - Statki kosmiczne. Mogłabym pozygzakować, żeby się przekonać, czy nas śledzą, ale to raczej pewne.

- Dobrze, że odsadziliśmy się chociaż od tamtych ślizgaczy - powiedział Grok.

- Może tak, a może sami nam pozwolili i chcą, byśmy uznali, że mamy przewagę. A tak chciałabym wrócić do siebie i zrobić sobie drinka. Grok, sprawdź jeszcze raz wszystkie kanały.

*

- Mówi centrum - powiedział von Baldur, wyraźnie wymawiając słowa. - Przechodzę na szyfrowany R-cztery-trzy. Powtarzam. Przechodzę na szyfrowany R-cztery-trzy.

Łącznościowiec pokiwał głową, dając znać, że sygnał jest już kodowany.

- M'chel - zaczął Friedrich. - Jesteśmy otoczeni przez złych chłopców. Nie próbuj u nas lądować. Powtarzam, nie próbuj u nas lądować, póki nie otrzymasz jasnego komunikatu, że już można, i potwierdzenia, że teren jest czysty. Powtarzam...

*

W ślizgaczu panowało milczenie. Słyszeć było tylko wizg turbin i szum powietrza oraz powtarzany komunikat von Baldura przebijający się przez zakłócenia.

Riss zapisała numery na odwrocie instrukcji obsługi maszyny i z pamięci odkodowała komunikat.

- Nie ma się z czego cieszyć - podsumował sprawę Grok. - Jedno dobre, że chcą nas żywych.

- Nie - odezwał się Bracken. - Im zależy na Sufyerdach. Nie przypuszczam, żeby przejmowali się nami.

- Myślałam, że wasza religia chroni was przed podobnymi zmartwieniami - mruknęła Riss.

Abihu zaczęła płakać i brat zaraz poszedł w jej ślady.

- Pięknie - warknęła Riss.

- To gdzie lecimy? - spytał Grok.

- Gdybyśmy byli sami, poszukałabym jakiegoś miasta i tam wylądowała. Ale w takiej grupie... To chyba nie byłby dobry pomysł.

- Uprzejma jesteś - rzekł obcy. - Myślę, że ja tak czy owak rzuciłbym się w oczy.

- Coś mi przyszło do głowy - powiedziała Riss, przygryzając wargę. - Możemy spróbować dotrzeć do Fra Diavolo. Ma dość miejsca, żeby nas ukryć. I sporo ludzi.

- To daleko?

- Z godzina lotu. Może dwie. Oho.

Znowu mieli ślizgacze na ogonie. Zbliżały się szybko.

- Ta opcja chyba odpada - uznał Grok. - Przed nami są jeszcze trzy.

M'chel spojrzała w dół.

- I oczywiście żadnego miasta, w którym można by się zgubić - stwierdziła. - Nic, tylko przekłeta dżungla.

- Nie boimy się dżungli - powiedziała Abihu. - Jesteśmy pionierami.

- W naszym Kościele należą do młodzieżowej grupy wędrownej - wyjaśnił Bracken.

Riss spojrzała na dzieci, potem na Cahamlę, która uśmiechnęła się nieśmiało. M'chel poruszyła ustami, ale na szczęście to, co miała na myśli, zachowała dla siebie.

- Dobra - warknęła po chwili. - Dość już sobie po nas pojeździli!

Nałożyła uprząż bojową i odruchowo sprawdziła, czy wszystko jest na miejscu. Blaster, magazynki, nóż, sześć granatów, z czego dwa gazowe, dwa hukowe i dwa zwykłe. Wszystko, co zabierała ze sobą niemal zawsze i wszędzie, włączając w to niekiedy randki i wizyty w łazience.

Zwiększyła moc do awaryjnej i wprowadziła ślizgacz w strome nurkowanie.

- Rollercoaster! - krzyknął zachwycony Hasli.

- Gdy wylądujemy, wszyscy wysiadamy - poleciła Riss. - Potem macie iść za mną. Musimy czym prędzej oddalić się od maszyny. Potem się ukryjemy.

- Zabawa w chowanego? - spytała niepewnie Abihu.

- Tak, to będzie zabawa w chowanego - powiedziała M'chel, gdy ślizgacz przebiegał się przez korony drzew. Wyrównała kilka metrów nad ziemią, przeleciała w cień ogromnego drzewa i tam wylądowała, szczęśliwie nie rozbijając maszyny. - Szkoda, że nie mamy żadnych min pułapek - dodała, otwierając wszystkie drzwi, i wyskoczyła z maszyny.

Pozostali zrobili to samo i zaraz zaczęli oddalać się zygzakami od miejsca lądowania. Riss gotowa była gnać niczym gwiazda biegów przełajowych, ale przypomniała sobie o dzieciach i zwolniła do truchtu. Przez gęste zarośla dobiegły ich odgłosy lądowania pościgu.

*

M'chel spojrzała spod krzaka na sunącą w ich stronę tyralierę. Tworzący ją mężczyźni i kobiety nie mieli na sobie mundurów armii dampierskiej, tylko jakieś anonimowe szare kombinezony. Poruszali się jednak jak żołnierze, wykonywali rozkazy i mieli standardowe armijne blastery.

Nie mam pojęcia, co to za banda, pomyślała i wróciła do pozostałych.

- Oto pierwsze, czego spróbujemy - powiedziała. - Wpełzniemy w największy gąszcz i wszyscy będziemy całkiem cicho, nawet gdyby się okazało, że te krzaki mają ostre kolce. Mam nadzieję, że oni nie są zbyt spostrzegawczy i po prostu nas przeoczą. Potem pobiegniemy tam, skąd przyszliśmy, i dalej do miasta, które minęliśmy niedługo przed lądowaniem. Może być?

Wszyscy z powagą pokiwali głowami i ruszyli ku najgęstszemu zaroślowi.

Tyraliera była coraz bliżej. M'chel wtuliła twarz w ziemię i spróbowała wmówić sobie, że jest zielonym krzakiem.

Prawie się udało.

Tuż obok usłyszała szelest, a potem kroki zaczęły się oddalać. Policzyła do ośmiu i uniosła głowę. Szarzy byli z dziesięć metrów dalej i ledwie było ich widać przez gąszcz.

Potem nagle Hasli wstał i nadepnął na gałązkę, która głośno trzasnęła. Mężczyzna obrócił się i uniół blaster. Bracken zerwał się, żeby ściągnąć chłopca na ziemię, i w tej samej chwili padł strzał. Kapłan dostał w brzuch i runął jak szmaciana lalka.

M'chel zmieniła klatkę piersiową zabójcy w krwawą ranę, zastrzeliła jeszcze dwóch po jego bokach i poderwała podopiecznych do biegu, nie czekając, aż prześladowcy zorientują się, że omal nie przegapili zdobyczy.

*

Było już prawie ciemno i M'chel wprowadziła wszystkich do niewielkiej pieczary, która

nie nadawała się na kryjówkę, ale można w niej było chwilę odsapnąć. Ze wszystkich sił starała się wymyślić co dalej.

- Czy Elder Bracken nie żyje? - szepnęła Abihu.

- Tak - odpowiedziała równie cicho Riss. Widziała, że Cahamla porusza ustami w modlitwie.

- Zostanie nagrodzony za uratowanie Hasliego, prawda?

- Tak.

- Ja nie chciałem... - zaczął chłopiec.

- Cicho - szepnęła M'chel. - To był wypadek.

- Postanowiłam, że gdy dorosnę, też zostanę kapłanem i będę taka jak Bracken.

- Mogłaś wybrać gorzej - mruknęła Riss, czując narastającą złość. - Znacznie gorzej. - Skinęła na Groka. - Mam dość roli ściganej ofiary.

- Ja też - stwierdził obcy. - Zwłaszcza od kiedy wiemy, że teoria, jakoby chcieli nas wziąć żywcem, okazała się fałszywa.

- Chyba że to była kompanijna oferta - powiedziała Riss. - Zawsze się taki znajdzie.

- Gotowa jesteś się założyć?

- W żadnym razie. Oto co zrobimy. Ukryjemy się porządnie i poczekamy, aż zapadnie noc. Potem zobaczymy. Może sobie pójdą.

- A jeśli nie? - spytał sceptycznie Grok.

- Wtedy okolica zyska atrakcję turystyczną: poniewierające się wszędzie trupy w szarych wdziankach - stwierdziła Riss, bezwiednie odsłaniając zęby.

*

Nie było słycać żadnych rozkazów, ale mała armia otaczająca siedzibę Star Risk zwinęła się nagle i odleciała.

- Co to może oznaczać? - zastanawiał się Goodnight.

King i von Baldur tylko pokręcili głowami.

Żadne z nich nie powiedziało głośno, czego obawiają się najbardziej.

*

Wszędzie dokoła widać było światła ognisk, na zaimprovizowanych lądowiskach pojawił się ciężki sprzęt, wystawiono warty. Trzy statki kosmiczne wciąż wisiały nad nimi.

Riss przekazała stosowne do sytuacji instrukcje i zostawiwszy grupę, zniknęła w mroku nocy. Przeszła przez posterunki niczym gorący nóż przez masło. Niezle jak na staruszkę,

pomyślała. Wygląda na to, że treningu piechoty morskiej tak jak jazdy na rowerze nigdy się nie zapomina.

Gdy była już za linią wart, skierowała się na lądowisko. Maszyny były standardowe, nijak nie podrasowane. Zwykle opancerzenie, wielolufowe działka po bokach, ciężki blaster zamontowany na stałe w dziobie.

Samotny wartownik tylko słabo zagulgotał, poczuwszy zimną stal noża zmierzającego w stronę serca. Nie męczył się długo.

Riss upchnęła ciało pod najbliższą maszyną, potem otworzyła właz i wsiadła do środka. Przy jednym z działek siedział znudzony załogant. Co rusz ziewał i chyba był głodny, bo spoglądał tęsknie na kolegów tłoczących się przy kuchniach polowych.

Riss odciągnęła mu głowę i przejechała ostrzem po szyi. Cisnęła trupa na pokład i siadła na jego miejscu.

Nie знаła tej maszyny, ale działko to działko. Te zostały nastawione na czuwanie. Włączyła pełną moc i sprawdziła, że zasobniki amunicji dla wszystkich sześciu luf są na miejscu.

Czekała.

*

Wbrew temu, co mógł myśleć pełniący wartę świętej pamięci operator działka, członkowie jego oddziału byli w nie najlepszych humorach i spoglądając w ciemność, odruchowo coraz bardziej przysuwali się do ognia.

- Popieprzona sprawa - powiedziała jakaś kobieta. - Swoją drogą co to za świry, dla których tym razem pracujemy?

- Zamknij się - rozkazał jej dowódca.

- Jasne, już się zamykam - rzuciła zjadliwie kobieta. - Masz staż dłuższy tylko o dwa dni od mojego i nie rozumiem, dlaczego ty dostałeś belkę, a ja nie. Dla mnie to głupota. Kazali nam włożyć te szmaty i nie pozwolili nawet przypiąć plaketek z nazwiskami, a potem wysłali w pogoń za jakąś kobietą i dziećmiakami.

- Zamknij się, idiotko - odezwała się inna kobieta. - Nigdy nie słyszałaś o Maskowych?

- Słyszałam. To jacyś terroryści.

- Lepiej ich tak nie nazywaj - syknął dowódca.

- Nie czepiaj się mnie - powiedziała pierwsza kobieta. - Pieprzonych cywilów mogę nazywać jak chcę. I bardzo jestem ciekawa, kto dał im prawo, żeby przerywać nam szkolenie i wysyłać na to zadupie.

- Kazałam ci się zamknąć, bo ci ludzie to urodzeni mordercy - odezwała się ponownie druga kobieta. - Gotowi poderznąć gardło tylko dla zabawy. Znam ich. Jestem z Tuletii, nie z jakiejś prowincjonalnej dziury, jak ty. Widziałam ich przy robocie i nie chcę oglądać więcej. - Zadrzała. - Załatwili dwie rodziny w moim bloku, bo zaczęły się bawić w politykę, i chciały założyć związek tam, gdzie pracowały. Poza tym mają swoje wpływy. Wystarczające, żeby wysłać nas wszystkich na gonitwę po lesie. Gdyby cię usłyszeli, zostałabyś tutaj pod jakimś krzakiem i nikt nigdy nie próbowałby nawet szukać twojego trupa. Tak więc zamknij się, zwłaszcza że kolacja dochodzi.

Owiał ich nagły podmuch wiatru. Dowódca drużyny zadrzał i spojrział w ciemność. Oczywiście niczego nie zobaczył, ale coś na pewno tam było. Musiało być.

I rzeczywiście.

Nad żołnierzami wyrosła nagle jakaś postać czarniejsza od nocy. Jeden zdążył krzyknąć, inny zerwał się do ucieczki. Dowódca sięgnął po broń.

Grok strzelił mu w głowę, załatwił żołnierza tuż obok i przełączywszy broń na ogień ciągły, ostrzelał resztę pododdziału.

Potem ryknął potężnie, tak jak powinien ryczeć każdy szanujący się potwór z bagien, i pożałował, że jednak nie gustuje w ludzkim mięsie.

Wkoło rozległy się krzyki i nawoływania. Żołnierze uciekali ile sił w nogach, alarmując resztę pododdziałów. Grok cisnął za nimi kilka granatów. Daleko i wysoko, tak że rozerwały się przed biegnącymi.

W innych obozach usłyszano, że coś się dzieje, chociaż nikt nie wiedział co. W szeregach wkradły się strach i niepewność, nadnercza jak szalone produkowały adrenalinę.

M'chel Riss otworzyła ogień z działka pokładowego, posyłając w ciemność długie smugi ognia. Inni strzelcy wzięli z niej przykład, chociaż nikt nie miał pojęcia, do czego właściwie strzela.

To przebrało miarę. Na wpół wyszkoleni żołnierze wpadli w panikę, tratując swoich oficerów i Maskowych, którzy sprowadzili ich na to straszne pustkowie. Uciekali przed siebie, byle dalej od tego koszmaru, bo nikt nie potrafił powiedzieć, gdzie czai się zagrożenie, a gdzie może być bezpiecznie.

- Chodźcie! - zawołał Grok i Sufyerdowie zaraz do niego dołączyli.

Riss otworzyła właz bojowego ślizgacza.

- Zapraszam - powiedziała i cała grupa włądowała się do środka. Inne maszyny startowały już na oślep w noc.

- Wiesz, jak pilotować tego grata? - spytała Groka M'chel.

- Chyba tak.

- To dobrze. Nie skończyłam jeszcze ich zabijać.

- Zabijanie jest niedobre, M'chel - powiedziała Cahamla. - I nie przywróci nam Brackena.

- Z całym szacunkiem, siostrze Sufyerd - rzuciła Riss. - Ty oplakujesz go po swojemu, a ja po swojemu.

Wsunęła się z powrotem za działko i posłała długą serię w stronę tłumu oszalałych ze strachu żołnierzy próbujących wepchnąć się do ciężkiego transportera piechoty.

*

- Oczywiście, że zaopiekujemy się rodziną Sufyerda - powiedział Fra Diavolo. - Będzie im tu dobrze. Tutaj albo gdziekolwiek, gdzie ich ulokujemy. Na ile to możliwe, oczywiście, biorąc pod uwagę sytuację Maena Sufyerda. Może nawet opowiedzą mi o swej wierze. Zawsze byłem ciekawy ich praktyk i oto nadarza się sposobność.

- Dobrze - odparła Riss. - Poza tym Grok i ja też chcielibyśmy ukryć się u was. Gdyby zrobiło się gorąco, a to całkiem możliwe, będę musiała wezwać pewien statek czuwający na orbicie w roli naszego środka ucieczki.

- Szkoda byłoby stracić ciebie i twojego przyjaciela - stwierdził Diavolo. - Zwłaszcza teraz, gdy sprawa chyba zaczyna się rozkręcać.

- Jak najbardziej - zgodził się Grok. - Miło, że mamy ostatnio tyle okazji do wymiany poglądów z czarnymi charakterami. Bardzo to sobie cenię.

*

Żadnej nagonki ani nawet dyskretnych poszukiwań jednak nie było. M'chel nigdy nie dowiedziała się, jak wojskowa administracja zaksięgowala te wszystkie ofiary. Nie pojawiła się też żadna wzmianka o strzelaninie w dżungli. Nikt też nie próbował aresztować Riss czy Groka.

Pożegnali się z Sufyerdami, przy czym M'chel przypomniała Abihu o jej przyrzeczeniu, że będzie kiedyś taka jak Bracken.

- Urocze dzieciaki - powiedział Grok, gdy lecieli z powrotem do stolicy.

- Nie zaprzeczę - odparła M'chel, dziękując w duchu losowi, że nie jest zamężna. - Jednak moja odporność na dzieci... czyjekolwiek dzieci... wyczerpuje się po godzinie w ich towarzystwie.

- Ciekawe. Nigdy nawet nie zabiegałem o dzieci i nie mam pojęcia, jak to by było je mieć.

Gdy wrócili do posiadłości, cała ekipa zgotowała im żywiołowe przyjęcie.

- Skoro żyjecie i jesteście bezpieczni, możemy przejść do następnej fazy operacji - powiedział von Baldur. - Na początek Chas wybierze się na bal maskowy.

39

Chas zatrzymał się na szczycie schodów i zerknął na swoje odbicie w oknie. Było co podziwiać. Miał na sobie śnieżnobiałą koszulę, czarny smoking z szerokim pasem i dopasowaną do niego muchą.

Torba z narzędziami włamywacza w ogóle nie rzuciła się w oczy, podobnie jak i niewielka bomba schowana z tyłu w spodniach oraz mała kabura pod pasem.

Do kompletu miał też wspinały plan.

Za wszelką cenę chciał zobaczyć słynną korespondencję należącego do Partii Uniwersalistów premiera Ladiera i Hyli Adrianopole, jego kochanki, której proces rozpoczął się dzień wcześniej. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa w ich listach miały się pojawiać jakieś informacje o Sufyerdzie.

Tyle że nikt nie wiedział dokładnie, gdzie one są.

„Tulecki Pacyfista” wciąż obiecywał, że je opublikuje, zatem o ile nie była to kompletna błąka, musiały istnieć, przechowywane przez osobę zaangażowaną w sprawę. A raczej kilka osób, poprawił się Goodnight, skoro King usłyszała o sporządzeniu kopii.

Kto mógł być aż tak uczynny?

Goodnight uważał, że właściciel gazety musi mieć swoje kopie. Gość nazywał się Bernt Shiprite i znany był z arogancji. Należał do rodziny bogatej ledwie od trzech pokoleń, ale był święcie przekonany, że establishment Dampieru naprawdę go uwielbia.

Nawet mało oblatany w relacjach społecznych Goodnight wiedział, że arystokracja finansowa dowolnego świata miała przedstawicieli mediów za równie atrakcyjnych towarzysko jak czające się na krzakach kleszcze i tolerowała ich tak długo, jak długo dawali się prowadzić za rączkę.

Tak było z Shiprite'em, wówczas gwiazdą uniwersalistów, póki nie puścił na łamach wyjątkowo barwnej historii o aferze związanej z finansowaniem paru polityków. Tak wielki grzech spotkał się oczywiście z powszechnym potępieniem elit, którym Shiprite poprzysiągł zemstę. Co dziwne, nie związał się w tym celu ani z niezależnymi Reynarda, ani z

kontestującym Fra Diavolo.

Znalazłszy się w politycznej próżni, rozdawał ciosy na wszystkie strony. Zapewne miał nadzieję, że uniwersaliści sami go kiedyś ponownie przytulą do piersi, chociaż występowanie przeciwko urzędującemu premierowi nie było najlepszym sposobem na odkupienie.

Należało do niego około tuzina tytułów wychodzących w całym układzie, z czego większość utrzymywała się z reklam. Powszechnie ignorowane, były jednak bardzo dochodowe, zarówno bulwarówki, jak i te poważniejsze, w rodzaju „Analityka”, który chociaż reakcyjny, trzymał poziom. „Pacyfista” jeszcze dwa lata wcześniej nosił tytuł „Tulecki Konserwatysta”, gdy jednak na właściciela spadła anatema uniwersalistów, wymienił cały skład redakcji i oddał gazetę pod opiekę młodych radykałów, z Metem Fallem jako naczelnym.

Wchodząc do rozległej rezydencji Shiprite'a, Goodnight zastanawiał się, gdzie też powinien szukać owych listów. Przekopawszy informacje na temat magnata prasowego, odkrył, że do jego głównych pasji należy restaurowanie starych ślizgaczy wyścigowych, kolekcjonowanie młodych i atrakcyjnych żon, przybieranie na wadze i wyprawianie wystawnych przyjęć.

Chas porozmawiał z Reynardem i poprosił o zaproszenie na następną imprezę Shiprite'a. Nie pod własnym nazwiskiem ani pod nazwiskiem, które można by skojarzyć z niezależnymi.

- Zamierzasz go sponiewierać - powiedział Reynard. - Jeśli o mnie chodzi, nie mam nic przeciwko temu. Ten człowiek jest niebezpieczny jak... jak Torguth. Załatwię wszystko, ale nie chcę nic wiedzieć.

I tak, z zaproszeniem w dłoni, Chas Goodnight vel Charanga Guessendo udał się najpierw do krawca, potem wynajął limuzynę i w końcu pojechał do Shiprite'a.

Bogato było już na parkingu, pełnym ochroniarzy, uzbrojonych kierowców i luksusowych ślizgaczy. Na skraju oświetlonego terenu widać było patrol z automatami tropiącymi.

Zaraz za drzwiami natknął się na kobietę w srebrzystej sukni z głębokim dekoltem i w pierzastym przybraniu głowy, na które musiano chyba oskubać całe stado ptactwa.

- Nowa twarz! - powiedziała rozanielona kobieta. - Pan jest...?

- Charanga Guessendo - oparł Goodnight. Lubił wybierać fałszywe nazwiska, których nie potrafił poprawnie wymówić. Wyznawał teorię, że takie osoby z założenia nie mogą uchodzić za podejrzanę.

- Tak - odparła lekko speszona kobieta. - Miło pana poznać, panie... hm... tak. Jestem Dorothy Shiprite. Proszę mi mówić Buffy.

- Miło mi panią poznać, Buffy.

Dziewczyna gruntownie zlustrowała Goodnighta, który poczuł się nagle nagi i poprzysiągł sobie, że nigdy więcej nie spojrzy tak na żadną kobietę.

- Tak - powtórzyła z namysłem Dorothy. - Bardzo się cieszę. Mam nadzieję, że się zaprzyjaźnimy. Wszyscy troje - dodała szybko - włącznie z moim mężem.

Jeden z ludzi Reynarda ostrzegł wcześniej Chasa, że Buffy lubi zapędzać przystojnych mężczyzn w sytuacje bez wyjścia, i Goodnight wiedział, że musi coś zrobić.

- Istotnie - odparł i rozejrzał się po sali. Dostrzegł niemal na pewno nieletnią dziewczynę o wyglądzie wampa. - O, jest ktoś, kogo szukałem.

Odszedł na bok i złapał młodocianą za rękę.

- Tutaj jesteś!

- Och... tak... jestem - odparła dziewczyna monotonnym głosem.

- Mieliśmy zatańczyć.

- Ach... tak... pewnie mieliśmy.

Goodnight poprowadził ją na parkiet.

Po drodze dziewczyna wzięła z tacy dwa kieliszki musującego wina i podała jeden Goodnightowi. Udał, że smakuje, po czym odstawił szkło na stół i wziął partnerkę w ramiona. Nigdy nie pił w pracy.

W tym sezonie panowała moda na rozproszone zespoły. Muzycy krążyli sobie z bezprzewodowymi mikrofonami po całej sali, grając mniej więcej to samo, ich produkcje zaś były miksowane i puszczane przez głośniki. Nie byli to muzycy najwyższej próby, na dodatek bardziej przejmowali się tym, żeby nie wpadać na gości, niż swoją grą.

Niemniej nawet taki taniec był bezpieczniejszy niż flirtowanie z Buffy.

*

Po jakimś czasie, przekonawszy się, że bufet jest pierwszorzędny, a żony i córki bogaczy nudne niczym trzechsetny odcinek serialu, Goodnight „przypadkiem” napotkał gospodarza.

Shiprite dobijał do sześćdziesiątki i był wysoki, atletycznej budowy. Miał długie włosy, jednak przeszczepiona czupryna za nic nie pasowała do jego wieku.

Goodnight przedstawił się i powiedział, że jest nowy w Montrois. Oraz że pisuje powieści fantastycznonaukowe, szczególnie o podróżach w czasie.

Usłyszawszy o tym, Shiprite zaproponował mu, żeby napisał dla „Pacyfisty” kawałek o Tuletii widzianej oczami obcokrajowca, chociaż wcale nie potrzebował takiego tekstu. Potem przyjrzał się Chasowi bardzo podobnie jak Buffy.

- Widzę po sylwetce, że pan też ćwiczy - powiedział.

- Czasem, gdy mnie nachodzi - odparł Goodnight. - Jestem zbyt leniwy, żeby zajmować się tym regularnie.

- W sumie ja też - przyznał Shiprite. - Szczęściem motywuje mnie młoda żona - dodał i znowu zmierzył gościa spojrzeniem. Goodnight zastanowił się, czy pan Bernt wie cokolwiek o zainteresowaniach małżonki. - Gdyby zajrzał pan tu kiedyś za dnia, pokazałbym panu moją salę gimnastyczną.

No tak, wszystko jasne, pomyślał Goodnight i mruknął coś nieartykułowanego.

- Szczerze mówiąc, panie Shiprite, bardziej interesuje mnie, kiedy zamierza pan opublikować listy nieszczęsnej panny Adrianopole i premiera Ladera.

- Nieszczęsnej? - obruszył się gospodarz. - Zamordowała najlepszego dampierskiego dziennikarza!

- Przepraszam za przejęzyczenie.

- Ja... a raczej „Pacyfista” poda pierwsze fragmenty tych listów podczas procesu. Nie ustaliłem jeszcze kiedy.

- Aha - mruknął Goodnight. - Tylko fragmenty?

- Oczywiście. Nie zamierzamy zanudzać czytelników.

- Mnie najbardziej interesuje w nich sprawa Sufyerda - powiedział Goodnight. - Rozumiem, że jest tam coś związanego z jego zbrodnią.

- Być może - odparł Shiprite. - Muszę przyznać, że nie czytałem całości. Jeśli jednak jest nawet gdzieś mowa o zdrajcy, nie miałyby sensu tego ruszać, skoro wyrok już zapadł.

Goodnight uśmiechnął się uprzejmie. Szczęśliwie zaraz obok zjawił się jeszcze ktoś i zagadnął gospodarza o stare ślizgacze.

Shiprite z miejsca podjął temat i Goodnight oddalił się nie nagabywany.

Pół godziny później, zaraz po północy, zbłądził na piętro, do korytarza, który prowadził podobno do prywatnej części rezydencji. Sprawdził kilkoro drzwi, znalazł otwartą pakamerę i wyciągnął bombę. Nastawiwszy zapalnik na piętnaście minut, zostawił bombę w komórce i wrócił na dół.

Pozwolił sobie na pierwszego drinka tego wieczoru i czekał.

Głuchy huk dobiegający z piętra oznajmił, że bomba zaczęła działać. Podniosły się krzyki, ktoś zawołał, że dom się pali.

Goodnight uważnie obserwował gospodarza, który rozejrzał się wystraszony i pognął po schodach. Chas nie został w tyle i zobaczył, jak Shiprite wbiega do pokoju na samym końcu korytarza, do swojego gabinetu. Zachował się zgodnie z przewidywaniami.

Chwilę potem bomba zaczęła wykonywać zadanie numer dwa, wytwarzając olbrzymie

ilości dymu, który rozszedł się błyskawicznie po całym budynku, i zaległ gęstymi kłębami, które z jakiegoś powodu nie chciały się rozproszyć. Chas pomyślał, że producent tego gadżetu nie kłamał. Jeśli jeszcze bomba nie zostawi po samej sobie żadnego śladu, strawiwszy nie tylko mieszankę dymną, ale i opakowanie, wszystko powinno być w porządku. Chociaż z drugiej strony w tym domu było tyle pomieszczeń, że mogły minąć lata, nim ktoś pofatyguje się do komórki, w której zostawił bombę Chas.

Goodnight podbiegł czym prędzej do drzwi i mimo dymu dostrzegł Shiprite'a, który odsuwał groteskowe malowidło przedstawiające ścigacz w pełnym pędzie. Za nim krył się sejf.

Chas dowiedział się już wszystkiego.

W sumie wyszło bardzo dobrze. Goodnight wiedział, że zaskoczeni przez pożar ludzie albo wpadają w panikę i złapawszy akwarium ze złotą rybką, wybiegają z domu niepomi, że mają na przykład dzieci, albo odruchowo ratują to, co dla nich najcenniejsze.

Wychodziło na to, że listy premiera i jego kochanki mają jakąś wartość. I że w ogóle są. Chas wrócił na dół i dołączył do uczestników przyjęcia, którzy doszli już do siebie po strasliwym pożarze i cieszyli się coraz głośniejsze, że cudem uszli z życiem.

*

Impreza zaczęła przygasać około trzeciej. Goodnight znalazł sobie na parterze mały składzik z ręcznikami, które posłużyły mu za wygodne siedzisko. Potem zatkał szparę pod drzwiami i czekał.

Było prawie tak samo jak w dawnych czasach, gdy walczył z całym wszechświatem. No, może tylko z jego legalną częścią, pomyślał i uśmiechnął się do wspomnień.

Godzinę później zrobiło się już prawie całkiem cicho i służba zaczęła gasić światła.

Goodnight nałożył ultracienkie rękawiczki i wyszedł do sali balowej, przeciął ją i wspiał się na schody. Tu i ówdzie widać było chrapiących w najlepsze strudzonych imprezowiczów. Uśmiechnął się. Miał już gotowe alibi.

Podszedł do drzwi gabinetu Shiprite'a. Były zamknięte, ale Chasowi wystarczyły dwie minuty, żeby to zmienić.

Zamknął drzwi za sobą i zapalił lampkę zamocowaną obok obrazu ślizgacza. Zdjął malowidło, przyjrzał się sejfowi i parsknął. Nie było nic łatwiejszego do otwarcia niż dwudziestoletni model dwunasty firmy Willig.

Jednym z powodów, które sprawiły, że Goodnight zaczął się trudnić rabunkiem, była ludzka lekkomyślność. Wielu zabezpieczało swoje rezydencje, montowało systemy

alarmowe, zatrudniało strażników z psami i kupowało roboty obronne, jednak najcenniejsze rzeczy przechowywało byle jak.

Goodnight nałożył słuchawkę, przyczepił czujnik do sejfu i zabrał się do roboty. Nie usłyszał zwykłego przeskakiwania zapadek, tylko popiskiwanie modułu, który podał niebawem pierwszą cyfrę. Powtórzywszy to samo, Chas uzyskał cały numer. Wiedział, że stare modele Williga nie pozwalają na nic więcej.

Wstukał wszystkie cyfry, ale sejf się nie otworzył.

Spróbował raz jeszcze, potem trzeci i czwarty, za każdym razem zmieniając kolejność cyfr.

Za piątym wyłowił ledwie słyszalne kliknięcie. Znaczyło to, że na dokończenie roboty zostało mu około piętnastu sekund. Mnóstwo czasu.

Zajrzał do sejfu.

Był pełen papierów. Chas przejrzał je szybko, ale nie trafił na to, czego szukał. Było też pudełeczko z nader ciekawymi, nie osadzonymi klejnotami, zapewne diamentami. Te schował do kieszeni. Zamierzał opchnąć łup miejscowemu „królowi złodziei”, żeby nie dzielić się zyskiem z resztą ekipy Star Risk.

Poza tym brak kosztowności mógł uzasadnić, po co ktokolwiek się tu włamywał i po co niszczył drzwiczki do wewnętrznej skrytki, która - jak się okazało - zawierała poszukiwane listy. Powędrowały one do kieszeni ukrytej w tylnej części marynarki Chasa.

W sejfie znalazł jeszcze paszport Shiprite'a, notatnik z numerami do różnych osób i zdobiony grawerunkiem pistolet niewielkiego kalibru. Paszport pozostał, notatnik Chas wziął dla Groka, a pistolet dla siebie.

Potem zamknął sejf i wyszedł, zacierając po drodze wszystkie ślady swojej wizyty. Zatrzymał się dopiero na podeście schodów. Musiał zadbać o szczegóły swojego alibi, chociaż niestety nie miało to być miłe zajęcie. Wsunął palec do gardła i zwymiotował bez hałasu. Cuchnęło potwornie.

Zataczając się, podszedł do wyjścia, gdzie stali dwaj strażnicy.

- Do domu... - wymamrotał. - Do domu... do siebie... Źle się czuję... - Udał, że znowu zbiera mu się na wymioty.

- Przyjechał pan swoim wozem? - spytał jeden ze strażników, opanowując obrzydzenie.

- Taa... z szoferem. Kazałem mu czekać. Zwolnię drania, jeśli sobie pojechał...

Strażnicy pomogli mu odszukać limuzynę. Szofer siedział niedaleko wraz z dziesięcioma innymi, czekającymi cierpliwie, aż ich pracodawcy się obudzą.

Goodnight udawał pijanego aż do chwili, gdy kierowca wysadził go na ulicy odległej o

trzy przecznice od siedziby Star Risk.

Ulice były jeszcze puste i nie było na nich widać nikogo poza dwoma zamiataczami. Goodnight poczekał, aż przejadą, i pobiegł do domu.

Cuchnął, ale było mu lekko na duszy. Wykonał zadanie, nie został przyłapany i obeszło się bez ofiar, a poszukiwane listy miał w kieszeni.

Uwielbiał takie samodzielne czyste zadania. Przez chwilę czuł się tak dobrze, że gotów był podzielić się z zespołem zyskami ze sprzedaży kamieni.

Chociaż nie, upomniał się w duchu. Do tego trzeba by czegoś więcej.

40

- Trafiłam na jedną wzmiankę o Sufyerdzie - oznajmiła King, która przeglądała wykradzione listy, i podniosła oczy znad kompa.

Pozostali tkwili przy własnych ekranach w centrum operacyjnym.

- Tylko jedną? - spytał Goodnight.

- Tak. Przeszukiwałam wielokrotnie, stosując różne klucze, imiona, nazwiska i tak dalej.

- A co to za wzmianka? - spytał von Baldur.

- Cytuję: „Wspominając na marginesie, kochana, byłem bardzo ciekaw, czy ten zdrajca Sufyerd naprawdę jest winny, ponieważ spotkałem wiele osób kwestionujących wyrok sądu wojskowego. L'Pellerin zapewnił mnie jednak, że bez wątplenia chodzi o Sufyerda, i zdjął mi w ten sposób jeden kłopot z głowy, co jest dla mnie bardzo ważne, zwłaszcza że właśnie zaczyna się rozkręcać ta wielka afera kopalniana". Koniec cytatu. Nic więcej nie ma.

- Cholera! - warknął Goodnight. - I dla tego jednego zdania ryzykowałem życie... a przynajmniej reputację... i zniszczyłem nowy, porządny smoking?

- Na to wygląda - przyznała King.

- A są chociaż jakieś momenty? - spytał Chas. - Skoro panna aż zastrzeliła kogoś, by ocalić swoją reputację, powinno być ostro.

- Coś mam - oznajmiła Jasmine. - Przerzucam ci na ekran.

Goodnight przeczytał.

- To ma być ostre? - zapytał rozczarowany. - Lepsze rzeczy robiłem, gdy miałem piętnaście lat!

- Z wężem też? - spytała Riss.

- Z węzem? - ożywił się Chas. - Jakim węzem? Tu nie ma nic o węzach. - Dopiero po chwili zorientował się, że Riss sobie z niego żartuje. - Do diabła, czy musisz...? - zaczął.

- Znalazłam jednak coś znacznie ciekawszego - przerwała mu Jasmine. - Zwłaszcza że zaczynałam się już zastanawiać, czy z tymi listami to jakaś gra czy też może panna Adrianopole słaśnie na umyśle.

- Dlaczego uważasz, że może być upośledzona? - spytał Grok.

- Upośledzona może nie, ale nie jest nazbyt bystra - odparła King. - To nie był mądry pomysł, żeby zastrzelić naczelnego, szczególnie że nie miała tych listów w ręku i nie mogła mieć pewności, czy Fall ich nie skopiował.

- Zbaczasz z tematu - powiedział cierpliwie von Baldur. - Co takiego znalazłaś?

- Coś, co wprawdzie nie pomoże nam wykonać zlecenia, ale daje do myślenia i pasuje do wielu innych sygnałów. Cytuję: „dwie godziny spędzone z ambasadorem T. upewniły mnie w przekonaniu, że T. nie zamierza najeżdżać Światów B., a całe to wymachiwanie szabelką służy jedynie uzyskaniu funduszy na modernizację floty”. Dalej robi się jeszcze dziwniej: „Po prywatnych rozmowach dochodzę do wniosku, że można zażegnać grożący nam konflikt z T. Ambasador zaproponował zorganizowanie rozmów dwustronnych opartych na założeniu, że problem B. można rozwiązać, dokonując podziału wpływów”.

Zapadła głucha cisza.

- Sukinsyn - mruknął Goodnight. - Jednak nie zmarnowałem czasu.

- T czyli Torguth - powiedziała Riss.

- Nie rozumiem - odezwał się Grok.

- To proste - stwierdził von Baldur. - Ladier i jego partia opowiadali się za pokojem, zapewniając, że Światy Belfort pozostaną własnością Dampieru i że Torguth nie ma wcale zamiaru wszczynać o nie wojny. Z tych dwóch cytatów wynika, że nie jest to takie oczywiste. Wychodzi na to, że torgucka flota szykuje się do wojny, a ambasador na tyle zmiękczył Ladiera, że obecny rząd może zrezygnować ze sztywnego stanowiska i nawet odda Belfort przeciwnikowi. Gdy ktoś proponuje podział wpływów, oznacza to, że ma się czym dzielić. Czyli tak naprawdę panuje nad całością. Jeśli zaś ktoś się na to godzi, z góry szykuje swoją przegraną. Nam się to na wiele nie przyda, przypuszczam jednak, że zainteresuje Reynarda. To jedna z tych spraw, przez które rządy tracą poparcie i upadają. Teraz rozumiem, dlaczego Adrianopole tak paliła się do użycia broni i zaryzykowała wszystko, żeby tylko odzyskać te listy. Masz rację, Jasmine. Komuś brakuje w tej historii piątej klepki, nie jest to jednak nasza piękna morderczyni, ale premier Ladier, skoro ujawnił coś takiego osobie postronnej, i to na piśmie.

Właśnie - podjął po chwili refleksji von Baldur. - Sądzę, że Reynard przestanie tak narzekać na wydatki, gdy to zobaczy. Zaraz się z nim umówię. Zrobisz mi wyciąg z tych listów, Jasmine?

- Skoro ty zamierzasz teraz bawić się w politykę, to ja poszukam tego kuriera - powiedziała Riss. - Tego nieudacznika, o którym opowiedziała nam ostatnia miłość Chasa. Chyba pora na konkretne działania.

41

Na ślad Runa Kismayu Riss trafiła po trzech dniach. Ponieważ Biuro Informacyjnie Dampiera L'Pellerina nie chciało współpracować ze Star Risk, trwało to o dzień dłużej niż powinno, niemniej i tak było całkiem proste. Sprawdzając poszukiwanego rutynowymi sposobami, Riss natknęła się na założone przez wywiad zabezpieczenia, poprosiła więc jednego z podwładnych Reynarda o dostęp do kwestionariusza ubezpieczeniowego Kismayu - i to było to.

Przed rozmową chciała uzyskać jeszcze trochę informacji, skorzystała więc z usług lepkich palców Goodnighta.

Zadzwoiła pod urzędowy numer kuriera, żeby sprawdzić, czy na pewno nie ma go w mieszkaniu, jednak gadatliwy operator powiedział, że Kismayu od trzech dni nie pokazał się w robocie i zapewne jest chory.

Riss rozłączyła się i zadumała głęboko.

- Coś tu zaczyna mi śmierdzieć - mruknęła.

- Słucham? - spytał Goodnight.

- Na razie nie wiem. Okaze się. Chodźmy z wizytą. Jesteś uzbrojony?

- Szanowna pani, zwykle nawet z toalety nie korzystam bez gnata. Zwłaszcza tutaj.

Krótko po południu, gdy większość mieszkańców miasta myślała już o obfitym lunchu, zaparkowali dwie przecznice od domu Kismayu i bez trudu znaleźli właściwy lokal. Była to cicha, ledwie trzypasmowa uliczka w starszej dzielnicy miasta, z zadbanymi willami i małymi apartamentowcami wznoszącymi się po obu stronach.

- Zalatuje forsa - mruknęła ze zdumieniem Riss.

- Może nasz chłoptaş mieszka z rodzicami - powiedział Goodnight. - Ale jest jak jego szef i lubi szpanować.

- Może. Ale mam nadzieję, że któregoś dnia uda ci się ustalić, jakim cudem Caranis lata tak wysoko, chociaż wcale nie ma skrzydeł. Jesteśmy. Zastukam do drzwi.

Weszła na schody i znalazła dzwonek opatrzony napisem 3 - KISMAYU. Odczekała chwilę. Nie było odpowiedzi.

- Dobra - rzekł Goodnight. - Teraz ja spróbuję.

Sięgnął po wytrychy, ale rozmyślił się i wcisnął przypadkowy przycisk. Ktoś się odezwał.

- Cześć, to my. Wpuścisz nas? - powiedział Chas i zadziałało. Schował wytrychy, skłonił się Riss i wpuścił ją do środka.

Znaleźli się na niewielkiej klatce schodowej z brązową statuetką jakiegoś bohatera. Weszli na górę pod mieszkanie numer trzy.

Riss trzymała dłoń w kieszeni, zaciskając palce na broni. Goodnight miał bogato zdobiony pistolecik, którego M'chel wcześniej nie widziała.

Bez słowa stanęli po obu stronach drzwi. Riss zapukała. Ponownie bez odpowiedzi.

Drzwi były wyposażone w trzy nowoczesne zamki.

Goodnight zastanowił się chwilę, wyjął automatyczny wytrych i włączywszy urządzenie, wprowadził sondę do pierwszego zamka. Po chwili zasuwę przesunęła się z łagodnym szczyknięciem, a Chas zabrał się do drugiego zamka.

Riss wciągnęła powietrze, dotknęła nosa, potem drzwi. Chas skrzywił się i pokiwał głową. Też to wyczuł. Drugi zamek był uprzejmy się otworzyć i po chwili puścił także trzeci.

Weszli szybko, z bronią gotową do strzału.

Żadnej reakcji.

Riss trafnie się domyślała, co to za zapach. Wskazała na stopę w pantoflu wystającą z wejścia do jadalni.

Przeszukali mieszkanie, gotowi w każdej chwili użyć broni, ale było puste, jeśli nie liczyć ciała, które zaczynało już czernieć i puchnąć.

M'chel sporo miała już do czynienia z trupami i przestały jej przeszkadzać, jednak było jej niedobrze od smrodu, na który Goodnight wydawał się niewrażliwy.

Denat leżał twarzą do ziemi i miał na sobie staromodny, ale kosztowny szlafrok. Obok leżał kieliszek, na czystej do połysku podłodze widać było zaschnięte plamy po winie.

Goodnight odwrócił trupa nogą. Rysy twarzy były już poważnie zniekształcone, dało się jednak poznać, że należała kiedyś do młodego człowieka z niezbyt zdrową cerą i zadbaną fryzurą. Szlafrok jakoś do niego nie pasował.

- Kismayu - powiedział Goodnight, wskazując wiszące na ścianach hologramy przedstawiające nieboszczyka z jakąś tanią na pierwszy rzut oka i bardzo dostępną kobietą w

różnych stadiach rozebrania.

Na stole leżały resztki posiłku. Riss przeszła do kuchni, gdzie znalazła więcej psującej się żywności. Było jej za wiele jak na jedną osobę.

W jednej z szafek znalazła kieliszki. Uniosła pierwszy z brzegu przez serwetkę. Stawiał lekki opór, jakby był przyklejony. Pozostałe nie.

Pokiwała głową i sprawdziła talerze. Górny, tak jak kieliszek, nieco przywarł do podłoża.

Skrzywiła się i podała kieliszek Goodnightowi. Powąchał i wzruszył ramionami.

- Trucizna - wyszeptła M'chel. - Jestem pewna, że nikt nie wypiłby ani kropli tak śmierdzącego wina.

Na stole stała niemal pusta butelka.

Goodnight wskazał na kosztowny zestaw holo, domowe kino, meble obite prawdziwą skórą. Przeszli do sypialni, którą urządzone niczym jaskinię rozpusty. Na toaletce leżały pliki banknotów.

Goodnight spojrzał na obrazki, które przedstawiały tę samą co w jadalni prowokującą kobietę.

W końcu Riss wskazała drzwi do mieszkania. Opuścili je cicho, zamknęli za sobą wszystkie zamki, zeszli po schodach i czym prędzej ulotnili się z budynku. Na wszelki wypadek z bronią w ręku.

Riss odezwała się dopiero prawie przecznicę dalej.

- Tam był ktoś jeszcze. Nie jestem seksistą, ale to był mężczyzna.

- Nie zamierzam się spierać, ale po czym poznałaś?

- Ktokolwiek to był, przyniósł zapewne te gotowe produkty i zjedli razem. Gdy Runo wypił już dość wina, morderca dołał truciznę do butelki i zrobiło się o jednego kuriera mniej. Kuriera albo raczej świetnie zakamuflowanego szpiega, który zrobił to, za co teraz odpowiada Sufyerd.

Był zupełnie poza podejrzeniami, bo kto zwraca uwagę na kurierów.

- Chwilę - przerwał jej Chas. - Powtórzę pytanie: Dlaczego mężczyzna?

- Ten ktoś myślał, że jest sprytny, i gdy było już po wszystkim, umył swój kieliszek oraz talerz i odłożył je do szafki.

- Jeszcze raz: Dlaczego to musiał być mężczyzna?

- Może nie musiał, ale najpewniej był, bo kobieta wytarłaby naczynia do sucha, a dopiero potem schowała. A tak, gdy mokre znalazły się w szafkach, przylgnęły do tego, na czym je postawiono.

- Spozregawcza i mądra z ciebie kobieta - powiedział Goodnight z niekłamanym

podziwem.

- Musiałam zająć czymś myśli, żeby nie zwymiotować.

- Dobrze. Nigdzie w mieszkaniu nie było zdjęć rodzinnych, co sugeruje, że denat nie miał bliskich, którzy mogliby regularnie mu wysyłać przekazy. Miał jednak dość forsy, żeby udławić nią Groka. Gdyby pochodził z bogatej rodziny, nie gromadziłby stosów gotówki. Bardzo majątni ludzie trzymają forszę na kontach.

- Musiał zatem dostać ją od kogoś w miarę niedawno - stwierdziła Riss. - Zapewne od tej samej osoby, dzięki której mógł sobie pozwolić na luksusowe mieszkanie.

- I ta osoba zaczęła się niepokoić - dodał Goodnight. - Może przez nasze poszukiwania, może przez coś innego, dość że postanowiła usunąć ślady i sprzątnęła chłopaka.

- Który na pewno nie był dość inteligentny ani wykształcony, aby bez konkretnych wskazówek poznać plany obrony, które wyniósł - dokończyła Riss. - I tak zostaliśmy z jednym trupozsem i niczym więcej. Co gorsza, jego prowadzący wciąż tu jest. Krok przed nami.

- Zgadza się. Ale jest i druga strona medalu. Skoro posunął się aż do morderstwa, to musi się bardzo niepokoić. Może nawet czuje oddech pogoni na karku. Co znaczy, że jesteśmy blisko.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz - powiedziała Riss.

- A czy kiedyś się myliłem?

Oboje wybuchnęli śmiechem.

- Dobra. Wynośmy się z tej okolicy i poszukajmy czegoś mocnego do picia - zaproponował Goodnight. - Czegoś, co pozwoli mojemu żołądkowi zapomnieć o niedawnych doznaniach.

- To ciebie też ruszyło? - zdziwiła się Riss.

- Każdego wrażliwego człowieka by ruszyło - odparł urażony Chas.

42

Zespół Star Risk był przekonany, że Reynard wykorzysta informacje o poczynaniach premiera Ladiera i bardzo przyjaznym nastawieniu uniwersalistów do przeciwnika.

- I dlatego wy jesteście żołnierzami, a ja politykiem - powiedział, wysłuchawszy wszystkiego uważnie. - Poza tym nie zastanawia was, że chociaż Fall ma te listy już od

jakiegoś czasu, to jeszcze nie trafiły na łamy? Być może Shiprite próbował za ich pomocą wrócić do łask. Na przykład obiecując uniwersalistom, że jeśli znów przyjmą go do siebie, niczego nie ujawni. Albo i nie. Nie zamierzam łamać sobie tym głowy. W każdym razie mediom nie wolno ufać. Ten czy ów dziennikarz może być nawet względnie uczciwy albo mało przekupny, ale nie jego szefowie. To banda głodnych piranii. Zatem nie. Mam własne plany, jeśli chodzi o wykorzystanie tej informacji.

Gdy Riss dowiedziała się, jak dokładnie Reynard zamierza rozegrać tę kartę, zgodziła się, że ani ona, ani reszta zespołu nic nie wiedzą o polityce i nie mają do niej talentu.

Krótko potem Reynard umówił się z człowiekiem nazwiskiem Faraon. Był to wysoki funkcjonariusz Partii Uniwersalistów, który najpierw chciał zostać przywódcą, a potem premierem, przegrał jednak z Ladierem podczas ostatniej wewnętrznej wojny o władzę. Zapewne nie był dość sprawny w obmowie i szantażu.

Zorganizowanie spotkania zabrało prawie tydzień, ponieważ ani Reynard, ani Faraon nie ufali sobie nawzajem.

Ostatecznie umówili się w Tournelle. Pamiętając o znalezionych tam kiedyś podsłuchach, Reynard zaproponował przeszukanie pokoju przed spotkaniem. Faraon zgodził się niechętnie, zaznaczył jednak, że zespołowi Star Risk mają towarzyszyć specjaliści z jego własnej partii.

Reynarda to zaniepokoiło, ale von Baldur wyjaśnił mu, że nie ma się czym przejmować.

- Uniwersaliści na pewno niczego nie podsłuchają - powiedział - pan zaś będzie miał potem nagranie z tego spotkania.

Partijni specjaliści nie kryli, że Grok wywarł na nich wrażenie, z podziwem odnieśli się też do fachowości Jasmine.

- Jak na pewno wiecie, szyby okienne pod wpływem fal dźwiękowych wpadają w rezonans - powiedziała, wskazując na dwa okna saloniku. - Specjalne paraboliczne mikrofony mogą wychwycić dzięki temu rozmowy prowadzone w zamkniętym pomieszczeniu.

- Wiemy - odparł szef zespołu uniwersalistów. - Stary wynalazek. Możemy mieszkać na krańcach cywilizacji, ale nie żyjemy w izolacji.

- Przepraszam, nie chciałam nikogo urazić - stwierdziła pośpiesznie King. - Chcę jednak zaprezentować środek zapobiegawczy.

Oba okna były pokryte cienką przezroczystą folią.

- Dzięki tej folii - powiedziała Jasmine - między pokojem a szybami powstaje warstwa nieruchomego powietrza i cokolwiek zostanie wypowiedziane w pokoju, tutaj pozostanie.

I ona, i Grok podeszli do współpracy z pełną otwartością.

Podczas przeszukania znaleziono dwie pluskwy. Jedna była stara, mogła mieć nawet i sto

lat, druga nowoczesna, ukryta we wgłębieniu w ścianie za przyśrubowanym portretem założyciela restauracji, który miał na malowidle taką minę, jakby się właśnie dowiedział, że wszystkie jego chłodnie padły.

- Wasz? - spytała King.

Ekipa uniwersalistów pokręciła głowami.

Jasmine wyjęła pluskwie zasilanie.

- Może L'Pellerina - powiedziała.

Grok zmiażdżył urządzenie obcasem.

Potem obie grupy strzegły pokoju aż do spotkania. W ostatniej chwili kelner próbował jeszcze postawić na stole wazon z kwiatami. Oczywiście był w nich ukryty mikrofon. Jasmine nie zniszczyła go, tylko wzięła do siedziby firmy i gdy obaj politycy rozmawiali, nakarmiła urządzenie kilkunastoma mowami nagrany podczas obrad parlamentu.

Reynard i Faraon przybyli każdy z własną obstawą i zostali przeszukani. Nie mieli pluskwie i zgodnie udawali, że takie praktyki ich oburzają.

Reynard wyjął transkrypcje listów z aktówki, która też została zabrana z pokoju na wypadek, gdyby była zapluskwiona.

Grok odczekał, aż skończy się powitalna wymiana uprzejmości, i włączył urządzenie zamontowane oficjalnie przez King na oknach, uaktywniając przy okazji dwa czułe mikrofony połączone z nadajnikiem ukrytym za portretem „przodka”. Znalezioną tam wcześniej pluskwę oczywiście podłożyli ludzie Star Risk.

W tej sytuacji Grokowi pozostało już tylko pilnować zapisu i notować, co poza tym dzieje się w pokoju.

Reynard: Zatem do pracy, przyjacielu, ale ta sprawa może wzmóc pragnienie. Mam wspaniałe czterdziestopięcioletnie hico, otwarte już i oddychające na kredensie. Jest również szlachetny koniak, gdyby miał pan na niego ochotę. Możemy też zamówić coś więcej.

Faraon: Nie uważam pana za przyjaciela, panie Reynard. I nie zamierzam nic pić, dopóki się nie wyjaśni, z jakiego to tajemniczego powodu zorganizował pan to spotkanie.

Reynard: Jak pan uważa.

Słysząc szkło stukające o butelkę, bulgot nalewanego koniaku, szelest papierów.

Reynard: Sprawa jest prosta. Bez żadnych ukrytych podtekstów chcę panu przekazać kopie listów wymienianych między Hylą Adrianopole a premierem Ladiem. To te listy, przez które zginął redaktor Fall. Z tego, co wiem, Adrianopole utrzymuje, że jest niewinna i że miała prawo bronić swojej reputacji. Z listów wynika, że powód był całkiem inny.

Faraon: Jak pan je zdobył?

Reynard: Nie wnikałem, jak właściwie trafiły w moje ręce i pan też nie powinien tego robić. Jak pan na pewno wie, mają zostać przedstawione podczas procesu panny Adrianopole. Sam pan się domyśla, dlaczego uważane są za interesujące. Zawierają pewne niejawne informacje, które premier Ladier przekazał osobie nieuprawnionej. Powinno to wyjść na światło dzienne, gdyż chodzi o coś niebezpiecznie bliskiego zdrady.

Faraon: Ludzie mówią różne rzeczy i przy odpowiednim nastawieniu każda ich wypowiedź może być świadectwem dowolnych zamiarów.

Reynard (wyrażnie rozbawiony): Zakładam, że gdy pozna pan treść listów, nie będzie żywił tego rodzaju wątpliwości.

Szelest papierów, długa, bardzo długa cisza przerwana przez niezrozumiałe pomruki Faraona.

Faraon: Wielki Boże!

Reynard: Ciekawe, prawda?

Faraon (łamiącym się głosem): Wiem, że Ladier jest za utrzymaniem stosunków z Torguthem, żeby nic nie zagroziło pokojowi, ale to...

Kolejna długa chwila ciszy.

Faraon: Chyba napiję się koniaku.

Reynard: Oczywiście.

Słychać brzęk szkła.

Faraon: Zakładając, że ta informacja jest prawdziwa... Naprawdę nie wiem, co powiedzieć.

Reynard: Nic nie musi pan mówić. Znam pana trochę i ufam, że zrobi pan co należy. Pan i inni, nie skorumpowani członkowie waszej partii.

Faraon (słabym głosem): Jeśli te listy są prawdziwe...

Reynard: Są prawdziwe. Może pan je sprawdzać i weryfikować na wszelkie sposoby.

Faraon: Jaka jest za nie cena?

Reynard: Wysoka, chociaż może pan dostać je za darmo. Chcę tylko, żeby nasze ukochane Dampier oraz obywatele Światów Belfort mogli żyć w pokoju i żeby nasz rząd, ktokolwiek będzie go tworzył, w pełni zdawał sobie sprawę, jakie niebezpieczeństwo stanowi Torguth. Chcę rządu, który będzie śmiały, pewny swego i gdy trzeba będzie przeciwstawić się wrogowi, podejmie wszystkie konieczne po temu działania.

Faraon: Tak... tak. Muszę to sobie przemyśleć... skonsultować się z kolegami. Proszę o wybaczenie, ale naprawdę muszę już iść.

Reynard: Powodzenia, przyjacielu.

Ponowny szelest papierów, odgłos otwieranych i zamykanych drzwi. Bulgot nalewanego koniaku.

Reynard: Nieźle, całkiem nieźle.

*

Dwa tygodnie później Faraon doprowadził do zwołania nadzwyczajnej sesji parlamentu. Cała piątka ze Star Risk też stawiała się na sali, włącznie z Goodnightem, wciąż narzekającym, że politycy śmiertelnie go nudzą.

Premier Ladier, korpulentny, zwykle wesoły mężczyzna, wyglądał jak własny cień. Z ponurą miną otworzył obrady i udzielił głosu pierwszemu chętnemu, czyli Faraonowi.

Podczas jego przemowy - krótkiej i rzeczowej - asystenci rozdawali wydruki cytatów z listów. Wszystkim, nie tylko uniwersalistom.

- Jeśli szanowni członkowie izby zechcą poświęcić chwilę na lekturę tych dokumentów, stanie się jasne, co skłania mnie, przedstawiciela partii rządzącej, do zgłoszenie wniosku o wotum nieufności dla tego rządu.

Ladier zaniósł się kaszlem.

- Co więcej - ciągnął Faraon - zgłaszam wniosek o jak najszybsze rozpisanie wyborów, aby nawa państwowa zmieniła kurs, który obecnie wiedzie ją prosto na skały.

Głosowanie, które przeprowadzono godzinę później, zakończyło się wynikiem 358 do 16. Riss uznała, że tych szesnastu musiało być wyjątkowo upartych albo po prostu bardzo wolno czytało.

Ladier wyglądał, jakby spotkała go wielka niesprawiedliwość.

*

Tego wieczoru odbyło się w Tournelle wielkie przyjęcie ochraniające przez Star Risk. Ścisły zespół firmy pozostał jednak w saloniku na górze, nie mieszając się z rozentuzjasmowanymi niezależnymi bawiącymi się w wielkiej sali. Reynard też zajrzał na kilka chwil do saloniku.

- Piękna sprawa - zachichotał. - Ladier, słynny spec od ciosów w plecy, załatwiony własną bronią. Nastaje nowa epoka. Dla mnie... dla nas.

- To co teraz będzie? - spytał Grok.

- Uniwersaliści na pewno zorganizują własny konwent, na którym zmieszają Ladiera z błotem - rzekł Reynard. - Potem będą wybory nowego szefa partii, które niewątpliwie wygra Faraon. Dla mnie idealny, bo łatwy przeciwnik, zatem w kolejnych wyborach powszechnych

niezależni powrócą do władzy. Mniejsze partie są mi winne poparcie. To oznacza, że Maen Sufyerd powróci do Montrois i zdołam zmusić władze wojskowe do zgody na ponowny proces, tym razem przed sądem cywilnym. Nim minie rok, Sufyerd będzie wolny. Świetnie się spisaliście. Piję za wasze umiejętności.

Von Baldur wstał zza stołu.

- Proszę się chwilę wstrzymać z tym toastem - zastopował Reynarda. - Mam pytanie. Powiedział pan, że przed upływem roku Sufyerd będzie wolny. Wybory odbędą się za trzy miesiące. Co powstrzyma pewną osobę, której poszukujemy, czyli wysoko usadowionego targuckiego agenta, który wciąż jest na wolności, przed przyspieszeniem egzekucji Sufyerda?

- Nic - odparł cicho Reynard, nagle spowaźniawszy. - Nic poza publicznym potępieniem.

- Dla trupa nie będzie ono wiele znaczyć - zauważył Goodnight.

- Ani dla rodziny - dodała Riss.

- Zgadza się - mruknął całkiem już przygnębiony Reynard.

- Jasmine, czy załatwiłaś sprzęt, o który prosiłem po południu? - spytał von Baldur.

- Tak. Wszystko było dostępne od ręki i jest już w drodze. Będzie tutaj jutro, najpóźniej pojutrze.

Członkowie zespołu Star Risk spojrzeli po sobie.

- Świetnie - powiedziała Riss. - Ruszajmy zatem po Maena.

43

Wyjątek z holoprogramu targuckiego Ministerstwa Prawdy:

Długie ujęcie okrętów wojennych przelatujących w szyku bardzo blisko stacji orbitalnej.

Płynne przejście.

Zbliżenie na surową twarz mężczyzny w mundurze z licznymi medalami. Wojskowy siedzi w gabinecie. Za nim regał z ozdobnie oprawionymi księgami, dwie flagi, szafka na holodyski, półka z modelami statków kosmicznych.

Głos zza kadru: Witamy admirała floty Garada.

Garad: Z przyjemnością przedstawię obywatelom Torguthu obecne możliwości naszej floty i dowiodę, że nie mamy powodu bać się żadnych wrogów.

Nasza Marynarka Wojenna pilnie strzeże wszystkich granic, ochraniając nie tylko sam Torguth, ale także inne układy, jak Belfort, cierpiący w tej chwili okupację za sprawą

niesłusznej polityki Dampieru. Tłumy wysłanników tego układu atakują tam naszych osadników, a miejscowe władze odmawiają ukrócenia tych aktów jawnej niesprawiedliwości.

Ale ostrzegam Dampierczyków!

Jeśli dalej będziecie nękać torguckich osadników, nasza Marynarka Wojenna będzie zmuszona podjąć walkę w obronie naszych kobiet i dzieci. Nieważne, co działo się w przeszłości, jutro należy do nas.

Obywatele Torguthu, nie mogę wam przedstawić pewnych tajnych systemów uzbrojenia, żeby i nasz przeciwnik ich nie zobaczył. Ujrzyście jednak dość. Wasze serca zabijają żywiej i porzucicie wszystkie lęki związane z dawnymi niepowodzeniami.

Na początek zaprezentuję jednostki eskortowe, małe, ale silnie uzbrojone okręty patrolujące nasze granice. To one pierwsze napotykać zawsze siły przeciwnika...

44

Dwa dni przed zamierzoną wyprawą ratunkową do rezydencji wynajętej przez Star Risk przybył Fra Diavolo. Towarzyszyła mu kobieta o raczej surowej twarzy.

M'chel, która przywitała gości, usłyszała od Diavola, że jest bez wątpienia najpiękniejszą istotą w okolicy i że chętnie widywałby ją codziennie, ale dzisiaj ma akurat sprawę do von Baldura.

- Jest mi pan winien pieniądze - powiedziała kobieta prosto z mostu, gdy Friedrich wszedł do centrum operacyjnego.

- Ja? - spytał von Baldur, nie mając pojęcia, kim jest ta kobieta, ale nagle go oświeciło.

To była ta druga agentka, z którą spotkał się na Torgucie i którą spytał o plany gier wojennych związanych z Belfortem.

- Faktycznie - przyznał.

- Byłam w „Rozkoszach Świtu”, tak jak się umówiliśmy - powiedziała. - Nie przyszedł pan. Miałam... mam informacje, których pan szukał.

- Niestety, napotkałem pewne trudności, które zmusiły mnie do przedwczesnego opuszczenia planety. Zgadza się jednak, że jestem pani coś winien - rzekł von Baldur, chociaż nie wiedział, jaki użytek mógłby zrobić z tych materiałów.

- Moja przyjaciółka złożyła wniosek o zgodę na odwiedzenie światów Sojuszu, z których pochodzą jej rodzice - wyjaśnił Fra Diavolo. - Z nieznanых powodów został on nagle

rozpatrzony pozytywnie.

- Nieznanych! - parsknęła kobieta. - Po tym, jak nieznany dampierski agent zamordował jakąś osobę, co wywołało wielkie polowanie z nagonką, w moim miejscu pracy zrobiło się trochę gorąco. Mogłam zostać uznana za podejrzaną, ponieważ byłam jedynym pracownikiem, którego rodzina nie mieszkała na Torgucie od czterech pokoleń. Ktoś w wywiadzie musiał zatem uznać, że najlepiej będzie dać mi swobodę ruchów i sprawdzić, dokąd się udam. Oczywiście byłam śledzona i gdybym skierowała się gdzie indziej niż do zadeklarowanego celu podróży, podjęto by przeciwko mnie odpowiednie działanie. Udało mi się jednak zgubić ogon, zmieniając trzy razy statki... Ale nie o tym chciałam... - Kobieta wyjęła mikrofiszkę. - Zamierzam osiedlić się tutaj, na Montrois, co na pewno będzie się wiązało z kosztami. Chcę również pozostać niewidzialna, a to jeszcze droższa sprawa.

Von Baldur wziął fiszkę.

- Będę bardziej niż szczodry - zapewnił informatorkę.

- A ja bardziej niż wdzięczna.

45

Strażnicy w forcie Pignole przywykli do wizyt Jasmine King i nie prowadzili już jej do strzeżonego pokoju wizyt, gdy zjawiała się z kolejnym plikiem papierów, które wymagały podpisu Sufyerda. Nie zrezygnowali jednak z przeszukania Jasmine i jej bagażu.

Niezmiennie drobiazgowy Maen Sufyerd pilnie czytał każdy dokument i często narzekał, że jego zdaniem są to świstki bez znaczenia.

Miał rację, bo głównym celem wszystkich tych zabiegów King było stworzenie okazji do bezpośredniego kontaktu z więźniem, jednak gdy Sufyerd kolejny raz zaprotestował, spojrzęła nań lodowato i oskarżyła go o współpracę z systemem, który wydał na niego wyrok śmierci.

Tym razem miała tylko dokumenty uprawniające Star Risk do poszukiwań zaginionej rodziny Sufyerda i udzielenia jej pomocy. Dwie wizyty wcześniej King zdołała mu dyskretnie przekazać, że jego żona i dzieci są bezpieczne i nie musi się o nie martwić.

Tym razem podpisał dokumenty, z nie skrywaną radością. King sięgnęła po papiery i przypadkiem zaczepiła o jego dłoń ostrą spinką przy mankiecie, tak że pojawiło się kilka kropel krwi. Sufyerd skrzywił się, a Jasmine grzecznie przeprosiła.

- Wiesz, czasem mi się wydaje, że jakoś z tego wyjdę - powiedział jej, gdy pakowała aktówkę. - Może nawet dojdzie do kolejnego procesu, który dowiedzie mojej niewinności.

- Oczywiście - odparła. - Czy nie powtarzam ci tego od samego początku?

- Chciałbym tylko, żeby prawo... - zaczął, ale urwał.

- Co prawo?

- Zaczynam mówić od rzeczy. Chciałbym, żeby nie było tak cholernie arbitralnie stosowane. I przepraszam za język.

- Lepsze nawet takie prawo niż całkowite bezprawie - zauważyła Jasmine.

Sufyerd zdobył się na uśmiech.

- Masz rację - przyznał. - To nie tak, że tracę nadzieję.

Wróciwszy na statek, King zdała relację ze spotkania pozostałym członkom zespołu, którzy też byli na pokładzie, i zniszczyła pokryte trucizną spinki, które miała na sobie.

Patrolowiec, nie kierując się wyraźnie na Montrois, zniknął w nadprzestrzeni, zostawiając za sobą mikroprzełącznik satelitarny.

*

Sześć godzin później fort zawiadomił Montrois, że doszło do sytuacji krytycznej. Więzień Sufyerd Maen ciężko zachorował i lekarze więzienni nie potrafią postawić diagnozy. Mówią jedynie o wysokiej gorączce, mdłościach i nawracających wymiotach.

Zaszyfrowaną wiadomość odebrał przełącznik i przesłał nadprzestrzennie na jednostkę Star Risk, gdzie bez trudu ją rozkodowano.

- I mam nadzieję, że nie postawią diagnozy - powiedział von Baldur. - Denebiańskich królików nie ma obecnie nawet w ogrodach zoologicznych tej części galaktyki, o ich drogim jądzie nie wspominając.

- Pora się ubierać - stwierdziła Riss. - Potem będziemy musieli jeszcze trochę poczekać.

Montrois odpowiedziało, że wysła na stację ambulans, który przewiezie Sufyerdę do dobrze wyposażonego szpitala w stolicy.

- Oczywiście! - zakrzyknął Goodnight. - Te sukinsyny nie pozwolą spokojnie umrzeć nawet komuś, kto siedzi w celi śmierci!

- To się nazywa hipokryzja - powiedział Grok. - Wszyscy chętnie ją praktykują, nawet moi pobratymcy.

*

Godzinę później satelita oznajmił o przybyciu wyraźnie oznakowanego ambulansu, który

przycumował do fortu.

Wziąwszy Sufyerda na pokład, oderwał się od rękawa i wszedł na orbitę powrotną.

- I co teraz? - spytał pilot patrolowca Star Risk.

- Czekamy - odparł von Baldur. - Musimy się upewnić, że nie będziemy potrzebowali wsparcia.

- Chyba wpadasz w paranoję - powiedział Goodnight. - Nie wspominając o tym, że sztasz pieniędzmi Reynarda, które przecież mogliśmy sobie przywłaszczyć, by wydać je na alkohol i seks.

Von Baldur nie odpowiedział. Sprawdził tylko kanał łączności z inną stacją.

Ambulans oddalił się już trochę od fortu, gdy z nadprzestrzeni wyłoniła się jeszcze inna jednostka.

- Ambulans Y423, ambulans Y423 - padło na standardowej częstotliwości. - Przygotuj się, wchodzimy na pokład.

Pilot ambulansu zaprotestował gwałtownie, na co usłyszał:

- Wejdz na orbitę stacjonarną, bo otworzymy ogień.

Załoga statku medycznego zawiadomiła niezwłocznie fort, fort zaś przekazał informację na Montrois, a na obcy statek posłał szereg poważnych gróźb bez pokrycia.

- Z katalogu *Jane's Fighting Space Ships* wynika, że to standardowy eskortowiec bliskiej osłony - powiedział jeden z zatrudnionych przez Star Risk pilotów. - Jeśli jest uzbrojony...

- Jest - wtrącił von Baldur.

- ...to dla nas trochę za duża sztuka - dokończył pilot.

Von Baldur uśmiechnął się i sięgnął po mikrofon.

- Freddie jeden, mówi Freddie kontrola. Zgłoś się - rzucił wywołanie.

- Mówi Freddie jeden - dobiegło z głośnika. - Wychodzę.

Riss i reszta znali ten głos. Należał do pilota Redona Spady, najemnika, który uchodził za jednego z najlepszych w swojej branży. Star Risk korzystało już z jego usług.

Goodnight przypomniał sobie rozbawiony, że Spada naiwnie niczym nastolatek podkochał się skrycie w Riss, która ani go nie zachęcała, ani nie odtrącała.

Nagle na orbicie nad Montrois zrobiło się tłoczno. Z nadprzestrzeni wychyły dwa niszczyciele. Były bardzo przestarzałe, ale i tak zdecydowanie górowały nad eskortowcem siłą ognia.

Von Baldur nakazał swojemu pilotowi, żeby także wyszedł z nadprzestrzeni.

- Do Freddiego kontroli - odezwał się Spada. - Rozumiem, że mamy zająć się tym okrętem?

- Mówi kontrola - odrzekł Friedrich. - Dobrze rozumujesz.

- Ten dureń nawet nas nie widzi - rzucił Spada. - Cel namierzony. Dwójka, strzelasz na mój rozkaz. Cztery, trzy, dwa, ognia!

Każdy niszczyciel wypluł po dwa ciężkie pociski raketowe, których trajektorie przecinały się na eskortowcu. Cztery kule ognia oznajmiły, że obca jednostka najprawdopodobniej wyparowała ze znanego wszechświata.

- Nie ma to jak dobra zasadzka - powiedział z rozmarzeniem Goodnight.

- Mówi jedynka - odezwał się Spada. - Co teraz?

- Nic. Wracaj i zapraszamy do kasy - odparł von Baldur.

- Mówi dwójka - odezwał się dowódca drugiego niszczyciela. - To najłatwiejsza forsa, jaką kiedykolwiek zarobiłem.

- Teraz sam widzisz, dlaczego wszyscy lubią dla nas pracować - rzucił von Baldur.

- Tu jedynka. Pocałujcie ode mnie M'chel. Spotkamy się w stosowniejszej chwili.

Oba niszczyciele zniknęły, wracając do anonimowej bazy, która je wyczarterowała.

- Teraz zgarniamy Maena? - spytała Riss von Baldura.

- Otóż to.

*

Załoga ambulansu nie kryła, co sądzi o napadzie, jednak nie stawiała najmniejszego oporu, gdy ludzie w hełmach z przyciemnionymi szybami wzięli nosze z nieprzytomnym Maenem. Nawet jego dwaj strażnicy niczego nie próbowali.

Grok, którego zbyt łatwo było rozpoznać, nie brał udziału w tej akcji.

Goodnight chętnie pożegnałby załogę ambulansu jakimś ciętym stwierdzeniem, miał jednak dość rozumu, aby nie ryzykować późniejszej identyfikacji głosu.

Czym prędzej przenieśli Maena przez służę na swój pokład, odłączyli się od ambulansu i kilka sekund później zniknęli w nadprzestrzeni. Riss niezwłocznie podała Sufyerdowi antidotum.

- Technicznie rzecz biorąc, moglibyśmy teraz dostarczyć go Reynardowi pod same drzwi, wziąć forszę i ruszać do domu - zauważył Goodnight.

- I oczekujesz, że Reynard sam przekaże nam potem premię? - spytał von Baldur.

- Hm. Zapewne nie.

- Bez wątplenia nie - odezwał się Grok. - Równie dobrze moglibyśmy zrezygnować z tego zadania, zanim się do niego zabraliśmy. Poza tym wciąż nie wiemy, kto jest prawdziwym torguckim agentem. Bardzo jestem tego ciekaw.

- Skoro o moralności mowa... - odezwała się Riss. - Założycie się, że ledwie Sufyerd dojdzie do siebie, zacznie nam wyrzucać, że nie pozwoliliśmy zatriumfować sprawiedliwości i zniszczyliśmy mu reputację? Jak stawiacie? Po równo? Sześć do pięciu? Dwa do jednego? Dziesięć do jednego?

Mimo tak daleko idących ustępstw Riss nikt się nie palił do zakładu.

Dwie godziny później Maen był już w pełni przytomny i potępił von Baldura za bezprawne uwolnienie prawomocnie skazanego więźnia. Dodał też, że teraz nigdy już nie będzie mógł spojrzeć innym oficerom w oczy.

- Dajże spokój - nie wytrzymał Goodnight. - Lepiej się ciesz, że w ogóle wciąż oglądasz ten padół.

To uciszyło Sufyerda. Na trochę ponad godzinę. Nie przestał narzekać, póki patrolowiec nie przyziemił na jednym z mało uczęszczanych lotnisk Montrois. Czekał tam już ślizgacz przysłany przez Fra Diavolo, który zabrał Maena w nieznane nawet ekipie Star Risk miejsce, gdzie miał się wreszcie spotkać z Cahamlą i dziećmi.

46

Riss zanurzyła palce w misce pełnej kamieni szlachetnych, które Goodnight bez entuzjazmu przekazał „dla sprawy”. Nie wyjaśnił, że zdecydował się na to tylko dlatego, że król złodziei wystawił go do wiatru. Pod podanym przez niego adresem znalazł pustą parcelę, a Guayacurus gdzieś się zapodział.

Wiedząc, jak pilnie jest obserwowany, Chas nie chciał szukać nowego pasera i pozostało mu tylko okazać dobrą wolę.

Kamienie kamieniami, jednak ważniejszy dla Riss był unoszący się przed jej oczami nagłówek holo. Wielkie litery głosiły: UCIECZKA ZDRAJCY, a mniejsze precyzowały: TORGUTH UWALNIA SWOJEGO SKAZANEGO NA ŚMIERĆ AGENTA.

Odezwał się brzęczyk. Ponieważ tego dnia dyżur pełniła M'chel, ona odebrała połączenie.

Na ekranie pojawił się L'Pellerin z BID. Spojrzenie miał zimne, prawie nienawistne.

- Chcę rozmawiać z von Baldurem - powiedział.

- Chwilę. - Riss wyciszyła fonię i skontaktowała się z Friedrichem, który sprawdzał akurat gotowość kuchni do wydawania posiłków. - Freddie, ten tajniak do ciebie.

Von Baldur odebrał.

- Zakładam, że ma pan alibi na wczoraj - bez wstępów rzucił L'Pellerin.

- Słucham?

- Oczywiście nie kręcił się pan w pobliżu fortu orbitalnego, w którym przetrzymywano Sufyerda?

- Wielki Boże - mruknął von Baldur, udając zdumienie. - Oczywiście, że mnie tam nie było. Mnie ani nikogo ode mnie, wyłączając pannę King, która wcześniej odwiedziła naszego klienta.

- Tak myślałem - odparł L'Pellerin. - W tej sytuacji oczekuję was wszystkich w siedzibie Biura Informacyjnego Dampieru, gdzie zostaniecie przesłuchani. Macie stawić się z paszportami. Jeśli nie zostaną wam postawione żadne zarzuty, w co bardzo wątpię, zostaniecie niezwłocznie deportowani.

*

Już przy drzwiach powitali ich uzbrojeni strażnicy, którzy zapędzili ich do niewielkiego pokoju z licznymi plamami na ścianach i jedną samotną ławą. No i biurkiem, za którym siedziało dwóch potężnych tajniaków patrzących spode łba na przybyszów. Kolejni dwaj, równie rośli i niesympatyczni, stali po bokach.

- Wasze dokumenty - zażądał jeden z siedzących i cała piątka ze Star Risk posłuchała. - Zostaliście zatrzymani w celu przesłuchania w sprawie ucieczki legata Maena Sufyerda, więźnia skazanego wyrokiem naszego sądu. Jako obcokrajowcy nie macie prawa do kaucji. Doradzam pełną współpracę dla uniknięcia nieprzyjemnych konsekwencji.

- Jakie mamy prawa? - spytał Goodnight.

- Te, które wam przyznamy - odparł jeden ze stojących tajniaków. Spojrzał na King, potem na Riss i uśmiechnął się nieprzyjemnie.

- Smutni panowie są wszędzie tacy sami - mruknął Goodnight i też się uśmiechnął. Równie nieprzyjemnie.

- Nie trzeba, Chas - powiedział von Baldur. - Jestem pewien, że dojdziemy jakoś do porozumienia.

- Jeśli będziecie współpracować, to na pewno - dodał kolejny tajniak.

- Nawet jeśli nic nie wiemy?

- Ostrzegano nas, że będziecie stawiać opór.

Goodnight spojrział na Groka i nieznacznie kiwnął głową. Sprawa była jasna. Jeden ze smutnych panów spojrział nerwowo na obcego i sięgnął pod marynarkę. Goodnight miał już przejść w tryb szybki, gdy za nimi otworzyły się drzwi. Do pokoju przesłuchań wszedł

wysoki łysiejący mężczyzna o rumianej twarzy. Za nim tłoczyło się dziesięciu zwykłych policjantów z bronią i pełnym wyposażeniem.

- Dzień dobry - powiedział. - Jestem senator Guy Glenn z izby wyższej parlamentu. Jestem też prawnikiem. Moja licencja pozwala mi występować przed wszystkimi sądami Montrois, od wojskowych po Sąd Najwyższy.

- Wiemy, kim pan jest - oparł z widoczną niechęcią jeden z tajniaków zza biurka. - Należy pan do niezależnych i jest przydupasem Reynarda.

- To świetnie, że panowie są tak dobrze poinformowani - odparł nie zrażony Glenn. - Nie będzie zatem kłopotu z przyjęciem przez was tego dokumentu, w którym Sąd Najwyższy Tuletii gwarantuje wolność obecnym tu pięciu osobom. Dodatkowo zakazuje on wam, a także wszystkim innym funkcjonariuszom BID i pozostałych agend rządowych, przesłuchiwanie, stawiania w stan oskarżenia wymienionych osób i ograniczania w jakikolwiek sposób swobody wykonywania przez nie obowiązków zawodowych.

W pokoju przesłuchań zapadła cisza.

- Nie może pan tego zrobić! - powiedział jeden z tajniaków, niedwuznacznie sięgając po broń.

- Właśnie to zrobiłem - odparł Glenn. - Gdyby ktoś wątpił... - Pstryknął palcami i stojący za nim policjanci odbezpieczyli broń i wycelowali ją w tajniaków.

Ekipa Star Risk dyskretnie zeszła z linii ognia.

- Ja... muszę się skontaktować z moim przełożonym - wykrztusił po chwili najważniejszy tajniak.

- Bardzo proszę - powiedział z uśmiechem Glenn. - Dzięki temu osiągniemy porozumienie na najwyższym szczeblu, co uchroni nas przed recydywą tej parodii sprawiedliwości.

*

L'Pellerin dwukrotnie przeczytał oba dostarczone przez Glenna dokumenty i spojrział na prawnika.

Von Baldur nie mógł nie podziwiać opanowania szefa tajniaków. Twarz miał kamienną i tylko lekkie drgnienie prawego kącika ust świadczyło, że targają nim emocje.

- To absolutnie nielegalne - odezwał się w końcu L'Pellerin.

- Tak? - spytał Glenn. - Czy zamierza pan oskarżyć Sąd Najwyższy o praktyki niezgodne z prawem?

- Przy świadkach? - rzucił L'Pellerin. - Nie jestem głupcem.

- Zatem już sobie pójdziemy - stwierdził Glenn i spojrzał na ekipę Star Risk. - Zechcecie mi państwo towarzyszyć?

Oczywiście nie mieli nic przeciw temu.

L'Pellerin poczekał, aż znajdą się przy drzwiach, i rzekł:

- Proszę przekazać Reynardowi, że gorzko pożałuje tego postępu.

Glenn uśmiechnął się, kiwnął głową i wyszedł, a za nim policjanci i zespół Star Risk.

- Dziękuję - powiedziała Riss do prawnika, gdy byli już poza budynkiem. - Nie przepadam za obijaniem nerek.

- Albo i czymś gorszym - mruknęła King.

- Kto wie - zgodziła się M'chel. - A ja zastanawiałam się, Freddie, do kogo dzwoniłeś przed wyjściem. Jesteśmy pańskimi dłużnikami, panie Glenn.

- W żadnym razie. Mój brat jest po trosze anarchistą. BID zwinęło go kiedyś i ostro nad nim popracowało. Wciąż kuleje i często nie może zebrać myśli. Tak więc cała przyjemność po mojej stronie. Gdybym jeszcze dożył dnia, kiedy L'Pellerin trafi za kratki, a ten budynek zostanie zrównany z ziemią, ziemia zaś posypana solą... - dodał, ale zaraz się zreflektował i znowu był gładkim i uśmiechniętym politykiem.

*

- Poczekaj jeszcze chwilę, Chas - powiedział von Baldur, upewniwszy się, że drzwi do centrum są zamknięte. - Myślę, że pora na nasz własny konwent.

- Dobrze, ale potem się napiję - odparł Goodnight. - Uwolnienie z więzienia wyzwala u mnie pragnienie. Zwłaszcza z więzienia tajnej policji - dodał, posłusznie odstawiając karafkę.

- Chcę, aby wszyscy podzielili się swoimi przypuszczeniami, kto może być prawdziwym zdrajcą - poprosił von Baldur. - Chas?

- Wciąż nie wiem, skąd ten cholerny Caranis bierze tyle forsy, ale z czystego wkurzenia głosowałbym na L'Pellerina. Nie przepadam za lochami. Jednak to Caranis miał najlepszy dostęp do tych planów i mógł bez trudu opłacić kuriera, żeby je zwinął. Stawiam na Caranisa.

- A co z morderstwem Kismayu? - spytała King. - Zgodziliśmy się, że to nie był przypadek.

Goodnight tylko się skrzywił.

- Jasmine ma rację - powiedziała Riss. - Wiemy, że przynajmniej jeden człowiek z BID należał do Maskowych. Albo odwrotnie. Ci idioci nie wzbraniają się przed mokrą robotą, choć trucizna to dla nich trochę zbyt subtelna metoda. Widzę w tym poważną lukę. Tak naprawdę niewiele wiemy o Maskowych i chyba pora dowiedzieć się więcej.

- Pozwólcie sobie przypomnieć, że załoga tej jednostki, która chciała porwać Sufyerda, wiedziała skądś o jego chorobie i że będzie transportowany na planetę - odezwał się von Baldur. - To oznacza, że po tamtej stronie działa ktoś, kto zna wojskowe kody i procedury. Ta osoba... czy grupa osób... była tak dobrze zaznajomiona z sytuacją, że użyła nawet wywołania kodowego ambulansu.

- To może Caranis? - mruknęła King. - Chociaż L'Pellerin też by pasował. Albo inna wysoka rangą osoba, o której nie pomyśleliśmy.

- Dobrze - powiedział von Baldur. - Dziękuję za otwarte podejście. Dorzucę coś jeszcze. Gdy jadłem obiad z L'Pellerinem, powiedział on, że zaraz po skazaniu Sufyerda wycofał wszystkich swoich agentów ze sprawy. Ale wciąż było ich wielu i kręcili się zarówno wokół kościoła Brackena, jak i rodziny Sufyerda. Gdy M'chel chciała ją wywieźć, uaktywnili się, żeby jej przeszkodzić i albo przejąć, albo zabić bliskich Maena. Może zatem lepiej nie wykluczać Caranisa, chociaż nie wiem, czy byłby skłonny do masowego użycia wojska w tej sprawie. Co więcej, czy byłby zdolny tak dokładnie wyciszyć wszystko po klęsce? Przecież było tam sporo ofiar, o których wszyscy jakby zapomnieli.

- L'Pellerin niewątpliwie mógłby to zrobić - stwierdził Grok. - Albo ktoś stojący naprawdę wysoko. Nie wydaje mi się, żeby to Ladier był zdrajcą, chociaż wiemy, że wiele łączyło go z Torguthem. Rzadko się zdarza, aby polityk, który odniósł sukces, porywał się na takie akcje.

- No to kolejny szczegół - odezwał się von Baldur. - W listach Ladiera jest wzmianka, że to L'Pellerin zapewnił premiera o winie Sufyerda. Już samo to jest ciekawe. Albo szef BID jest skończonym głupcem, albo... kimś całkiem innym.

- Stawiam na L'Pellerina - powiedziała Riss. - Łatwo mi oskarżyć kogoś, kto pali się do rwania mi paznokci.

- A ja chcę o coś spytać - odezwała się King. - Zakładając, że L'Pellerin jest zdrajcą, dlaczego nim został? Ma tu chyba więcej władzy niż ktokolwiek inny, wie o wszystkich skandalach i jest prawie bezkarny. Dlaczego ryzykował to wszystko?

- Czytałam kiedyś opowiadanie o gościu, który był szefem tajnej policji u jakiegoś dyktatora - powiedziała Riss. - Jedyne, czego pragnął, to zostać arystokratą i zatriumfować publicznie. Dyktator go odprawił, mówiąc, że tajniak zawsze już będzie tajniakiem i nie powinien paradować z szablą u boku. Bohater opowiadania poczuł się tak rozczarowany i urażony, że przy pierwszej okazji spróbował zdradzić swego szefa. Może podobnie jest z L'Pellerinem.

King zastanowiła się.

- Albo też ludzie, którzy pragną władzy, nigdy nie mają jej dosyć - stwierdziła. - Jednak co Torguth mógł mu zaoferować?

Riss bezradnie pokręciła głową.

- Zatem głosujemy dalej - powiedział von Baldur. - Ja też wybieram L'Pellerina, chociaż nie powinniśmy zapominać o Caranisie. Chas, znajdziesz chwilę, żeby mu się przyjrzeć?

- Z przyjemnością - odparł Goodnight. - Czy teraz już mogę się napić?

- Możesz.

- Problem polega na tym, że jeśli L'Pellerin rzeczywiście jest zdrajcą, trudno będzie udowodnić, że szef tajnej policji jest podwójnym agentem. Poza tym, nie chcę się jednoznacznie nastawić, odkładam więc oddanie głosu.

- Dajmy więc temu spokój - powiedział von Baldur. - Chas, możesz nalać i mnie? Może to ożywi resztki moich szarych komórek.

47

- Rzeczywiście idzie nam niezgorzej - powiedział Fra Diavolo. - Przede wszystkim, i tu z góry przepraszam, M'chel, że uważam to za ważniejsze niż problemy Sufyerda, udało się odsunąć uniwersalistów od władzy. A dokładniej Ladier popełnił polityczne samobójstwo. Tylko niewinni zachowują swoje listy. O ile są tacy, oczywiście. Po drugie, pracujący w Ila zdrajca został zamordowany przez swoich, a Maen jest wolny i cieszy się rodziną. Gdy przyjdzie pora, zorganizujemy drugi proces, tym razem uczciwy.

Niepokoji mnie tylko narastający ferment na Światach Belfort. Oraz sam Torguth, który zdaje się prężyć mięśnie przed kolejną konfrontacją z Dampierem. Na to jednak niewiele możemy obecnie poradzić. Na razie produkuję pamflety mające odebrać uniwersalistom szansę na szybki powrót do władzy, chociaż prawdę mówiąc, nie uważam, żeby Reynard i jego niezależni byli choć trochę lepsi. Jedno dobre, że nic mi nie wiadomo, aby układali się z naszymi wrogami. Wasza firma nie jest może odpowiedzialna za to wszystko, ale na pewno zadziałała jak katalizator.

- Dziękuję - powiedziała Riss, unosząc szkło. Wciąż nie w pełni ufała Diavolowi, ale ujmowała ją jego staromodna dżentelmeneria. - I pan, i pańscy ludzie bardzo nam pomogliście.

- Domyślam się jednak, że nie zjawiałś się tu tylko po to, by zjeść ze mną obiad -

stwierdził Diavolo z uśmiechem.

- Zgadza się.

- Pozwól zatem, że zanim zaczniemy cieszyć się posiłkiem, spytam cię, czego potrzebujecie. W menu mamy sałatkę z owoców morza, zapiekane podroby, tort oraz stosowne sery i wina. Nie chciałbym utrudniać sobie trawienia niepewnością, czy zdołam załatwić to, o co mnie poprosicie.

- Potrzebuję jakiegoś byłego Maskowego - powiedziała Riss. - Rozmownego... albo takiego, którego można by skłonić do mówienia. Najlepszy byłby ktoś wyrzucony z organizacji, który chce się na niej odegrać.

- Hm... To nie będzie łatwe.

- Gdyby chodziło o coś łatwego, nie zwracałabym się do ciebie.

- Lizuska.

*

Chas zjawił się w rezydencji z miną kota, który właśnie zjadł kanarka.

- Czyżbyś znalazł wreszcie swoją drugą połowę? - spytała Jasmine.

- W żadnym razie. Popelniałem dobre uczynki.

- Na przykład jakie?

- Odwiedziłem naszą sąsiadkę, pewną uroczą starszą panią, i całe popołudnie słuchałem jej opowieści o dawnych dobrych czasach, kiedy nie było jeszcze tych okropnych polityków i chleb kosztował dziesięć kredytów za bochenek. Oczywiście nie uwierzyłem w żadne jej słowo. Nigdy sama nie kupowała chleba, zawsze miała od tego służbę.

- Ale grzecznie słuchałeś, bo odkryłeś, że jeszcze nie spisała testamentu - odezwał się Grok, zerkając z korytarza.

- Zbyt długo przebywałeś wśród cyników - mruknął Goodnight. - Przede wszystkim przeprosiłem za hałasy, chociaż w sumie to nie my byliśmy ich sprawcami. Okazało się, że wcale jej nie przeszkadzały. Powiedziała, że dzięki takim zdarzeniom życie jest ciekawsze, a w jej wieku trudno już oczekiwać czegoś więcej.

- I tylko po to do niej poszedłeś? - spytała podejrzliwie King.

- Oczywiście - rzucił beztrąsko Goodnight. - Poruszyliśmy jeszcze kilka tematów, ale nie było to nic ważnego.

Grok i King spojrzeli po sobie z niedowierzaniem.

*

Odszukanie odpowiedniego Maskowego zabrało prawie dwa tygodnie, co wcale nie zaskoczyło Riss. Ktoś, kto opuszcza taką organizację jak Maskowych, musi obawiać się zemsty byłych kompanów i na pewno nie obnosi się ze swoją przeszłością.

Osobnik namierzony przez podwładnych Fra Diavolo prowadził sklepik na jednej z wysp Montrois i niechętnie, ale zgodził się porozmawiać z kimś, kogo Diavolo przyśle. Riss ruszyła w drogę z Grokiem w charakterze wsparcia.

Było zimno i mgliście, a miasteczko na wyspie wydawało się szare i niegościnne.

Sklepiarz był niski, ale muskularny. Przedstawił się jako Givoi i przekręcił tabliczkę na drzwiach, tak żeby pokazywała ZAMKNIĘTE. Potem zaprosił gości na zaplecze, co rusz zerkając przy tym trwożnie na Groka.

M'chel nie wiedziała, dlaczego Givoi zgodził się z nimi porozmawiać, jednak jego zachowanie sugerowało, że został raczej zaszantażowany niż przekupiony. Zapewne nie chodziło też o wyrzuty sumienia. Riss nie spotkała w tym układzie wielu osób, które miałyby kłopoty z sumieniem.

- Niewiele mogę wam powiedzieć - zaczął Givoi. - Byłem tylko szeregowym członkiem. Wiernym, jak nas nazywano.

- Proszę usiąść - powiedziała Riss, wskazując na jedno z dwóch krzeseł w pokoju.

Mężczyzna zastosował się do polecenia.

- Dlaczego wstąpił pan do Maskowych? - spytał autentycznie zadowolony Grok.

Givoi milczał przez dłuższą chwilę, w końcu z ociąganiem odpowiedział:

- Zawsze byłem patriotą, wierzyłem w moje państwo, ale tak jak Maskowi uważałem, że ludzie są słabi i potrzebują silnej ręki.

- I kto według Maskowych ma taką rękę? - spytała Riss.

Mężczyzna pokręcił głową.

- Nie miałem dostępu do takich informacji - odrzekł. - Na naszym poziomie nikt tego nie wiedział. Rozkazy przychodziły od rady, ale nigdy nie widziałem ani nie słyszałem nikogo z jej składu. Wszystko szło przez szefów komórek.

- Czy ta rada to mógł być w rzeczywistości jeden człowiek?

- Nie - odparł Givoi i zastanowił się chwilę. - Tak przypuszczam.

- Jednak nie ma pan pewności - stwierdziła Riss. - Zatem przystąpił pan do Maskowych tylko ze względu na swe ideały?

Spojrzała mężczyźnie w oczy. Miał już odpowiedzieć, ale zamknął usta.

- Nie - odparł w końcu, spuszczać wzrok. - A raczej nie tylko.

Riss czekała.

- Kiedy jest się nikim, tak jak ja byłem... - podjął Givoi - chyba byłem... pragnie się jakiegoś źródła siły. Pracowałem jako zwykły sprzedawca w dużym sklepie spożywczym i kiedy przyjaciel opowiedział mi o Maskowych... To było kuszące. To było coś, działać tak niejawnie, wychodzić na ulice, żeby coś zmienić, stworzyć z przyjaciółmi lepsze społeczeństwo... Nigdy wcześniej tak się nie czułem.

- Nie był pan żonaty, nie miał nikogo? - spytał Grok.

Givoi pokręcił głową.

- Nie miałem czasu na kobiety - powiedział.

- Proszę mi opowiedzieć o strukturze Maskowych.

Mężczyzna zaczął mówić, chociaż co rusz się zacinał i potrzebował częstej zachęty. Organizacja opierała się na osobnych komórkach, które miały czasem wspólne siedziby, ale członkowie jednej komórki mogli znać osoby z pozostałych co najwyżej z widzenia.

- Mówili, że tak lepiej dla naszego morale, jeśli spotkamy się dopiero przed akcją. Wtedy nie będziemy czuli się osamotnieni. Mieli rację.

Instrukcje otrzymywali na spotkaniach przed akcją, a w nagłych wypadkach przez komunikator. Robili co im kazano i byli na tyle brutalni, na ile przewidywały instrukcje.

- Po roku zaufali mi na tyle, że mogłem nosić broń - powiedział z dumą Givoi, ale zaraz przygasł. - Ale nigdy nie kazali mi jej użyć. Miałem ją jednak na kilku akcjach. Na wszelki wypadek.

- Zawsze wspieraliście uniwersalistów - stwierdziła Riss.

- Niemal zawsze.

- Wspomniał pan, że był patriotą. Dlaczego zatem pomagał pan uniwersalistom, skoro premier Ladier był zawsze za pokojem, ostatnio zaś okazało się, że dogadywał się z Torguthem?

- To kłamstwo! - zaprotestował Givoi. - Media to sobie wymyśliły!

- Spokojnie - powiedziała M'chel. - Jakie cele stawiają sobie Maskowi? Chyba nie chodzi tylko o to, żeby bić ludzi.

- Oczywiście, że nie. Powiedziano nam, że kiedyś wywalczymy sobie drogę do władzy. Nie wiem, jak dokładnie miało to wyglądać. Myślałem, że działając od wewnątrz, opanujemy najpierw Partię Uniwersalistów, potem utworzymy rząd. Ale...

- Ale co? - spytała Riss.

- Przez pięć lat, gdy tam byłem, nic się nie zmieniało. Ciągłe robiliśmy to samo. Dwa razy zostałem aresztowany, przez co straciłem pracę i musiałem żyć z zasiłku oraz z tego, co przekazywał mi przewodniczący komórki. Potem umarła moja ciotka, zostawiając mi ten

sklepek i mieszkanie trochę dalej przy tej samej ulicy. Pomyślałem, że może pora opuścić Tuletę. I tyle, nie wiem, co więcej mógłbym wam powiedzieć.

- Nazwiska szefów komórek, kogokolwiek stojącego wyżej niż pan? - spytała Riss.

- Nie mogę ich zdradzić! To byłoby... - Urwał i spojrzał na Groka. - Co pan robi?

Obcy wyjął z torby strzykawkę ciśnieniową, ampułkę oraz gumowy wężyk i ułożył je na sterylnym ręczniku. Wsunął ampułkę do strzykawki.

- To pomoże panu mówić - wyjaśnił Grok.

- Nie - jęknął Givoi, gwałtownie kręcąc głową. - Nie. Boję się zastrzyków.

- Obawiam się, że nie weźmiemy tego pod uwagę.

- Nie możecie mi podać serum prawdy!

- To nie jest serum - wyjaśniła Riss, czując się trochę nieswojo. - Nie przypuszczam zresztą, żeby takie serum w ogóle istniało. To tylko gadacz. Zacznie pan mówić o wszystkim, nawet o największych tajemnicach. Zwłaszcza tajemnicach, czyli wszystkim, co świadomie pan ukrywa. Jeśli przespał się pan z matką, też pan to powie, i to na samym początku. Potem nakieruję pana na konkretne tematy. W końcu dowiemy się tego, o co nam chodzi.

- Mam nadzieję, że nie choruje pan na serce? - spytał Grok. - Nie ma pan skłonności do nerwowych uniesień mogących zaburzyć pracę serca?

Givoi rozejrzał się, jakby szukał drogi ucieczki, ale był bez szans.

- Teraz proszę podwinąć rękaw - powiedziała słodkim głosem Riss.

- Nie, nie! Nie mogę! - zapisał mężczyzna. - Pamiętam kogoś. Kogoś ważnego.

- Tak?

- Nazywa się Juda Abiezer i zaczął jako wierny, tak jak ja. Był jednak dobry, zawsze gotowy do rozróby, i został przewodniczącym komórki, potem nadprzewodniczącym.

- Skąd pan to wie? - spytała Riss. - Wcześniej mówił pan, że nie potrafi nic powiedzieć o przewodniczących.

- Bo nie potrafię, ale Abiezer zawsze z nami rozmawiał i czasem stawiał nam nawet wino czy piwo i nigdy nie zachowywał się jak ktoś lepszy. Był prawdziwym przywódcą, kimś, kto siedzi z szeregowymi w okopach, ale czuło się, że coś znaczy, i ludzie gotowi byli iść za nim w ogień. Był... najdzielniejszy z nas wszystkich. Rosły, z bliznami na twarzy, które zostawił mu jakiś anarchista. Nie zniechęcił się jednak. Zna innych przywódców i jest kimś. Może powiedzieć wam wszystko, wszystko to, czego ja nie wiem.

- Dlaczego zdecydował się pan go zdradzić?

- Ponieważ... ponieważ on już prawie nie jest Maskowym! Podobnie jak niektórzy z nas, dość miał rozpędzania manifestacji czy podkładania bomb w sklepach z powodów, których

nikt nie chciał nam zdradzić. Chciał ruszać na parlament, przeciągać posłów na naszą stronę albo ich neutralizować. Słyszałem, że rada udzieliła mu z tego powodu kilku upomnień, ale nie zmienił postępowania. Myślę, że oni się go bali. Aż pewnego dnia zniknął. Powiedziano nam, że otrzymał specjalne zadanie, w którym może wykorzystać swoje talenty. Został wysłany na Światy Belfort, żeby zniszczyć tam ugrupowania wspierające Torguth, tropić zdrajców i tajnych agentów. Przewodzi teraz zasadniczo jawnej organizacji zwanej Ligą Patriotów. Widziałem w holo materiał na jej temat i jego też tam widziałem. Jest teraz na Belforcie.

48

- Zakładam, że powinniśmy się teraz zastanowić nad wycieczką na Belfort - powiedział Grok. - I porozmawiać z tym Abiezerem.

- Sama rozmowa międzyplanetarna raczej wiele nam nie da - zgodziła się Riss. - Nie wspominając, że wszystkie połączenia z Belfortem są monitorowane i użycie jednego niewłaściwego słowa, jak Maskowi czy Torguth, automatycznie wywołałoby alarm.

- Jeśli o mnie chodzi, chętnie się wybiorę, zwłaszcza że na Montrois nie dzieje się nic szczególnego - powiedział von Baldur.

- I ja też - dodała King. - Chciałabym sprawdzić, ile prawdy jest w tej propagandzie. Torguth twierdzi, że jego osadnicy są masakrowani przez Dampieran, Dampier to samo, tylko na odwrót.

- Zatem skaczemy na Belfort, znajdujemy Abiezera, który chętnie opowie nam o Maskowych, gdy tylko M'chel ładnie go poprosi - stwierdził Goodnight. - Zacny plan.

- Ale raczej niewykonalny - zauważyła King.

- Zastanówmy się więc nad innymi opcjami - powiedział Grok. - Możemy na przykład porwać go i wycisnąć co trzeba torturami.

- To ostatnie nie byłoby problemem - mruknął von Baldur. - Gorzej z porwaniem. Przywódcę organizacji paramilitarnej trudno uprowadzić.

- Tak trudno, że to aż niemożliwe? - spytał Goodnight.

- Zawsze możemy poprosić go o pomoc.

- To jeszcze gorzej rokuje - powiedział Goodnight. - Po pierwsze przyjąłbym, że jest szychą wśród Maskowych. Jeśli to L'Pellerin jest ich szefem, a zarazem podwójnym agentem

próbującym sprzedać Dampier albo przynajmniej Belfort, Abiezer może być w trudnej sytuacji. U fanatyków marzenia i złudzenia umierają ostatnie.

- Zatem przyjazna perswazja odpada - stwierdził von Baldur.

Riss, która dotąd głównie słuchała, z dezaprobatą pokręciła głowę.

- A ja myślałam, że pracuję z samymi draniami - powiedziała. - Powinniście uczyć w szkółce niedzielnej.

- Rozumiem, że masz pomysł? - spytał ją von Baldur.

- Oczywiście, że mam. Czytałam kiedyś książkę o dawnej medycynie. Niegdyś praktykowano leczenie pacjenta przez pogłębianie jego stanu chorobowego. Jeśli ktoś na przykład mocno oberwał i doszło do krwawienia wewnętrzznego, puszczano mu krew. Gdy zachorował na coś zakaźnego, podawano szczepionkę, czyli osłabiony czynnik zakaźny, który mógł być nawet śmiertelnie groźny.

- Barbarzyńskie metody - prychnął Grok.

- Oto cała ja - odrzekła Riss. - Jasmine, jak szybko mogłabyś ściągnąć kilka kontenerów z ładunkiem od twojego przyjaciela Asami?

- Zależy od tego, czego potrzebujesz. Jeśli to nic niezwykłego i zapłacimy za pośpiech, mogą tu być za tydzień.

M'chel wyjaśniła, na czym polega jej plan, i King spojrzała na nią odrobinę wstrząśnięta. Grok pokiwał głową, a von Baldur podrapał się w zamyśleniu po brodzie.

- A niech mnie - rzucił Goodnight. - Nie sądziłem, że jesteś zdolna do takiej niegodziwości.

- Nie marudź - powiedziała Riss. - Robota to robota.

49

- Czy ława przysięgłych ustaliła werdykt?

- Tak, wysoki sędzie.

- Oskarżona Hyla Adrianopole, proszę wstać.

- Czy uznajecie oskarżoną Hylę Adrianopole za winną pierwszego zarzutu, czyli morderstwa z premedytacją?

- Oskarżona jest niewinna, wysoki sędzie.

Nikt nie słuchał, co przysięgli postanowili w sprawie pozostałych zarzutów. W sali

sądowej rozpętało się istne pandemonium.

*

- Nie podoba mi się to - mruknął Reynard.

- Dlaczego? - spytał von Baldur. - Nie wydawało mi się, żeby sprawa Adrianopole pana obchodziła.

- Nie obchodziła, ale teraz, gdy ta kobieta została uwolniona, „Pacyfista” nie opublikuje listów. Liczyłem na to, że zostaną ujawnione przed wyborami. Shiprite wykorzystywał je do szantażowania uniwersalistów, oczekując, że przywrócą go do łask. Teraz stracił motywację. Ale nic to. Mam plan awaryjny.

Von Baldur uśmiechnął się ze współczuciem, przeprosił i przerwał połączenie. Zaraz potem wybrał inny numer.

- Poproszę z panem Fra Diavolo.

Sekretarka natychmiast go rozpoznała.

- Chwilkę - powiedziała.

Na ekranie pojawiła się twarz Diavola.

- Tak, panie von Baldur?

- Reflektowałby pan na interesujący temat do następnego pamfletu?

*

- Na jakie to prawo zwyczajowe powołała się podobno Adrianopole? - spytał Grok.

- Chodzi o zwyczaj, zgodnie z którym mąż ma prawo zabić żonę, jeśli przyłapie ją na zdradzie. Z reguły stosuje się jedynie do mężczyzn, ale tutaj widać jest inaczej.

- Co za barbarzyństwo. Nie powinno być żadnych praw poza Prawem. - Grok skrzywił się i sięgnąwszy przez stół po następny stek sojowy, błyskawicznie go pochłoniął.

Goodnight, który przeżuwał drugi krwisty kawał prawdziwego mięsa, zniesmaczony odwrócił głowę.

- Może i tak - powiedziała Riss. - Z drugiej strony miło znaleźć miejsce, gdzie kobiety nie są na z góry straconej pozycji.

- To co innego - zgodził się Grok. - Ale zmieńmy temat. Wątpię, czy powinienem brać udział w wyprawie na Belfort. Chodzi o to, że jestem dostrzegliwy, o ile jest takie słowo.

- Teraz już jest - powiedziała King.

- Z drugiej strony chętnie zostawię Jasmine na straży fortu i przelecę się na Belfort, starając nie rzucać się w oczy, bo tak mówi się prawie na pewno. W razie jakiegś rozróby

chętnie zgłoszę akces. Dziwnie się ostatnio czuję, a nic tak nie oczyszcza atmosfery jak mały rozlew krwi.

50

Nietrudno było zauważyć, dlaczego Belfort stał tak wysoko w rankingach układów pożądanых: były w nim aż cztery zamieszkane planety. Na jednej wydobywano lekkie minerały, na dwóch innych - ciężkie.

Druga planeta od słońca była najbardziej podobna do Ziemi i najgęściej zaludniona - liczyła prawie czterdzieści milionów mieszkańców. Miała tylko kilkanaście miast. W największym, z portem kosmicznym Lavre, żyło około miliona ludzi. Poza tym wiele tu było wiosek i przysiółków z gospodarstwami rolniczymi w starym stylu.

Zespół Star Risk poleciał na Belfort II firmowym jachtem, wyszedłszy z założenia, że być może będzie musiał szybko opuścić miasto. Nie chciał być też zależny od rozkładu lotów liniowych ani marnować czasu na formalności związane z takim podróżowaniem.

Von Baldur patrzył, jak pilot wprowadza statek na orbitę przed lądowaniem, co pozwalało przyjrzeć się planecie.

- Miła - powiedział. - Wygląda na bardzo spokojną.
 - Bardzo rolnicza - zauważył Grok.
 - Oszalałbym tu po tygodniu - stwierdził Friedrich.
 - Nie kuszą cię wieczorne spacerki, łowienie ryb w strumieniach i gra w piłkę pośród bukolicznej zieleni? - spytała go Riss.
 - Zgniłbym od wewnątrz. Albo strzelił sobie w łeb, żeby coś wreszcie zaczęło się dziać.
 - Dość strzelania - powiedział Goodnight. - Musimy ustalić, jak znajdziemy Abiezera.
 - Coś mi mówi, że odszukanie Ligi Patriotów nie będzie tu trudne - rzekła Riss.
- Nie było.

*

Zaparkowali statek na skraju lądowiska tuż obok frachtowca przysłanego przez Asamyę i powiedzieli załodze, że ma trochę wolnego, musi jednak pozostać do dyspozycji.

Poczekali, aż Riss wynajmie ślizgacz i poleci do Lavre. Goodnight chciał się z nią wybrać, ale usłyszał, że żaden marine nie potrzebuje wsparcia zwykłego żołnierza, nawet

najbardziej zmodyfikowanego. Zgodziła się tylko zachować nieustanną łączność ze statkiem.

Miasto przecinała szeroko się rozlewająca, ale uregulowana rzeka, a ulice były równie nowoczesne jak na Montrois. Centra biznesu tworzyły wysepki otoczone dzielnicami mieszkalnymi.

- Co za sielskie miasteczko - powiedział Goodnight, rozglądając się dokoła. - Tam stoi gliniarz, podjedź i spytaj go. Gliny wiedzą wszystko.

Funkcjonariusz stwierdził jednak, że nic nie wie, i Riss ruszyła dalej.

- Powiniennem być się domyślić - stwierdził Chas. - Oczywiście, że nie słyszał o Lidze Patriotów. Zauważyłaś, jak krzywił usta?

- Zamknij się - rzuciła M'chel. - Prowadzę. Spróbuję dla odmiany z tymi dwoma.

Wylądowała, podeszła do mundurowych i po chwili wróciła z uśmiechem na twarzy.

- Szczęście sprzyja odważnym - stwierdziła. - Kierowca należy. Powiedział mi, że też powinnam wstąpić, jeśli drogie mi życie moje i moich dzieci. - Skrzywiła się. - Co z nimi jest? Każdą kobietę mają za maszynkę do rodzenia dzieci?

*

Juda Abiezer musiał regularnie łamać nos, który był rekonstruowany tyle razy, że ostatni chirurg postanowił dopasować jego twarz do klimatu przedmieścia. Jedna brew była nieco niżej, przez środek czoła biegła znikająca we włosach blizna. Miał pewnie około pięćdziesiątki, ale wyglądał na więcej. Mocnej budowy i ciężki, poruszał się ostrożnie i trochę kulał. Givoi chyba nie przesadził, mówiąc, że były przełożony jest skłonny do bitki.

Riss powstrzymała uśmiech, wspomniawszy swojego instruktora walki wręcz, któremu zwróciła niegdyś uwagę na podobnie poobijanego faceta zasiadającego w pewnej komisji. „Pomyłka, pani porucznik”, usłyszała od niego. „Szacunkiem powinna pani darzyć tego, komu zawdzięcza te wszystkie blizny”.

Niski budynek Ligi Patriotów nie był w żaden sposób oznaczony, można go było jednak łatwo rozpoznać. Został pomalowany w barwy narodowe Dampieru i chodziło przed nim w tę i z powrotem dwóch wartowników. Z trzech stron otaczała go otwarta przestrzeń, toteż nie był trudny do obrony. Wszystkie parkujące obok ślizgacze były wieloosobowe, prócz jednego, liczącej około piętnastu lat limuzyny.

Sekretarza Abiezera nie zainteresowały fałszywe dokumenty Riss ani jej równie fałszywe tłumaczenie, że jest przybyłym z innego układu autorem rozpraw na tematy polityczne. Nie zainteresował się też samą Riss.

Została przeszukana, jednak ani mężczyzna, który to robił, ani pomagająca mu

matronowata kobieta nie znaleźli przemycanego przez M'chel małego arsenału, a tym bardziej dwóch mikrofonów.

Juda Abiezer rozpląnął się z radości, że zwrócił na siebie uwagę także na odległych światach. Szczęśliwie miał duży gabinet, w którym Riss znalazłaby dość miejsca na wytarcie watażką podłogi, a nawet ściągnięcie mu spodni przez głowę. Na razie jednak siedział po drugiej stronie biurka, które nadałoby się na lądowisko dla średniej wielkości patrolowca.

- To, że Sojusz jest tak daleko, nie ułatwia nam życia - mówił. - Musimy się bardzo starać, żeby ocalić wolność Światów Belfort. To długa walka, na dodatek Torguth przysyła coraz więcej agentów. Może to, co pani napisze, pomoże nam uzyskać jakieś dotacje. Bardzo by się nam przydały.

- Prawdę mówiąc, wszystko, co powiedziałam dyżurnemu, było tylko zasłoną dymną - wyjaśniła Riss.

Abiezer wsunął jedną dłoń do uchylonej szuflady.

- Nie - dodała pośpiesznie M'chel - nie mam złych zamiarów. Chcę tylko panu coś dać. W zamian za informacje.

Abiezer odprężył się i odłożył broń.

- Czego miałyby dotyczyć ta transakcja?

- Mam cztery kontenery współczesnej broni ręcznej Sojuszu z zapasem amunicji. Być może przydałaby się wam w tej długiej walce.

Abiezer zamrugął, opanował się i znowu zamrugął.

- Powinna pani wiedzieć, że nagrywam tę rozmowę i że jeśli pani propozycja okaże się niezgodna z prawem, będę zmuszony powiadomić o tym odpowiednie władze.

- Rozumiem - stwierdziła Riss. - Chcę wymienić stal na słowa. Nie wiem, jakie obowiązują tu przepisy na temat posiadania broni, i nic mnie to nie obchodzi. Nie przypuszczam też, żeby pan czuł się nimi związany.

- Możliwe - odparł ostrożnie mężczyzna. - Niemniej skala pani propozycji pozwala sądzić, że chodzi o jakieś bardzo ważne słowa.

- Owszem. Chcę dowiedzieć się paru rzeczy o Maskowych.

Abiezer zacisnął wargi.

- Nie wiem, o czym pani mówi.

- Proszę nie ściemniać. Był pan jednym z nich, dość wysoko w hierarchii. Można przypuszczać, że pańskie ciągłe żądania podjęcia bardziej bezpośrednich działań były powodem, że trafił pan na to zesłanie.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza.

- Nie - odezwał się w końcu Abiezer. - Nie wygnanie. Miejsce, gdzie to, co się robi, jest warte więcej niż słowa.

- Jak pan uważa.

- Po co pani te informacje?

- Ja nie pytam, po co panu broń.

Abiezer uśmiechnął się lekko, ukazując zbyt biały komplet odbudowanych zębów.

- Nie pyta pani - przyznał. - Na ile zatem sobie ufamy? Kto zaczyna?

- Powiem panu coś - stwierdziła Riss. - W porcie stoi statek z wiadomym ładunkiem i żelaznymi papierami. Może pan tam wysłać kilku swoich ludzi, żeby go sprawdzili i zameldowali, czy towar jest w porządku. Gdy dadzą panu znać, pan zacznie mówić. Gdy uznam, że wiem już dość, będzie pan mógł się zająć rozładunkiem.

*

- Dobra - Riss usłyszała w mikrosluchawce głos von Baldura. - Przyjechało czterech, Grok oprowadza ich po ładowni. Jesteśmy gotowi.

- Potwierdzam, zrozumiałam - odparła Riss i ponownie zwróciła uwagę na Abiezera, który nie wstawał z fotela za biurkiem. - Przekazuję naszą rozmowę na mój statek. Nie dla oficjalnego wykorzystania, ale na wszelki wypadek.

- Dobrze - stwierdził watażka. - Nie ma to jak wzajemne zaufanie.

- Zacznijmy od terażniejszości, potem wrócimy do tego, co było - powiedziała. - Jaka jest naprawdę sytuacja w Belforcie?

- Jeśli chodzi o Torguthan? Wszędzie mają agentów, których prowadzą co najmniej od dziesięciu lat. Niektórzy są zwykłymi imigrantami, większość jednak to wyszkoleni agenci, prowokatorzy czy, zwłaszcza ostatnio, zwykli przestępcy.

- Szacowana liczebność?

- Zapewne cztery do pięciu tysięcy. Zwykle są dobrze przygotowani, co zwiększa ich siłę na tyle, że mogą sparaliżować życie społeczne. Dlatego właśnie powołaliśmy Ligę Patriotów. Naszym zadaniem jest rozbijanie ich demonstracji, rozpędzanie spotkań i przeciwdziałanie zamieszkom.

- A policja?

- Policja nic nie robi - powiedział Abiezer. - Część funkcjonariuszy nie chce mieć kłopotów, inni są po stronie Torguthu. Część po naszej. Chyba więcej ich sympatyzuje z Ligą niż z Torguthem - dodał z naciskiem. - Dlatego też ta broń bardzo nam się przyda. Przyciągniemy nowych. Ogólnie jesteśmy ciągle w mniejszości.

- A ilu was jest?

- Przepraszam, ale nikomu tego nie zdradzam.

- Przypuszczam, że chwilowo to nawet nieważne - mruknęła Riss. - Dobrze, załóżmy, że uda wam się powstrzymać rozkład porządku społecznego i powstrzymacie Torguthan. Co będziecie z tego mieli?

- Utrzymanie Belfortu ma wielkie znaczenie dla Dampieru. Dla tutejszych obywateli oznacza to zachowanie wolności i powstrzymanie tyranii.

Wypowiedział to trochę zbyt szybko. Oby dlatego, pomyślała M'chel, że ten tekst wygłaszał już wiele razy. Riss wolałaby, żeby jego słowa nie okazały się cynicznym kłamstwem.

- Rozumiem. Przejdźmy teraz do Maskowych. - Streściła mu to, co usłyszała od Givoia.

- Macie kogoś w środku - skomentował Abiezer.

- Nie przekazuję nikomu informacji na ten temat - odparła z uśmiechem M'chel.

- Co zatem chce pani usłyszeć ode mnie?

- Był pan wysoko w organizacji.

- Byłem. Niewiele mi z tego przyszło.

- Ilu ludzi zasiada w jej radzie?

Abiezer pokręcił głową.

- Nie wiem - powiedział. - Mówię prawdę. Kontaktowałem się tylko z jedną osobą.

- Czy to możliwe, że rady w ogóle nie ma? Że to jeden człowiek rządzi Maskowymi?

- Oczywiście, że nie! - zaprotestował Abiezer, ale zaraz zmarszczył czoło. - Chociaż może. Tak naprawdę nie wiem. Zgaduję tylko. Zapewne mogłoby być i tak.

Riss pokiwała głową, wyjęła kartkę papieru, napisała coś na niej i położyła na blacie czystą stroną do góry.

- Za chwilę pokażę panu, kogo mam na myśli - powiedziała.

- Nie wiem, czy zdołam to potwierdzić.

- Rozumiem - powiedziała M'chel. - Oczekuję tylko odpowiedzi, czy się mylę. Ale wcześniej coś jeszcze. Wydaje się, że akcje Maskowych są tak planowane, żeby wspierały uniwersalistów. Zgadza się?

- Tak - potwierdził Abiezer. - Ci przekłeci niezależni są dla mnie zbyt lewicowi. Podobnie jak dla każdego, kto nosi maskę. Ponieważ chodzi o to, żeby ostatecznie przejąć władzę, łatwiej nam w ramach etapu pośredniego wiązać się z uniwersalistami.

- Słyszał pan o niedawnym procesie kochanki Ladiera? Oskarżono ją o morderstwo.

- Oczywiście. Dobrze, że ją uniewinniono. Nie chciałbym żyć w społeczeństwie, gdzie

każdy może bezkarnie szargać dobre imię kobiety, powołując się na wolność prasy.

- To, co nie zostało ujawnione podczas procesu, to daleko idąca sympatia Ladiera do Torguthu.

- Co?! - wykrzyknął z niedowierzaniem Abiezer.

Riss czekała.

- Dlaczego to nie wyszło na jaw? - zapytał w końcu Abiezer.

- W zasadzie teraz staje się już wiadome - odparła Riss. - Niech pan poprosi kogoś z Montrois o ostatni krążący po mieście pamflet Fra Diavolo. Zakładam, że wie pan, kto to jest.

- Kłamiwy sukinsyn, gorszy niż wszystkie holo razem wzięte.

- Może - zgodziła się M'chel. - Jednak dla pana informacji, mogę dowieść, że tym razem nie kłamie.

- A dlaczego miałbym pani wierzyć? Do dzisiaj nie wiedziałem nawet o pani istnieniu.

- Proszę pomyśleć o broni. Po co miałabym wciskać kit, skoro oferuję panu aż tyle?

Abiezer nic nie powiedział.

- Teraz może pan już odwrócić kartkę - oznajmiła Riss.

Abiezer posłuchał i na chwilę powiększyły mu się oczy.

Aż za bardzo, pomyślała M'chel.

- Nie zaprzeczę - odparł watażka. - Ale mogę zapłacić życiem, jeśli potwierdzę.

Riss już wstała.

- Dziękuję, że mnie pan przyjął. Może pan nakazać wyładunek towaru.

Abiezer spojrział na nią i wolno pokiwał głową. Potem sięgnął po komunikator, ale wstrzymał rękę.

- Tak dla pewności... - powiedział. - Dlaczego nie zamierza pani zostać tutaj, aż zabierzemy towar?

M'chel nie podobał się ten pomysł, ale nie wiedziała, jak się od tego wykręcić.

- Mogę - odrzekła. - Przecież oboje jesteśmy słowni, prawda?

*

Minęły już trzy godziny i Riss robiła się coraz bardziej niespokojna. To trwało już za długo.

Abiezer przeprosił ją i wyszedł z gabinetu.

W końcu zdołała się połączyć ze swoimi przez mikrofon krtaniowy, by nie mówić głośno. W pokoju mógł być podsłuch.

W końcu gospodarz wrócił.

- Ostatni kontener już odebrany - oznajmił. - Widzę, że dotrzymała pani umowy. -
Podszedł do biurka. - Niestety, pewne okoliczności nie pozwalają mi dotrzymać jej warunków.

Zanim jego ręka dotarła do szuflady, Riss wysunęła z pochwy na przedramieniu obsydianowy nóż i cisnęła go z dołu w kierunku gardła Abiezera.

Nóż obrócił się w locie. M'chel nie była szczególnie biegła w posługiwaniu się tą bronią, przez co trafiła ona przeciwnika w nasadę nosa. Wystarczyło to, żeby Abiezer krzyknął z bólu i cofnął się o krok.

Drugi nóż nie chybił celu - wbił się w tchawicę. Watażka zabulgotał nieprzyjemnie, zachwiał się i padł na twarz.

Riss wyjęła umocowany na udzie mały blaster, wykopała zabezpieczenie okna i była już w połowie na zewnątrz, gdy do gabinetu wszedł sekretarz. Uzbrojony.

M'chel rzuciła jeden z ukrytych w pasie granatów hukowych i mężczyzna aż podskoczył. Zanim doszedł do siebie, strzeliła mu dwa razy w serce i wyskoczyła z budynku.

- Uciekam - rzuciła do mikrofonu i obróciła się gwałtownie, gdy zza rogu wyłoniło się dwóch wartowników. Przyklękła, oparła się o niewielkie drzewo i zastrzeliła ich obu.

- Przybywamy, szanowna marine - usłyszała w słuchawce.

Coś ryknęło jej nad głową. Jacht Star Risk wyszedł z ostrego nurkowania i zawisł na modułach antygravitacyjnych nad otwartym placem za budynkiem.

Riss usłyszała za sobą jakieś zgrzyty i obróciła głowę. Dach siedziby Ligi Patriotów rozsuwał się na boki, ukazując wielolufowe działko. Trzech ludzi uwijało się przy nim gorączkowo, montując zasobniki z amunicją.

Rozległ się huk i przeciągły syk, jakby ktoś odpalił pocisk raketowy, i M'chel padła płasko na ziemię, po czym zaraz odtoczyła się jak najdalej. Eksplozja zniosła dach budynku, rozrzucając wkoło bezwładne ciała i fragmenty działka. Nad nimi uniosła się chmura w kształcie grzyba.

Jacht przyziemił i otworzył śluzę. Riss rzuciła się do środka i włączyła natychmiast się zamknął, a statek szybko zaczął się wznosić, chociaż przy włączonych modułach pokładowych nie było tego czuć. M'chel pozbierała się i przeszła przez wewnętrzne drzwi śluzy do kabiny.

Goodnight siedział w hełmie sterującym wyrzutnią pocisków i śledził teren w dole. Von Baldur czuwał przy konsoli działka pokładowego. Grok tkwił w jedynym fotelu, który mógł go pomieścić, i patrzył na nich ponuro.

- Jeśli wszystko pójdzie dobrze, zanim miejscowe władze w tym się połapią, będziemy

już poza atmosferą - powiedział von Baldur.

- I fajnie - wykrztusiła Riss. Podeszła do barku i naląła sobie bardzo dużą brandy. Zaraz ją wychyliła. - Najbardziej smakuje wtedy, gdy wiadomo, że mogła się okazać nieosiągalna.

Goodnight zdjął hełm.

- Jesteśmy w próżni i... - Świat jakby drgnął. W jedynym odsłoniętym iluminatorze pojawiła się dziwna kotłowanina trudnych do zdefiniowania barw. - Weszliśmy w nadprzestrzeń - dodał niepotrzebnie. - Pierwszy skok. Wracamy w domowe pielesze i tak dalej. - Spojrzał na M'chel. - Jesteś mi coś winna. Chyba wiesz. Gdyby nie ja, mielibyśmy M'chel w częściach do samodzielnego montażu.

- Owszem, jestem ci coś winna - niechętnie przyznała Riss.

- Powtarzaj za mną: „Czasem nawet dumny marine robi w gacie i potrzebuje pomocy”.

M'chel spojrzała na niego lodowato, ale powtórzyła. Goodnight uśmiechnął się szeroko.

- To dla całkowitego wyrównania rachunku nalej mi jeszcze tego specjału. - W końcu zauważył spojrzenie Groka. - Sądząc po wyrazie pyska, chyba masz do nas jakieś pretensje?

- Przybyłem tu z wami, chociaż mam swoją robotę, w nadziei, że będzie okazja przetrącić parę karków - powiedział obcy. - Zamiast tego musiałem siedzieć i gapić się na akcję, która odbyła się bez mojego udziału. To nie w porządku.

- Życie bywa ciężkie - mruknęła Riss. - Jeśli potrzebujesz jakiegoś zajęcia, zastanów się, co ugryzło Abiezera. Wydaje mi się, że niczego nie spapraliśmy, a i tak stanął okoniem.

- Nie ma się nad czym zastanawiać - rzucił Grok. - To oczywiste. Wstrząsnęła nim twoja informacja, że uniwersaliści próbowali dogadać się z Torguthem. Skontaktował się więc ze swoim panem.

- L'Pellerinem - powiedziała Riss. - Cholera. To potwierdza wszystkie nasze teorie. Przypuszczam, że wywołałam lawinę. Pewnie byłam za sprytna. Już w chwili przejęcia broni nie miał żadnego powodu, żeby mnie zatrzymać. Powinam była lepiej to zorganizować. Walnąć go w ciemną skarpeta pełną ołowiu, a potem pozwolić, żeby Chas zrobił mu pedicure. W końcu wszystko by wyśpiewał. Sopranem.

Grok pokiwał głową.

- Teraz mamy już pewność - powiedział - że L'Pellerin jest zarówno zdrajcą, jak i szefem Maskowych. Musiał złożyć Abiezerowi propozycję wartą grzechu.

- Jaka? - spytał von Baldur.

- Przypuszczam, że Torguth dogadał się z L'Pellerinem już dawno temu. Ktoś taki byłby idealnym marionetkowym władcą Dampieru. Traktowałby to jako ekwiwalent szabli czy buławy marszałkowskiej, o czym wspominała kiedyś Riss. A że Abiezer pracował dla

L'Pellerina, też musiał mieć coś obiecać, skoro wyjechał na Belfort. Zapewne posadę miejscowego satrapy. W sumie niewiele by się dla niego zmieniło, poza adresem, spod którego przychodziłyby rozkazy. Wszystko, co musiał zrobić, to zlikwidować Riss i resztę naszego zespołu, a sytuacja wróciłaby do normy. Tyle że konflikt między agentami Torguthu a Ligą Patriotów zakończyłby się nagle bez widocznej przyczyny. Torguth zająłby Belfort i kolaborant Abiezer zostałby tutejszym władcą. Umowa z L'Pellerinem pozostałaby w mocy i gdy w końcu Torguth opanowałby Dampier, czy to dokonując inwazji, czy przez działania agenturalne i dywersję, L'Pellerin też zasiadłby na tronie. Wszystko się zgadza. Chyba powinniśmy czym prędzej wrócić na Montrois. Szef BID musiał się już dowiedzieć o śmierci Abiezera i zakładam, że będzie chciał się nami zająć, a Jasmine została sama na gospodarstwie i za całe wsparcie ma tylko najemną siłę roboczą.

51

Ku ich zaskoczeniu w posiadłości panował spokój i nie czekały ich żadne niespodzianki.

Przyszło im do głowy, żeby wspólnie uczcić sukces, uznali jednak, że zasadniczo lepiej się walczy bez kaca. A mieli podstawy sądzić, że przeciwnik jednak nie da im spokoju.

Przecucie ich nie myliło. L'Pellerin widocznie wolał poczekać, aż wszystkie ptaszki wrócą do gniazda, i ukreć im łebki za jednym zamachem.

Szturm rozpoczął ciężki ślizgacz, który wpadł z wyciem na uliczkę, skręcił gwałtownie, staranował bramę i stanąwszy w płomieniach, zabił dwóch strażników. Z góry Maskowi woleli nie atakować, przekonani zapewne, że Star Risk ma dość broni przeciwlotniczej.

Zamiast jednak zaskoczyć wszystkich we śnie, zastali poranną zmianę na nogach, a ściślej w jadalni przy śniadaniu. Ledwie pół godziny wcześniej mieliby szansę wyrwać ich z łóżek.

Tak się jednak nie stało, toteż dwa kolejne ślizgacze, które się pojawiły, oba z dodanym opancerzeniem kabin i ciężkim uzbrojeniem, dostały się natychmiast pod intensywny ogień, gdy musiały wznieść się trochę, przelatując nad rozbitym pojazdem. Pierwszy runął tuż obok płonącego wraku, pilot drugiego zginął trafiony pociskiem i jego ślizgacz roztrzaskał się na podjeździe.

- Ruchy, ruchy, ruchy - pokrzykiwali obrońcy posiadłości, zajmując stanowiska za ślizgaczami, drzewami oraz posągami i wyszukując sobie cele. Jeden po drugim napływały

meldunki o kolejnych trafieniach. O co jak o co, ale o morale swoich ludzi Star Risk nie musiało się martwić.

Do tej pory wszyscy członkowie zespołu obudzili się i czym prędzej kompletowali odzienie oraz uzbrojenie. Następna wymiana ognia zakończyła się śmiercią jednego ze strażników i pół tuzina Maskowych. Napastnicy zaczęli się cofać, szukając osłony.

- Mamy przewagę ogniową! - zawołał von Baldur.

- Nie! - odrzyknęła Riss. - Te dranie na coś czekają!

- Nie pozwólmy więc im się nudzić - powiedział Goodnight i strzelił z ciężkiego blastera w rosnące kłęby dymu.

- Zauważyliście? - spytała zdumiewająco spokojna King. - Nie słyhać żadnych syren.

- Musimy sami wykuć sobie przyszłość - stwierdził Grok. - L'Pellerin zadbał, żeby gliny nie interweniowały. Dla mnie to żaden problem, bo mam ochotę porozrywać kilka osób na sztuki.

Ładowniczy Goodnighta pisnął przerażony.

Riss wcześniej to usłyszała, niż zobaczyła. Ku posiadłości sunęło wielkie działo samobieżne na gąsienicach. Opuściło wsporniki stabilizacyjne i włączyło wsteczny bieg, żeby ich ostrza zagłębiły się w ziemi, po czym uniosło armatę i wymierzyło ją w budynek.

- Padnij! - krzyknął Goodnight, dając dobry przykład. Pocisk roztrzaskał olbrzymie drzwi wejściowe i wleciał do środka. Musiał być pociskiem przeciwpancernym, bo eksplodował dopiero w magazynku na tyłach.

Pojazd ruszył przed siebie i uderzył we wrak ślizgacza. Cofnął się i uderzył raz jeszcze, próbując oczyścić drogę.

Von Baldur podszedł do okna z wyrzutnią pocisków do niszczenia ciężkich pojazdów i wycelował. Rakietą uderzyła w pancerną osłonę armaty i zrykoszetowała ku górze, nie czyniąc nikomu krzywdy.

- Cofamy się! - zawołał Friedrich. - Zaatakujemy ich z flanki.

Skinął na strażników, którzy złapali po dwie wyrzutnie. Pochyleni przebiegli przez dom do tunelu i dalej, do garażu. Gdy von Baldur chciał otworzyć drzwi, zostały zasypane gradem pocisków.

- Niech to, odkryli nasz sekret - powiedział i wrócili tą samą drogą, którą przyszli.

Działo samobieżne wciąż masakrowało wrak, powoli spychając go na bok. Armaty znów przemówiła - tym razem zniosła sporą część dachu posiadłości.

- Ciekawe, czy mają zgodę miejskiego architekta - rzucił Goodnight, zastanawiając się, czy nie przejść w trybie szybkim na lepsze stanowisko strzeleckie.

Po podłodze potoczył się wrzucony przez okno granat. Riss, dla której czas nagle zwolnił, spojrzała na niego chwilę przed eksplozją, która odrzuciła King gdzieś do tyłu i poraniła odłamkami nogę Chasa. Goodnight krzyknął i upadł, Jasmine po chwili się poruszyła, ale nie wstała.

Riss dźwignęła się na kolana i dostrzegła dwóch Maskowych, którzy podeszli dość blisko, żeby rzucić granat. Jeden z nich ścisnął już kolejny, ale zatrzymał ich ogień M'chel. Odbezpieczony granat wysunął się z martwej dłoni i eksplodował.

- Dzięki - powiedział Goodnight przez zaciśnięte zęby i spróbował wstać. - Weź wyrzutnie. Idź na drugie piętro, do bocznej sypialni. Tam jest kładka prowadząca do domu na sąsiedniej posesji.

- To dlatego...

- Chyba nie myślisz, że emablowałem tę starą dla jej seksapilu - warknął Chas. - Idź już, do cholery! Powiedz jej, że przesyłam pozdrowienia i że zapłacimy za szkody.

Podciągnął się do ciężkiego blastera, przy którym jęczał ładowniczy. Wypuścił resztę amunicji na podjazd, celując głównie w działo, które nie uporało się jeszcze z wrakiem.

Riss zobaczyła, że strażnicy zajęli miejsca w oknach od frontu i strzelają do Maskowych, najwyraźniej czekających, aż opancerzony pojazd odwali najtrudniejszą część roboty. Potem pobiegła na górę z wyrzutnią w każdej ręce. Za nią sadył Grok, bez trudu dźwigający ciężki blaster na trójnogu i dwa bębny z amunicją.

Dotarła na drugie piętro i wykopała drzwi nieużywanej sypialni. Była pusta, poza długą żelazną kładką z zaczepami spadaka na końcach. Sypialnia miała podwójne okno, które M'chel zaraz otworzyła.

Niecałe cztery metry dalej wznosiła się wieżyczka sąsiedniego domu. Riss włączyła moduł spadaka i wraz z Grokiem przerzuciła kładkę na drugą stronę, wybijając nią jedno z okien w wieżycze.

Działo odezwało się ponownie i cały dom się zakołysał.

Riss złapała wyrzutnie i przebiegła na drugą stronę. Znalazła się w dawnym pokoju dzieciennym pełnym starych i zakurzonych lalek. Zaraz po niej przeszedł Grok, chociaż kładka wygięła się niebezpiecznie pod ciężarem obcego i uzbrojenia.

M'chel wciągnęła go do wieżyczki i czym prędzej odszukali schody. Otworzyły się jakieś drzwi i wyjrzała z nich przerażona twarz, jednak zniknęła, zanim Riss zdążyła przykazać pozdrowienia od Goodnighta.

Poczuła unoszącą się w domu woń kurzu, brudu i nie mytego ciała, zaraz jednak była już przy frontowych drzwiach. Ogród od frontu okazał się zarośnięty, drzewa i wysokie krzaki

dawały idealną osłonę. Brama była zamknięta, uległa jednak pod ogniem z ciężkiego blastera, hałas zaś zginął w zgiełku bitwy. Wyszli na ulicę.

Dwaj Maskowi skryci za ślizgaczem odwrócili głowy i zginęli z wyrazem zaskoczenia na twarzach. Grok oparł broń na tylnej klapie ślizgacza. Wejście do ich rezydencji było trzydzieści metrów dalej. Działo samobieżne walczyło z wrakiem, cofając się i atakując niczym zwariowany robot. Opancerzone było tylko z przodu, z tyłu przedział załogowy był otwarty.

Riss odbezpieczyła wyrzutnię i wycelowała starannie. Obsługa działa ładowała właśnie kolejny pocisk.

Czas znowu zwolnił.

Naciskając na język spustowy, M'chel widziała, jak jeden z artylerzystów odwraca się, dostrzega nowe zagrożenie i otwierając usta do krzyku, unosi rękę. Zaraz potem rakietą wystrzeliła z rury wyrzutni, błyskawicznie pokonała niewielki dystans i uderzyła w odsłonięty przedział załogi.

Doszło do podwójnej eksplozji, bo detonował także pocisk w lufie działa, rozrywając je na strzępy. Załoga zniknęła w kuli ognia, chwilę później cały pojazd ogarnęły płomienie.

Maskowi na ulicy gapili się na to przez chwilę, póki Grok nie otworzył ognia, wyrrywając ich z oszołomienia. Tak jak kiedyś, zaczęli uciekać w górę ulicy.

M'chel odpaliła drugą raketę. Trafiła w plecy uciekającej kobiety, rozdarła ciało i eksplodowała na stojącym krok dalej ślizgaczu. Grok opróżnił jeden magazynek, potem kolejny.

Ulicę zaścielały pokrwawione ciała i płonące wraki pojazdów, ale niewiele było słychać jęków. Czasem tylko jakiś pocisk rozerwał się w ogniu.

Dopiero wtedy odezwały się syreny „stróżów prawa”.

*

Straty były dotkliwe.

Spośród dwudziestu strażników sześciu zginęło, ośmiu było na tyle poważnie rannych, że trzeba było rozwiązać z nimi umowy i wypłacić premię za obrażenia. Cały personel posiadłości uznał, że woli spokojniejszą pracę, i złożył wymówienie, żądając biletów powrotnych.

Jasmine trafiła do łóżka, przy którym czuwała Riss oraz jeden z dwóch sprowadzonych przez von Baldura lekarzy.

- Nie lubię ich - powiedziała Jasmine, nie otwierając oczu.

Riss uniosła brwi.

- Wstrząs wywołany falą uderzeniową - oznajmił lekarz. - Przez tydzień będzie trochę słaba i rozkojarzona. Codziennie będę sprawdzał stan jej zdrowia.

Obok, na leżance, siedział Chas Goodnight i patrzył, jak drugi lekarz składa mu złamaną nogę. Gdy go to znudziło, rozejrzał się po pokoju.

Budynek stracił nieco na wartości. Brakło dużego kawału dachu i wszystkich okien od frontu, wewnątrz podziobały odłamki pocisków artyleryjskich. W powietrzu unosił się pył o barwie tynku.

- Chyba podniosą nam stawkę za ubezpieczenie - mruknął Chas i skrzywił się. - Poproszę jeszcze jeden środek przeciwbólowy.

- Zaraz - odpowiedział lekarz. - Muszę się jeszcze upewnić, że nie ma żadnych odłamków.

Jasmine otworzyła oczy i uniosła się na łokciu.

- W głowie mi się kręci - powiedziała cicho. - Czas poważnie zająć się panem L'Pellerinem.

52

Okazało się jednak, że to nie takie łatwe.

Po zbadaniu budynku BID przekonali się, że zasadniczo jest on odporny na wszystko poza frontalnym atakiem zespołu floty kosmicznej albo ryjącego pod ziemią pełzacza z głowicą atomową. Do tego dochodziły posterunki straży w sąsiednich domach oraz zmieniani co godzina snajperzy na dachach.

Gdy L'Pellerin wychodził na zewnątrz, zawsze otaczała go gromada ochroniarzy, latał zaś w opancerzonych ślizgaczach na cywilnych numerach.

- Zresztą zabicie go niczego by nie rozwiązało, tyle że Torguth miałby utrudniony dostęp do tutejszych tajnych dokumentów - powiedział Grok. - Poza tym obwołano by go męczennikiem sprawy Dampiera. Bohaterem, który poświęcił wszystko i tak dalej. Tu trzeba rozważać i subtelniejszego działania.

Zgodzili się z nim, zwłaszcza że i tak nie mieli wyjścia.

King doszła w pełni do siebie, chociaż jeszcze dwa miesiące później nękały ją dokuczliwe bóle głowy. Goodnight też wyzdrowiał. Rany od odłamków goiły się czysto, noga

się zrastała, chociaż Chas co rusz ją nadwierał, łażąc po całym domu i jęcząc, że nie może wykonywać swojej roboty.

Riss powiedziała mu słodkim głosem, że to żaden problem, bo ona sama daje sobie świetnie radę.

- Ostatecznie co ma do roboty zwykły żołnierz w porównaniu z marine? - Poklepała go po policzku. - Wiem, że masz problem, bo nie wiesz, czy Caranis to szpieg czy niewinne dziecko, Ale się nie przejmuj. Ciocia Riss panuje nad sytuacją.

Chasowi oczywiście ani trochę nie poprawiło to humoru.

Zniszczenia domu były tak poważne, jak Goodnight się obawiał, i trzeba było zatrudnić wielką ekipę remontową. Rzecz jasna nieustannie ją nadzorowali strażnicy Star Risk. Chas nalegał przy tym na robotników, żeby wywiesili nad wejściem transparent z napisem „Bardzo się staraliście, ale nie wyszło” i rysunkami masek po obu stronach.

Maskowi oberwali, i to potężnie. Policja, która raczyła się zjawić po wszystkim, naliczyła osiemdziesiąt trzy w różnym stopniu zdekompletowane ciała. Działo samobieżne zostało wykradzione, jak policjanci powiedzieli von Baldurowi, z jednostki artylerii przez Maskowych, którzy mieli za sobą służbę wojskową. Friedrich nawet tego nie skomentował, w każdym razie nie publicznie.

*

Była też jedna dobra wiadomość: Cerberus wycofał się po cichu z Dampieru, udając, że nigdy go tu nie było. Szefostwo firmy musiało dojść do wniosku, że straciwszy kontrolę nad rozwojem wydarzeń, nie może już zrobić nic innego.

- Pokonani bez walki - zachichotał Goodnight.

- Miejmy nadzieję - odezwał się Grok - że z czasem nasi przeciwnicy przeminą jak żmirlące.

- Kto?

- Nieważne. To ze starej ziemskiej poezji.

- Jasne - prychnął Chas. - Pewnie takiej, co się nawet nie rymuje. Dobra, to nie na moją głowę.

*

Kampania wyborcza była trudna i bardzo agresywna.

Uniwersaliści prowadzili ją pod hasłami utrzymania prosperity, pokoju i warunków umożliwiających rozwój gospodarki. Zgodnie z przewidywaniami Reynarda Faraon

występował jako ich główna gwiazda. Incydent na Belforcie bagatelizowali, głosząc, że był to nieszczęśliwy wypadek, zapewne budowlany, ale koniec końców Liga Patriotów jest na bakier z prawem.

Niezależni przyjęli inny kurs. Dowodzili, że na Belforcie doszło do ataku komandosów z Torguthu, a Liga Patriotów, chociaż rzeczywiście nie zawsze działała w granicach prawa, ma solidną, patriotyczną podbudowę.

Polityka obu partii musiała bardzo zaskoczyć ludzi w maskach i von Baldur głośno chichotał, ilekroć pomyślał, jak też L'Pellerin musi się gimnastykować, próbując to wszystko wytłumaczyć swoim matołkom z pałami.

Reynard obiecał, że jeśli niezależni wrócą do władzy, „Dampier będzie musiał zapłacić pewną cenę za wolność i niezależność”.

Uniwersaliści syknęli zaraz, że tak nieprzemysłana postawa może doprowadzić do wojny i że pierwszym posunięciem konkurencji będzie na pewno ogłoszenie mobilizacji, a kto wie, jak zareaguje na to Torguth.

Co ciekawe, Reynard nie zaprzeczył, że pewne „grupy społeczne” płci obojga mogą zostać powołane.

Maskowi nie odgrywali w tym na razie większej roli. Owszem, próbowali rozbić kilka wieców niezależnych, ale szybko zostali odparci przez własną ochronę partii. Mało kto rozumiał, dlaczego tak mało ich widać, tylko ludzie ze Star Risk mieli gotową odpowiedź. Maskowi oraz ukryci wśród nich agenci BID lizali jeszcze rany i nie mieli siły na nic więcej.

Media wyraźnie się podzieliły. Zwykle to uniwersaliści, należący wszak do partii ludzi bogatych, grali w nich pierwsze skrzypce, jednak gdy Reynard zaczął nawoływać do wzmocnienia armii, część magnatów przemysłowych stanęła po jego stronie, wiedząc, że gdzieś rząd będzie musiał tę broń kupić.

Fra Diavolo też rozkręcił swoją maszynę propagandową, zaleciwszy podwładnym, żeby raczej wspierali niezależnych. Policja Montrois przyjęła bezpieczną, neutralną postawę, przynajmniej oficjalnie.

- Kant postawiony na sztorc - skomentował rzecz po swojemu Grok. - Dobrze, że nasze rządy działają inaczej. Tutaj wszystkim brakuje zdolności logicznego myślenia. Nikt nawet się nie zająknął o rozmowach pokojowych z Torguthanami. Albo chcą ich ignorować, albo walić ze wszystkich łuf.

- A jak działają wasze rządy? - spytała go Riss.

- Najpierw poddajemy sprawę pod wnikliwą dyskusję, a gdy w końcu wszyscy dochodzimy do porozumienia, urząd obejmuje ten, kto ma akurat na niego ochotę.

Riss zadrżała.

- Pachnie dyktaturą - stwierdziła. - Z ludźmi by się to nie udało. Nie potrafimy zgadzać się w jakiegokolwiek sprawie dłużej niż tydzień. Potem sięgamy po pałki i kamienie.

- Słyszałem kiedyś, że demokracja to bardzo zła forma rządów i jedyny jej plus to taki, że inne sprawdzają się jeszcze gorzej - powiedział von Baldur.

Grok tylko parsknął.

*

Rozmówca się nie przedstawił. Chciał mówić z M'chel Riss. Obraz się nie pojawił.

- Słyszałem, że interesujecie się poczynaniami pułkownika Caranisa z Wywiadu Strategicznego - powiedział anonim, który bez dwóch zdań musiał korzystać z urzędnika zniekształcającego cechy mowy.

- Owszem - przyznała Riss.

- Dwanaście kilometrów od Tuletii, przy drodze do S'kaski, stoi zajazd Montpellier. Dziś wieczorem, o ósmej. Bądźcie wcześniej.

Połączenie zostało zerwane.

- Kto to mógł być? - zastanowiła się King.

- Albo to pułapka, albo ktoś z podwładnych Diavola - odparła Riss.

- Kogo weźmiesz jako wsparcie?

Riss pokręciła głową.

- Nie wiem - powiedziała. - Na wszelki wypadek wyślę jeden z patrolowców na niską orbitę. Na ziemi... Jeśli tam będzie Caranis... Groka i von Baldura już widział, Chas pewnie by się rozpadł, gdyby wszedł w tryb szybki ze złamaną nogą. Może jednego z naszych strażników?

- Ja pojedę - rzekła King.

Riss długo się nie zastanawiała.

- W porządku - rzekła. - Dlaczego nie. Wieczór na wsi dobrze nam zrobi.

*

Zajazd Montpellier okazał się całkiem sporą plebanią, którą ktoś wielkim nakładem kosztów zmienił w restaurację. Sądząc po kolekcji limuzyn na parkingu, była ona nastawiona na bardzo bogatą klientelę. Wśród wozów brakło należącego do Caranisa sikorsky'ego-bentleya.

Riss zaparkowała tak, żeby mogła łatwo wystartować. Było pół do ósmej.

- Dobrze miejsce na zasadzkę - powiedziała Riss, wstępując na schody.

Obie były w strojach wieczorowych dobranych tak, by najsilniej oddziaływały na mężczyzn. Szykując się do wyjścia, kierowały się teorią M'chel, która uważała, że każdy sposób jest dobry, byle osłabiał przeciwnika. Riss wybrała czarną spódnicę, kremową bluzkę i czarny żakiet. King włożyła elegancką pidżamę dzienną utrzymaną w tonacji bieli i zieleni. Obie miały buty na płaskim obcasie na wypadek, gdyby trzeba było uciekać, i poukrywaną w różnych miejscach broń.

- Gdzie potem z nimi jedziemy? - spytała King.

- Wszystko jedno.

- Wydaje mi się, że zbyt długo byłeś w wojsku.

Riss zastanowiła się nad tym.

- Nie zaprzeczę - powiedziała z westchnieniem. - O wiele milej byłoby przyjechać tu i nie zastanawiać się, na którym drzewie najlepiej usadzić snajpera i gdzie postawić moździerz. I móc wypić do woli.

King poklepała M'chel po ramieniu.

- Potem będzie czas na wszystko - pocieszyła ją. - Prawie wszystko.

Powitano je przy drzwiach, a ponieważ nie miały rezerwacji, zaprowadzono je do baru, gdzie poprosiły o miejsca przy oknie.

Riss zamówiła lekkiego drinka z wodą gazowaną, King kieliszek wina. Bawiąc się szkłem, podjęły pozornie zwyczajną rozmowę. Za pięć ósma przed zajazdem wylądowała długa czarna limuzyna.

Oprócz szofera wysiadł z niej tylko jeden mężczyzna. Szofer rozejrzał się uważnie wkoło, gdy pasażer wchodził do restauracji, jednak chyba nie dostrzegł niczego niepokojącego. Wrócił do wozu i wtedy pojawił się trzeci. Był starszy, bardzo wysoki, z szopą siwych włosów. Też wszedł do środka i spojrzał w stronę baru.

Riss i King uśmiechnęły się do niego przyjaźnie. Uniósł brwi, odpowiedział im szerokim uśmiechem i skierował się do restauracji.

Dwie minuty później wylądował sikorsky-bentley. I z niego wysiadły dwie osoby, sprawdziły lokal i wróciły do wozu.

King stłumiła wzbierający w niej chichot.

- Oni naprawdę sobie ufają - szepnęła.

Pułkownik Caranis też w końcu wysiadł. Ubrany był zwyczajnie, ale drogo. Wszedł do zajazdu, nie spojrzał na bar, tylko od razu dosiadł się w restauracji do starszego mężczyzny.

Jeden ochroniarz pozostał na tyłach, drugi w środku, trzeci stał przed wejściem.

King i Riss uznały, że pora coś zjeść. Jako że był środek tygodnia, sala wypełniona była tylko w połowie. Zgodnie z życzeniem dostały stolik po przeciwnej stronie sali niż obaj umówieni panowie, którzy zamówili najpierw po trzy drinki, a potem obiad. King i Riss też zamówiły coś konkretniejszego. Mężczyźni tymczasem wybrali musujące wino. Starszy popijał je w niezłym tempie.

- Szkoda, że nie mamy podsłuchu na tamtym stoliku - powiedziała King, bezgłośnie poruszając wargami. Riss skinęła głową i zaśmiała się, jakby właśnie usłyszała dobry kawał. Zjawił się kelner z daniami i Riss zaczęła zastanawiać się co dalej.

W połowie posiłku starszy mężczyzna wstał, beknął dyskretnie i udał się do toalety.

To było to. Riss odczekała minutę, przeprosiła Jasmine i ruszyła za starszym panem. Weszła do damskiej toalety i przystanąła, nasłuchując. Ochroniarz przy drzwiach stracił w jej oczach. Nie powinien był spuszczać klienta z oka, nawet jeśli nie uważał tego miejsca za szczególnie niebezpieczne.

Usłyszała szum spłuczki i wyszedłszy, jakby w pośpiechu, potrafiła starszego mężczyznę. Potknęła się przy tym i padła na kolana. Mężczyzna zaraz się nad nią pochylił.

- Nic się pani nie stało? - zapytał.

- Nie, nic. W porządku - powiedziała. - Bardzo pana przepraszam, gapa ze mnie.

Pomógł jej wstać. Uśmiechnęła się do niego ciepło, zachęcająco.

- Powinnam postawić panu drinka za ten wypadek - stwierdziła.

- Nie, nie, to chyba ja powinienem panią zaprosić. I pani przyjaciółkę też. Często tu pani zagląda?

- Co jakiś czas - mruknęła Riss. - Zwykle wtedy, gdy jest szansa na dobre towarzystwo. Sama albo z przyjaciółką.

- Aha. Chętnie usiadłbym dzisiaj z paniami przy barze, ale niestety jestem tu w interesach.

- Może innym razem - powiedziała Riss i sięgnęła do torebki. Uważając, żeby nie dostrzegł pistoletu, który w niej trzymała, wyjęła wizytówkę.

Widniało na niej: „Mandy Daves, terapie odprężające”, a pod spodem był jeden z numerów posiadłości wynajętej przez Star Risk, który odpowiadał jedynie powtarzalnym „Halo”.

Mężczyzna przyjrzał się Riss, bezwiednie przesunął językiem po wargach i sięgnął do wewnętrznej kieszeni garnituru po własną wizytówkę: „Lesnowth Almahara, zastępca dyrektora Chetwynd Industries”.

- Chyba powinniśmy się dzwonić - powiedziała M'chel. - Wolę dojrzałych panów...

Zawsze jest z nimi o czym rozmawiać.

Almahara uśmiechnął się raz jeszcze, tym razem łakomie, i każde wróciło do swojego stolika.

*

- Mam go - powiedziała King. - Chetwynd Industries buduje konstrukcje obronne. Jest jednym z twórców systemu obrony orbitalnej Belfortu.

- Zadowolony? - spytała Riss, patrząc na Goodnighta.

- Miłe spotkanie przy obiedzie w spokojnym lokalu - stwierdził rozmarzonym głosem Chas. - I na pewno równie miła koperta przekazana pod stołem, żeby pan pułkownik nadal mógł się cieszyć urokami życia. Nic dziwnego. Szef Ila musi wiedzieć wszystko o planowanych wydatkach na obronę i preferencjach przy wyborze wykonawców. Być może także w wypadku Światów Belfort. Nasz Caranis okazał się zwykłym łapówkarzem. Żaden z niego szpieg. Nie jest wart naszego wysiłku. Myliłem się. To L'Pellerin.

- Ho, ho - odezwała się Riss.

- Dlaczego się nie chwalisz, że miałaś rację? - zapytał Goodnight.

- Bo patrzę Jasmine przez ramię na plan podróży Almahary oraz numer „Pacyfisty” z zapowiedzią nadchodzącego święta i chyba już wiem, jak przyszpilić L'Pellerina. Na dobre, z kolkiem w sercu i publicznym potępieniem włącznie. Zakładając oczywiście, że wciąż coś potrafię.

53

Ogłoszenie zamieszczone bez rozgłosu w kilku gospodarczych periodykach Torguthu:

SZANSA INWESTYCYJNA

Poszukuje się inwestorów chętnych ulokować swoje środki w pewnym układzie planetarnym, który zostanie niebawem otwarty dla działalności gospodarczej. Istnieje wielka szansa na znaczące profity, interesująca zwłaszcza dla osób bardzo zainteresowanych rozwojem Torguthu. Obszary potencjalnej działalności to eksploatacja bogactw mineralnych, rolnictwo, ciężki i lekki przemysł. Poważni inwestorzy otrzymają preferencyjne warunki i

dużą swobodę działania. Gwarantowany dopływ siły roboczej oraz pełna współpraca agencji rządowych. Po więcej informacji należy się zwrócić do...

54

Pułapkę na L'Pellerina należało starannie zastawić.

Wiązała się ona z miejscowym świętem zwanym Balem Artystów, które wcale nie było balem i nie miało nic wspólnego z artystami, chyba że byli oni bardzo bogaci. Innych po prostu nie zapraszano. Być może we wczesnych latach kolonizacji wyglądało to inaczej, ale teraz została już tylko nazwa. Trwający pięć dni Bal Artystów był to zjazd różnych ważnych postaci Dampieru. Dziennikarze i wszelkiej maści outsiderzy oraz krytycy porządku społecznego nie mieli nań wstępu.

Odbywał się on na odizolowanej wyspie na południu Montrois. Stały tam małe i duże domki, większe i jeszcze większe restauracje, sale konferencyjne i wszystkie udogodnienia rekreacyjne, jakie można sobie zamarzyć. Obsługa była specjalnie dobierana: w grę wchodziły tylko osoby o najwyższej fachowości, i to szczególnie atrakcyjne.

Czasem jacyś dziennikarze próbowali potajemnie przeniknąć na wyspę, ochrona jednak wyłapała ich co do jednego i pod eskortą cofnęła na stały ląd, nierzadko z obrażeniami cielesnymi.

Od ponad stulecia Bal Artystów był przedmiotem wielu spekulacji i pogłosek. Mówiono, że to na nim elita Dampieru planuje przyszłość układu. Na nim zawiera sojusze i dzieli łupy. Na nim rozwiązuje spory.

Większość tych plotek i domysłów była zgodna z prawdą.

Krążyły też inne opowieści. Podobno nikt nie brał tam swojego legalnego męża czy legalnej żony. Jeśli ktoś puścił farbę o tym, co się wydarzyło podczas Balu Artystów, tracił pozycję albo i więcej. Popołniono tam dotąd około dwustu morderstw. Sprawy wyciszono. Wielu bogatych ludzi zostało bankrutami po nocy spędzonej na grze o wysokie stawki. Co noc odbywały się jakieś orgie.

Media co roku wyśmiewały tę imprezę jako spęd bogatych degeneratów, ale jeździli tam niemal wszyscy mogący liczyć na wejściówkę.

Dwa dni przed balem M'chel spotkała się z Reynardem w sztabie wyborczym jego partii, w olbrzymim gabinecie należnym wodzowi, udekorowanym już w przewidywaniu przyszłego

zwycięstwa.

Przede wszystkim powiedziała mu o graniczących z pewnością podejrzeniach dotyczących L'Pellerina.

Były i przyszły premier był wstrząśnięty.

- Od dawna ma za wiele władzy i znany jest z tego, że jej nadużywa - powiedział. - Wspomniałem kiedyś, że jest skorumpowany, ale czegoś takiego nie oczekiwałem. Zdrajca. Nic dziwnego, że tak szybko potępił Sufyerda. Miałem rację, miałem rację, ale na bogów, jaką cenę przyjdzie za to zapłacić?

M'chel dodała też, że L'Pellerin jest jednoosobowym kierownictwem Maskowych, co wywołało u Reynarda drżenie dłoni. Usiadł z impetem za biurkiem.

- Podać panu coś? - zapytała Riss.

- Tak... Brandy. Karafka stoi w barku.

M'chel omal się nie uśmiechnęła. Szło lepiej, niż oczekiwała. Znalazła karafkę, nalala trunku do szklanki i podała drinka Reynardowi, który szybko się z nim uporał.

- Co teraz zrobimy? - odezwał się. - Co możemy zrobić? Jeśli go oskarżę... dojdzie do skandalu. Według wiarygodnych informacji ma kwity prawie na wszystkich polityków. Zmuszony do walki o życie nie zawaha się ich zniszczyć. W tych trudnych czasach byłaby to katastrofa.

Riss nie zapytała, czy L'Pellerin ma także coś na Reynarda.

- Spokojnie - powiedziała. - W każdym razie bez paniki. Mamy pomysł, jak rozwiązać ten problem. Potrzebujemy tylko pańskiej pomocy. - Riss wyjaśniła mu, co musiałby zrobić.

Reynard energicznie pokiwał głową.

- To niewiele... - rzekł. - Tak, jestem pewien, że uda się go zaprosić na Bal Artystów, choć to już tylko kilka dni, a on niekiedy wyrażał się o nim pogardliwie. A to drugie... Znowu żaden problem, zwłaszcza wobec obecnego problemu z Torguthem. Niemniej, szczerze mówiąc, nie wiem, czy powinienem wziąć udział w balu. Przykro mi to mówić i zapewne wyjdę na tchórza, ale wybory będą niełatwe i wolałbym uniknąć kłopotów.

M'chel, która uważała Reynarda właśnie za tchórza, zapewniła go, że Star Risk zadba, aby nie musiał tam jechać, i to tak, że jego nieobecność będzie całkowicie usprawiedliwiona.

Dawno już wszystko przemyśleli i zadbali o szczegóły.

*

Goodnight patrzył z podziwem, jak Grok sprawnie obchodzi się ze szklanym wyposażeniem małego laboratorium chemicznego.

- Świetny ten twój wynalazek - powiedział Chas.

- Dziękuję - odparł Grok, unosząc wypełnioną czymś menzurkę. - To szczególnie silna wersja trithiopentalu. Zakładając, że wszystko pójdzie dobrze, powinna zadziałać dokładnie tak, jak chcemy.

- Lepiej żyć w zgodzie z chemią - mruknął Goodnight. - Chciałbym zobaczyć, co się stanie, gdy nasza miłosierna Riss doleje tego Reynardowi do drinka.

55

Nikt nie wiedział, co właściwie się stało z patrolowcem *Webb*. W każdym razie nikt w układzie Dampier ani na Światach Belfort. *Webb* należał do tuzina przestarzałych jednostek skierowanych do Belfortu, żeby wspierały służbę celną. Jedyna wiadomość, którą przesłał na standardowej częstotliwości, nim zniknął, lecąc do bazy na Belfort II, informowała o napotkaniu nieznanego jednostki, która wyszła z nadprzestrzeni i chyba nie mogła do niej powrócić.

Chodzi zapewne o frachtowiec oczekiwany dopiero jutro, który przybył przed czasem. Podejźmy bliżej sprawdzić, czy wszystko w porządku. Czekać na tej...

I tutaj przekaz się urywał.

Dowództwo próbowało wywołać patrolowca. Z początku spokojnie, jako że stary sprzęt znany był z awaryjności, potem coraz energiczniej.

Nie doczekano się odpowiedzi.

Wysłano jednostki poszukiwawcze, ale żadna nie natrafiła na najmniejszy nawet ślad *Webba*.

Rząd na wszelki wypadek trochę odczekał, po czym ogłosił, że *Webb* zaginął, zapewne na skutek jakiegoś wypadku, i dodał, że nawet obecnie zdarzają się takie katastrofy. Wyrażono ubolewanie i na koniec wspomniano, że „brak jakichkolwiek dowodów, aby w to zdarzenie mógł być zaangażowany Torguth”.

Star Risk wyraziło opinię, że *Webb* natknął się na jednostkę szpiegowską Torguthu, która pierwsza otworzyła ogień.

Wszystko to działo się w przeddzień Balu Artystów.

Riss nie cierpiała cieszyć się z czyjejś śmierci, ale praca to była praca.

W ciągu kilku godzin uliczni śpiewacy w Tuletii ułożyli balladę *Zagląda „Webba”*, wykorzystując starą melodię ludową.

Nagrało ją wielu dobrych miejscowych piosenkarzy i szybko stała się popularna na całej planecie.

56

Nie była to ważna informacja, toteż tylko niektóre dzienniki podały, że były premier Reynard robi sobie krótki urlop od „trosk i obowiązków związanych z kampanią wyborczą, podczas którego spotka się z zaufanymi doradcami i innymi osobami”.

Reynard wciąż jednak nie miał ochoty udać się na Bal Artystów, i niecierpliwie wypatrywał Riss, która obiecała go przed tym wybronić. Nie pojawiała się jednak, a on nie mógł jej nigdzie znaleźć i coraz bardziej powątpiewał w skuteczność planu Star Risk. Oby tylko nie posunęli się do odegrania próby zamachu, myślał. Takie zdarzenia mszczą się strasznie na spodniach od garnituru, zwłaszcza na kolanach.

Łyknął sobie na odwagę i skierował się do pokoju prasowego. Z lekka zaczął mu się buntować żołądek, ale kazał mu przestać. Zaraz miał stanąć przed kamerami i musiał być tak spokojny jak to tylko możliwe.

Uśmiechnął się do garstki obecnych w sali reporterów i pozdrowił wszystkich, których znał. Czyli większość.

- To rutynowa sprawa, szanowni państwo - zwrócił się do nich. - Jak już powiedział mój sekretarz, zrobię sobie kilkudniowy urlop...

Nagle sprawa przestała być rutynowa. Reynard zwymiotował na podium, zatoczył się i zgiął wpół w kolejnym ataku nudności. Po chwili opadł na kolana, co i raz rzygając dalej niż widział. Podany przez Riss środek dopiero się rozkręcał.

Tylko jedna holostacja pokazała nagranie z tego pożałowania godnego incydentu. Pozostałe żałowały, że nikogo tam nie posłały.

Tak oto dla wszystkich stało się jasne, że Reynard spędzi kilka najbliższych dni w łóżku i na pewno nigdzie nie wyjedzie.

Sekretarz L'Pellerina zauważył kwaśny wyraz twarzy szefa, gdy ich ślizgacz zaczął podchodzić do lądowania na bezimiennej wyspie.

- Dobrze się pan czuje? - zapytał.

- Świetnie - odrzekł L'Pellerin. - Tylko nie cierpię marnować czasu, zwłaszcza na rozmowy o sprawach, które ich interesują. „Zagrożenie ze strony Torguthu”. Też wymyślili. Politycy to jednak idioci. Daj im do ręki dowody, że nie ma żadnego zagrożenia, i co robią? Chcą dyskutować o tym, jak lepiej się zabezpieczyć.

- Tak, proszę pana - powiedział sekretarz, zerkając przez okno.

Ślizgacz L'Pellerina leciał w eskorcie dwóch patrolowców z przodu, dwóch pilnujących tyłów i dwóch z uzbrojonymi strażnikami lecących po bokach. W roli wysokiej osłony zatrudniono jeszcze parę niszczycieli.

Pod nimi rozciągała się amebowata z kształtu wyspa porośnięta tropikalną dżunglą zieleniejącą intensywnie na tle turkusowego morza. Zaczynał się właśnie pierwszy dzień Balu Artystów i w powietrzu było wręcz rojno.

Ci, którzy zjawili się wcześniej, zażywali już sportów wodnych.

- Tyle dobrego, że będziemy mogli wcześniej wstać - powiedział sekretarz.

- Może ty - rzucił zgryźliwie L'Pellerin. - Ja mam mnóstwo papierkowej roboty, nie wspominając o tym, co jeszcze przyjdzie z biura.

- Tak, oczywiście, proszę pana. Przepraszam. Oczywiście pomogę.

L'Pellerin pokiwał głową.

- Wiem, że pomożesz - stwierdził.

*

Patrowiec spoczywał na dnie trzydzieści metrów pod powierzchnią morza. Wodowali łagodnie dwie godziny wcześniej kilka kilometrów od wyspy i podpłynęli pod falami jak najbliżej.

- Przepraszam, M'chel, że byłem tak zajęty, ale nie mam wielkiej praktyki jako sternik okrętów podwodnych - powiedział pierwszy pilot.

- Wszystko w porządku - uspokoiła go Riss. - Ważne, że się nie rozbiliśmy i że nie

pożarła nas żadna ośmiornica.

Nie czuła się najlepiej w takim otoczeniu i nieustannie musiała walczyć z lekką klaustrofobią.

- Wylądowaliśmy tam, gdzie chciałaś wysiąść - powiedział pilot przez ramię. - O ile to właściwe słowo.

- Dam sygnał, gdy skończę - rzuciła, pilnując się, by nie rzec „jeśli”.

Wcisnęła się w piankowy kombinezon, pełny hełm z aparatem oddechowym, płetwy i pękaty plecak. Przeszła przez służę w ciemnozielony świat, włożyła płetwy i ruszyła w stronę wyspy. Zaraz jednak musiała się zatrzymać, żeby poprawić wyporność plecaka na neutralną. Kierowała się wskazaniem kompasu, który miała na nadgarstku.

Czuła, że nie ma powodów do zadowolenia ze swojej kondycji. Niewiele miała ostatnio czasu na ćwiczenia, zwłaszcza na pływanie.

Dno wznosiło się z wolna i widać już było migoczącą srebrzyście powierzchnię morza. Jej aparat oddechowy rozbijał wydychane powietrze na małe banieczki, nie zostawiała zatem za sobą wyraźnego śladu.

Zatrzymała się na kilka sekund, gdy w pobliżu przepływała z dużą prędkością jakaś motorówka. Może z ochroną, może tylko spacerowo. Wywołane przez nią fale pozwoliły Riss szybciej podплыć do brzegu.

Wystawiła na moment głowę, żeby sprawdzić swe położenie. Znajdowała się po drugiej stronie wyspy, daleko od kompleksu, do którego musiała się dostać, i całego ruchu związanego z przylotami. Przed sobą powinna mieć zatoczkę oznaczoną na mapach jako głęboka.

Była głęboka.

Riss zeszła na sam dół i wpłynęła do podwodnej jaskini. Wypuściła powietrze z plecaka i pozwoliła mu opaść na pokryte żwirem dno.

Zegarek podpowiedział, że do zachodu słońca zostały dwie godziny. Ostatni goście powinni już być na miejscu. Zapewne lokowali się w kwaterach i szykowali na pierwsze, wieczorne przyjęcie.

Gdy zrobiło się już ciemno, Riss ponownie nadmuchała plecak i wypłynęła za jego pomocą na powierzchnię.

Zbliżała się najniebezpieczniejsza część zadania.

Morze było spokojne i ciepłe, wiała łagodna bryza.

Nigdzie nie dojrzała śladu życia.

Wspięła się na brzeg i zdjęła sprzęt do nurkowania. Wyjęła z plecaka fototropowy

kombinezon i jeszcze kilka przedmiotów. Teraz do plecaka schowała aparat oddechowy i piankę.

Nastawiła plecak na ujemną wyporność, całkiem naga zanurkowała wraz z nim na dno i obciążyła go kamieniem, żeby nie zabrał go prąd.

Wypłynęła, wspięła się na kamienie i włożyła strój maskujący, dopasowane buty i mile uspokajającą uprząż bojową.

Poza tym niosła ze sobą smukłą, blisko metrową tubę z ciemnego metalu z pistoletowym chwytem i małym celownikiem przeziernym. Była to jednostrzałowa strzelba na sprężone powietrze.

Riss nasunęła kaptur na głowę i wyjęła z torby przy pasie mały odbiornik. Bardzo powoli wpełzła na szczyt skałek. Przed nią rozciągała się zachęcająco romantyczna plaża. Odbiornik zawibrował w dłoni i pokazał, gdzie przebiega najbliższa linia czujników. M'chel popęzła w jej stronę.

Wyjęła z torby kolejny elektroniczny gadżet, który zneutralizował najbliższe czujniki. Potem ruszyła przez strefę, chowając się w zaroślach. Dobrze, bardzo dobrze.

Miała całą noc na dotarcie do celu. Poczekwała chwilę, upewniając się, że nikt jej nie podchodzi, i wznowiła marsz z szybkością nie większą niż metr na minutę.

Jeszcze dwa razy niuchacz oznajmił o wykryciu czujników, które zmyliła podobnie jak pierwsze, bez wywoływania alarmu.

W pobliżu przeszło dwóch strażników, ale byli tak zagadani, że nie mogli jej zauważyć. Teraz mogła iść szybciej. Wspięła się na grań pasma wzgórz i usłyszała dobiegające z dołu śmiechy i muzykę.

Bawcie się dobrze, panowie i panie, pomyślała. Pijcie do dna. Będziecie dobrze spali.

Usłyszała szelest i cofnęła się w zarośla. W blasku księżyca dostrzegła kolejnych dwóch strażników... i psa. Nie cierpiała psów, przynajmniej w pracy, a pies na dodatek nie był po jej stronie. Usłyszała, że zwierzak zaskowyczał. Wyczuł ją.

- Co jest, chłopie? - spytał strażnik.

Riss wyjęła z plecaka mały pakiet, rozdarła go, rzuciła na ziemię i odpęzła dalej.

- Zobaczmy, co cię zaniepokoiło.

Pies i strażnik podeszli, a czworonóg skowyczał coraz energiczniej. Nagle trafił na to, co M'chel zostawiła, zapiszczał, zaczął się dławić, a potem konwulsyjnie kaszleć.

Strażnik ukląkł przy miotającym się na ziemi zwierzaku. Spokojnie, psie. Biały pieprz nie zabija. Za godzinę będziesz jak nowy.

Obeszła miejsce zajścia i trafiła na budynek. Skonsultowała się ze swoją pamięcią. Była

już prawie na miejscu. Teraz musiała przejść jeszcze prawie sto metrów na północ, gdzie widziała na zdjęciu lotniczym bujną kępę krzaków, i dobrze się tam schować. Ścieżka, której miała pilnować, przebiegała jakieś dwadzieścia metrów od tych zarośli.

Żeby tylko prognoza pogody się sprawdziła, pomyślała. Jeśli zacznie padać, nikt nie wyjdzie na zewnątrz i będzie musiała powtarzać całą wyprawę następnego dnia.

A to mogłoby się okazać zbyt trudne.

*

- Piękny poranek, prawda, szefie? - zagadnął sekretarz.

L'Pellerin spojrział na skąpany w słońcu las.

- Według mnie czyste marnotrawstwo - powiedział. - W moich stronach dawno by to wykarczowano. Tu wszędzie powinny się ciągnąć pola uprawne.

Sekretarz pomyślał, że to dyskusyjny pogląd, ale odpuścił sobie.

L'Pellerin niechętnie ruszył ścieżką prowadzącą do miejsca nazwanego absurdalnie Strefą Prawdy III. Celowo spóźnił się trochę, dając publiczności czas na zgromadzenie się i rozbudzenie ciekawości.

Nagle drgnął.

- Co się stało? - zapytał sekretarz.

- Mucha czy coś. Ugryzła mnie - powiedział L'Pellerin. - Sam widzisz. Gdyby tu były farmy, nie by nie gryzło.

- Oczywiście, proszę pana.

Nie zauważył maleńkiej, ostro zakończonej kapsułki, która upadła na ziemię, i chwilę później po prostu się roztopiła. Nie dosłyszał też wcześniejszego, cichego pufnięcia strzelby Riss.

Wyszli zza zakrętu ścieżki i L'Pellerin przekonał się z satysfakcją, że na placu stawili się chyba wszyscy uczestnicy spotkania. Teraz wstali i przywitali go oklaskami. Asystent został z tyłu, a L'Pellerin wszedł na niewielkie podwyższenie.

Zaczekał, aż aplauz ucichnie.

- Dzień dobry - powiedział. Większość zaczynała podobne spotkania od żartu albo kilku miłych słów pod adresem słuchaczy, ale on nie miał czasu na takie błazeństwa. - Zakładam, że mnie znacie. Ja też was znam, a raczej wiem o was różne rzeczy.

Rozległy się nerwowe śmiechy. L'Pellerin nie mógł sobie darować przypomnienia o tajnych aktach, które od lat gromadził.

- Zaproszono mnie tutaj, żebym porozmawiał z wami o naszych obecnych stosunkach z

Torguthem. Nie przygotowałem żadnej mowy, bo żadna nie jest potrzebna. Ale jeśli macie pytania, możecie mi je zadawać w każdej chwili. Tytułem wstępu powiem tylko, że mój personel z Biura Informacyjnego Dampieru pracuje dzień i noc, dokładając wszelkich starań, żeby Dampier i oczywiście Belfort pozostały wolne i bezpieczne. Są ludzie o ciasnych horyzontach, którzy w to powątpiewają. W rzeczywistości nie ma jednak żadnych powodów do niepokoju.

Przełknął ciężko, bo nagle poczuł się trochę niedobrze. Pewnie przez to obfite śniadanie, pomyślał. Powinien był ograniczyć się do tego, co jadał zwykle: chleba, sera i herbaty.

- Nasze układy są bezpieczne i po raz pierwszy od bardzo dawna nie zagraża nam wojna.
- Na czoło wystąpiły mu krople potu i zauważył niespokojne spojrzenie, które rzucił mu sekretarz. Za długo byłem wczoraj na słońcu, pomyślał. - W ciągu ostatnich dwustu lat dwukrotnie pokonał Torguth i nasz przeciwnik zapamiętał tę lekcję. Mogę was zapewnić...

Nagle zerwał się z miejsca jakiś mężczyzna, w którym L'Pellerin rozpoznał jednego z pomagierów nieobecnego szczęśliwie Reynarda.

- Ilu torguckich agentów działa obecnie w Światach Belfort? - spytał beczelnie.

L'Pellerin sięgnął po sprawdzoną odpowiedź, ale język z jakiegoś powodu nie chciał go słuchać.

- Co najmniej pięć tysięcy. Może więcej. - Własnym uszom nie wierzył, że to powiedział. Chciał jakoś zneutralizować to, co powiedział, ale mężczyzna nie ustępował.

- A ilu ich jest na Montrois?

- Nie mniej niż dwustu.

Podniosły się szmery.

- Ilu informatorów opłaca pan na Torgucie?

Kilka osób wydarło się na mężczyznę, obrażając część jego rodziny.

- Ani jednego - odparł szczerze L'Pellerin.

- Co zatem panu obiecali? - drążył beczelny natręt.

Świat ponownie lekko zawirował.

- Władzę - odparł słabo szef tajnej policji. - Stanowisko. Po tym, jak podbiją już Montrois i inne światy.

Podniosła się okrutna wrzawa. Odpytujący L'Pellerina mężczyzna musiał teraz krzyknąć.

- Zatem jest pan zdrajcą! - zawołał.

Nie było to pytanie, ale L'Pellerin pokiwał głową.

- Tak... tak... - przyznał.

Reszta jego wypowiedzi utonęła w powszechnym zgiełku.

*

Zabrali go, ledwie przytomnego, z powrotem do jego domku.

Towarzysząca mu ekipa wezwała ambulans, żeby zabrał go do szpitala. Musiał poważnie zachorować.

Ślizgacz medyczny wylądował w pośpiechu, łamiąc kilka ławek. Strażnicy otoczyli domek, a sekretarz L'Pellerina pobiegł do drzwi i zapukał. Nie było odpowiedzi.

- Jest ambulans! - krzyknął.

Z domku dobiegł głuchy odgłos.

- Co to...? - odezwał się sekretarz.

- Z drogi - rzucił ochroniarz, który rozpoznał ten dźwięk. Wraz z kolegą wyważył drzwi.

L'Pellerin leżał na podłodze. W prawej dłoni szefa Biura Informacyjnego Dampieru tkwił pistolet niewielkiego kalibru, a na czole L'Pellerina czerniał niepozorny otwór.

*

W tym samym czasie, gdy ambulans opuszczał wyspę z ciałem L'Pellerina, Riss wpłynęła do śluzy patrolowca, usunęła wodę i zdjawszy płetwy, powlokła się do kabiny, gdzie ciężko padła na fotel.

- Nie jestem syreną - powiedziała i z wysiłkiem zrzuciła aparat oddechowy. - Powrót był dużo gorszy.

- Jak poszło?

- Zabierajmy się stąd - rozkazała dowódcy patrolowca. - Gdy będziemy już daleko, przekaż do centrali, że wracamy.

- Co się stało? Możesz powiedzieć?

- Pewien gliniarz dostał zastrzyk i powiedział kilka słów prawdy. Diabli wiedzą, co z tego wyniknie.

58

Następnego dnia Riss, tak jak cała ekipa Star Risk, zrobiła sobie wolne. Czekali, aż opadnie kurz, i nie odpowiadali dobijającemu się na łączach Reynardowi. W końcu jednak

zrobiło im się go żal i późną nocą zamienili z nim kilka słów, proponując, by następnego dnia zajrzał do rezydencji Star Risk.

Przyjechał z samego rana i zastał wszystkich przy śniadaniu. Sam jednak nie chciał nic jeść - wciąż wyglądał na nie całkiem zdrowego.

- Potraficie dobrać się człowiekowi do gardła - powiedział.

- Mamy taką reputację - zgodził się von Baldur. - Jeszcze kawy?

- Co będzie dalej? - spytała Riss. Czytała już poufny raport na temat zajścia na Balu Artystów, sporządzony przez jednego z podwładnych Reynarda.

- Na razie niewiele - odparł polityk. - Nie chcemy rozbić rządu. Oficjalnie L'Pellerin zszedł na zawał serca. Zapewne dlatego, że zbyt ciężko pracował. Będzie pogrzeb, na tyle skromny, by dać do zrozumienia, że odszedł w niełasce. Trochę informacji wypłynie, o ile już się to nie stało, ale nie wszystkie. Cała prawda nie zostanie ujawniona.

- A co z Biurem Informacyjnym Dampieru? - spytał Grok.

- Cała ta ferajna aż się trzęsie. Ktokolwiek wygra wybory, na pewno się do niej doberze. Jeśli ponownie zostanę premierem, pewnie rozwiążę BID, żeby zacząć od nowa, bo szpiegów trudno się reformuje. Albo postawię na czele biura jednego z członków mojej partii, niejakiego Guya Glenna. Bardzo by się ucieszył. Tak czy owak obecnie wszyscy ludzie BID, tak jawni, jak i tajni, chowają się po kątach.

- Ciekawe, co się stanie z prywatnym archiwum L'Pellerina? - zagadnął Goodnight. Nałożył właśnie na tost wielki płat szynki i smarował go musztardą. - Tych z zapiskami, kto z kim sypiał i tak dalej.

- Zaraz po otrzymaniu informacji o jego śmierci przejął je specjalny oddział policji - odparł Reynard, nie patrząc im w oczy. - Zostały zniszczone.

- Wszystkie? - spytał von Baldur.

- Wszystkie... oprócz drobnej części. Istotnej dla naszego bezpieczeństwa.

King i Riss wymieniły spojrzenia, lekko się krzywiąc. Najpewniej oznaczało to zachowanie akt uniwersalistów. W imię bezpieczeństwa Partii Niezależnych.

- Bardziej martwię się Maskowymi - powiedział Reynard. - Wciąż nie mamy rozeznania co do ich siły i nie wiemy, na ile są silni i czy L'Pellerin miał tam jakiegoś zastępcę.

- Nie trzeba się nimi przejmować - stwierdził von Baldur. - Po śmierci przywódcy pójdą w rozsypkę.

- Skoro tak, niemal na pewno wygramy i domek z kart zacznie się rozpadać - stwierdził Reynard. - Przyjdzie pora na drugi proces Sufyerda i wasze zadanie będzie wykonane.

- Nie całkiem - zauważył von Baldur. - Jakiś czas temu otrzymałem informację, z którą

nie wiedziałem, co zrobić. Po zastanowieniu, sprawdziwszy, że regularnie płacił nam pan to, co powinien, uznałem, że wyświadczę panu i Dampierowi pewną przysługę.

- Jaka? - spytał zaintrygowany Reynard.

- Zamierzam zapobiec waszej wojnie z Torguthem.

Wszyscy przy stole spojrzeli na niego z niedowierzaniem, co nie uszło uwagi Reynarda.

- Sam jeden? - zdziwił się.

- Nie całkiem - rzekł Friedrich, zamierzając się łyżeczką na jajko. - Z pewną pomocą - powiedział, gdy przeżuł i przełknął.

- Czyją?

- To już nie jest takie ważne. Zwłaszcza że mój plan może nie wypalić.

- Powinienem już wiedzieć, że lepiej nie pytać o pewne szczegóły - powiedział Reynard. - Cóż, wracam do swojej roboty. Za trzy tygodnie wybory, a ja jeszcze nie doszedłem do siebie.

- A, skoro o tym mowa - odezwała się M'chel. - Całkiem zapomniałam. Proszę wylać brandy, którą trzyma pan w karafce w gabinecie.

- To wy? - zdumiał się Reynard. - Wy mi to zrobiliście?

- Powiedział pan, że nie chce jechać na Bał Artystów i potrzebuje dobrej wymówki.

- Ale czy nie można było łagodniej? Jeszcze teraz ściska mnie w żołądku.

- Jak pan powiedział, potrafimy dobrać się człowiekowi do gardła - stwierdziła Riss. - A niekiedy trochę niżej.

59

- O, bogowie niebios i podziemi! - jęknął Fra Diavolo. - Ma pan śmiałe marzenia, panie von Baldur.

- To żadne marzenia - odparł Friedrich. - Z pańską pomocą sprawa jest całkiem realna. Wie pan, że mam tylko jacht i dwa patrolowce.

- Moi ludzie zgłoszą się na ochotnika... chociaż jestem przekonany, że niektórym trzeba będzie zrekompensować oderwanie ich od pracy. No i koszty paliwa. Jest pan pewien, że nie grozi mi to bankructwem?

- Chciałby pan, żeby obciążyć rachunkami naszego klienta?

Diavolo drgnął.

- Nie, lepiej nie. - Zastanawiał się przez chwilę. - To byłoby coś. Nie wiem, czy kiedyś

będę mógł o tym opowiedzieć, ale na pewno nie słyszałem, żeby ktoś zapobiegł wojnie w podobny sposób.

- Powinno zadziałać - powiedział z przekonaniem von Baldur. - Zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę paranoiczną naturę każdej dyktatury.

- To prawda - mruknął Diavolo, nad czymś się jeszcze zastanowił i wstał. - Dlaczego nie? Będę miał co opowiadać wnukom, których nie mam.

*

Torgucka flota wystartowała o wyznaczonej porze z różnych baz układu. Każdy dowódca otrzymał własny plan działania, w którym precyzyjnie określono czas kolejnych manewrów.

Wszystkie jednostki spotkały się w głębokiej próżni. Co dziwne, oprócz nich pojawił się w tym miejscu jakiś duży statek, zapewne stary frachtowiec. Orbitował wokół nieodległej martwej planety.

Posłana na zwiady para niszczycieli zameldowała, że to faktycznie jednostka cywilna zarejestrowana w układzie Dampier, co było już trochę niepokojące. Admirał Garad kazał jednak zignorować intruza i dał sygnał do rozpoczęcia manewrów.

Jedna czwarta torguckich jednostek zniknęła w nadprzestrzeni, żeby wyjść w całkiem innym miejscu, odgrywając rolę przeciwnika.

Same manewry, a także będące ich podstawą gry wojenne, można przeprowadzać na setki sposobów. Najprostszy polega na ustawieniu oddziałów na zaplanowanych pozycjach wyjściowych i cierpliwym przyglądaniu się, co z tego wyniknie.

Wojskowi nie lubią jednak przypadku, zwłaszcza w czasie pokoju. Na dodatek rząd Torguthu bardzo sobie cenił porządek i staranne planowanie, manewry więc odbywały się wedle precyzyjnego scenariusza.

Flota wykonała dwa skoki. Przy drugim wyszła z nadprzestrzeni daleko za Światami Belfort, tuż obok dryfujących w próżni dwóch patrolowców typu „Pyrrhus”, które w ogóle nie zareagowały na pojawienie się obcych okrętów i nie raczyły odpowiedzieć na zapytania jednostki flagowej, jakie mają zamiary. Niemniej von Baldur słuchał wszystkich napływających wywołań z wielką przyjemnością.

Napsuwszy wszystkim sporo krwi, patrolowce zniknęły po godzinie, a flotę, zgodnie z planem, zaatakował „nieprzyjaciół”, który wykonał kilka manewrów, cały czas utrzymując przy tym dystans nie stwarzający groźby kolizji. Następnie, zgodnie ze scenariuszem, odleciał, a na jego miejscu pojawił się niespodziewanie prywatny jacht, którego załoga zapewne zaciekawiona obserwowała przebieg manewrów i bez wątplenia je rejestrowała.

Admirał Garad poczuł lekki niepokój i zameldował o problemie najwyższemu dowództwu. W odpowiedzi usłyszał, że ma podjąć działania, które uzna za stosowne. Było to zwykle odbicie piłeczki i sposób na obciążenie go winą, gdyby cokolwiek poszło nie tak.

W tej sytuacji admirał postanowił nie przerywać manewrów i nakazał wykonanie trzeciego skoku, tym razem do serca układu Belfort.

Tam czekały na Torguthan kolejne dwie jednostki: stary przebudowany trałowiec i luksusowy jacht. Oba nie odpowiadały na wywoływanie. Gdyby to była prawdziwa wojna, Garad rozkazałby w tym momencie zaatakować Belfort. Ponieważ jednak flota odbywała tylko manewry, wykonała dwa następne skoki do pewnego martwego układu, w którym cztery skalne globy krążyły wokół umierającego słońca w podobnych odległościach co Światy Belfort dokoła swojego. Nadawały się dzięki temu na ćwiczebne cele, zwłaszcza że były nie zamieszkane, co pozwalało na użycie systemów uzbrojenia zgodnie z ich destrukcyjnym przeznaczeniem.

Chociaż znajdowały się wiele lat świetlnych od Belfortu, i tutaj bawiły dwie jednostki z Dampieru. To już nie mógł być przypadek i w przedziałach dowodzenia torguckich okrętów zakiełkowało ziarno zwątpienia. Garad niczego nie pojmował. Nie wiedział, w co właściwie gra przeciwnik, ale zaczął się obawiać o cenną flotę, za którą przecież odpowiadał. Rozkazał przerwanie ćwiczeń i powrót do baz.

*

Najwyższe dowództwo zebrało się w trybie pilnym, żeby omówić sprawę.

Było oczywiste, że Dampier musi mieć na Torgucie co najmniej jednego agenta. Wydawało się to tym pewniejsze, że przecież jakiś czas temu omal nie złapano innego ich szpiega. Co więcej, agent ten zapewne był usadowiony gdzieś wysoko w hierarchii wojskowej. Być może był nawet postacią równie znaczącą jak L'Pellerin. Musiał być, bo jak inaczej przeciwnik poznałby scenariusz manewrów?

Tutaj rodziło się istotne pytanie. Dlaczego Dampier to ujawnił? Dlaczego zdradził się z tym, że ma informacje wykradzione z najtajniejszych czeluści torguckiego sztabu generalnego? Oficerowie prześcigali się w domysłach, ale żaden nie urodził sensownej odpowiedzi. Jedno wszakże było jasne: należało odłożyć na jakiś czas inwazję na Światy Belfort.

Od razu zaznaczono, że zwłoka może być nawet długa. Dampier był ledwie tydzień od wyborów i wszystko zdawało się wskazywać na sukces pobrękującego szabelką Reynarda. Należało oczekiwać, że jeśli znów obejmie stanowisko premiera, przywróci do łask

porzucone plany stworzenia systemu obronnego Belfortu, a flota Dampieru zostanie postawiona w stan wyższej gotowości i najpewniej rozbudowana.

Na razie należało więc zrobić porządki na własnym podwórku, biorąc pod lupę różne środowiska, zwłaszcza inteligenckie, aż uda się znaleźć i usunąć podkopującego porządek państwa kreta. Albo i grupę kretów.

Sprawę inwazji odłożono ad acta do czasu, gdy sytuacja się wyklaruje. I tylko kadra oficerska poczuła się zagubiona, nie mając zielonego pojęcia, skąd ta nagła zmiana.

*

- Czy zasłużyłem na tytuł Budowniczego Pokoju? - spytał von Baldur.

- Owszem - odparła Riss. - Zostaje ci tylko przekonać ludzi, że to zdarzyło się naprawdę.

Von Baldur trochę zmarkotniał.

- Cóż - bąknął. - Jak powiada Diavolo, będzie przynajmniej co opowiadać przy barze.

60

Uniwersaliści ponieśli w wyborach całkowitą klęskę.

Reynard zagrał nawet czysto, nie ujawniając szczegółów zdrady L'Pellerina ani śmierci Kismayu i nie wspominając o swojej roli w ocaleniu Sufyerda, ale Fra Diavolo nie miał takich skrupułów. Używał sobie ile wlezie.

Przypomniano sobie za to o Ladierze, który już wcześniej popadł w niełaskę, i zaczęto dąć w wielkie trąby, że uniwersaliści, jak wszyscy bogacze, bardziej troszczą się o swoje kabzy niż o ojczyznę.

Niezależni uzyskali siedemdziesiąt procent głosów, uniwersaliści dwadzieścia dwa. Resztki przypadły w udziale różnym ugrupowaniom kanapowym. Z takim mandatem zaufania Reynard mógł działać bardziej zdecydowanie, niż się spodziewał.

Ogłosił połączenie Światów Belfort i Dampieru pod jednym, centralnym rządem i oznajmił, że „od tej pory każde wrogie działanie przeciwko Belfortowi będzie równoważne atakowi na nasze ojczyste światy i spotka się z natychmiastową i zdecydowaną reakcją”.

Zdecydował też o rozwiązaniu BID, chociaż von Baldur był pewien, że niektórzy funkcjonariusze i agenci z miejsca znajdą nowych pracodawców. Maen Sufyerd i jego rodzina wyszli z ukrycia, a media zrobiły zaraz z legata wielkiego bohatera, wmawiając wszystkim,

że to nie one nazywały go wcześniej szpiegiem i zdrajcą.

Star Risk pozbyło się patrolowców i zwolniło większość pracowników, zatrzymując tylko niezbędne dwie zmiany straży. Maen upierał się, że musi podziękować pracownikom firmy osobiście, do czego w końcu doszło. Reynard zadbał o to, by przybyły media, niemniej strażnicy nie wpuścili dziennikarzy do rezydencji.

Były łyż i sporo śmiechu, a córka Sufyerda oznajmiła, że jak M'chel Riss chce zostać żołnierzem i będzie w tym celu pilnie się uczyć. Riss odparła nieco nerwowo, że to ciekawy pomysł, i zaproponowała Abihu, żeby porozmawiały o tym za kilka lat, gdy dziewczynka będzie już większa.

Sufyerd podszedł do M'chel z uśmiechem na twarzy. Takim go jeszcze nie widziała. Poprosił o chwilę rozmowy na boku.

- Stało się tak, jak chciałem od początku - powiedział. - Wojny nie będzie, chociaż nie mogłem przewidzieć tak niezwykłego biegu zdarzeń.

M'chel spojrzała na niego zdumiona i wyjąkała tylko coś nieartykułowanego.

- Nie przewidziałem też waszego udziału i zawsze będę wam wdzięczny za ocalenie mi życia.

- Eee... to nic takiego - wydukała Riss.

Sufyerd uśmiechnął się ponownie i z tym śmiechem świętego wrócił do żony.

61

Półtora miesiąca później M'chel leżała naga na jednej ze złocistych pustych plaż Trimalchiona IV. Na brzegu spoczywał mały skuter wodny z zapasem drinków, przekąską i najnowszym wydaniem *Równań prowadzących do rozwoju alternatywnych napędów nadprzestrzennych*, na które wytrwale czekała od sześciu miesięcy.

Na razie jednak miała tylko ochotę poleżeć, o niczym nie myśląc i ciesząc się po prostu słońcem jak dojrzewająca na polu sałata.

No, może nad jednym warto było się zastanowić.

Chodziło o śpiewaka z zespołu zatrudnionego w luksusowym ośrodku, w którym się zatrzymała. Jeśli za dnia wyda się jej równie atrakcyjny jak wieczorem, może będzie warto zaprosić go na drinka po występie.

W ciszę wdarł się brzęczyk komunikatora.

Zignorowała go, ale odezwał się ponownie. A potem drugi raz i trzeci.

Zakłęła i wstała. To był kod używany przez Star Risk.

Podeszła do ślizgacza i włączyła fonię.

- Tak - powiedziała.

- Mówi Jasmine.

- Dobra - mruknęła Riss i włączyła także wizję. King siedziała za swoim biurkiem w siedzibie Star Risk. Musiała wrócić wcześniej z wakacji.

- Nie wyglądasz na wypoczętą - powiedziała.

- Jestem... czy może byłam... O co chodzi?

- Poczekaj. I włóż coś na siebie. Łączę wszystkich.

Riss posłuchała i owinęła biodra pareo. Gdy wróciła, ujrzała ekran podzielony na cztery części.

Von Baldur, w archaicznym garniturze, był akurat w stajni przy torze wyścigowym, gdzie trzymano chyba prawdziwe ziemskie konie. Grok zagrzebał się w jakiejś bibliotece, wśród kompów i wydruków. Chas, w nieco sfatygowanym stroju wieczorowym, siedział w luksusowym apartamencie w wysokościowcu. Za nim poruszały się jakieś dwie sylwetki. Ludzkie i niewątpliwie żeńskie.

- Mamy niewielki problem - oznajmiła Jasmine. - Sprawdzam właśnie pocztę, która przysłała, gdy biuro było zamknięte. Znalazłam ostatni rachunek wysłany Reynardowi przed urlopem. Wrócił z adnotacją, że konto zostało zamknięte.

- Sukinsyn - powiedział Chas. - Na koniec nas okantował.

- To tylko jeden rachunek - zaprotestowała King.

- Niemniej to kant - odezwał się von Baldur. - Zgadzam się z Chasem. - Uśmiechnął się krzywo. - Chociaż to potwierdza, że nikt nie może pozostać bohaterem na tak podłych światach.

- Wyłączywszy może Fra Diavolo - wtrąciła Riss.

- Dla porządku dodam, że podsumowałam wszystkie rachunki i faktury przekazane Reynardowi - powiedziała King. - Wyszło mi, że nasze wynagrodzenie wyniosło łącznie sto czterdzieści procent sumy zawarowanej pierwotnie w umowie. Jesteśmy sporo do przodu.

Goodnight uśmiechnął się.

- Niech boginie cię błogosławią, Jasmine - rzekł rozanielony. - Już się przeraziłem, że będę musiał wracać do pracy. Do miłego - rzucił i rozłączył się.

- Niebawem wrócicie - powiedziała King do ciemnego ekranu. - Chociaż jeszcze nie teraz.

- Jeśli uda mi się podwoić ten zarobek, to sporo później niż niebawem - dodał von Baldur i też zniknął.

- Przywróciłaś mi wiarę w siebie, mogę więc spokojnie wrócić do lektury - stwierdził Grok i zamknął swoje okno.

King też miała się już pożegnać, gdy spostrzegła minę Riss.

- Co jest? - zapytała. - Możesz dalej taplać się w luksusie.

- Przypomniałam sobie, co Sufyerd powiedział mi przed naszym odlotem z Montrois - powiedziała M'chel i powtórzyła słowa Maena.

- Wielki Boże - jęknęła Jasmine.

- No właśnie. Przez miesiąc się nad tym zastanawiałam. Czy to by znaczyło, że naprawdę szpiegował dla Torguthu? Czyli w Ila był więcej niż jeden agent? A może działał całkiem niezależnie od L'Pellerina i Kismayu? Tak czy owak wychodziłoby na to, że poświęciliśmy mnóstwo czasu i sporo cudzych pieniędzy na ratowanie kogoś jak najbardziej winnego. Chyba że to był tylko taki zwrot retoryczny związany z jego religijną postawą. Jak widzisz, nie daje mi to spokoju.

- Rozumiem - powiedziała łagodnie King. - Ale nie warto. Nie myślisz chyba, że kiedykolwiek poznamy prawdę?

- Nie. To by wymagało zamknięcia w psychiatryku.

- Kochana... chyba naprawdę potrzebujesz drinka. I kogoś, z kim mogłabyś go wypić.

- To niezły pomysł. Tutaj nie ma kandydatów. Poza barmanem.

Jasmine spojrzała na zegar.

- Niech pomyślę - powiedziała. - Mogę znowu zamknąć na trochę biuro i złapać szybki transport do ciebie. Za dwie godziny mogłybyśmy się napić.

- To przyjeżdżaj, dziewczyno!

- Ale, ale... - powiedziała Jasmine. - Nie zadreżaj się już tym, co powiedział Sufyerd.

- Koniec końców zapłacili i jesteśmy kwita - przyznała M'chel.

- W tej branży to najważniejsze.